

Zegarmistrz z Dachau

Jak przetrwać i nieść nadzieję
w samym sercu piekła



Niezapomniana powieść o ludzkiej dobroci,
zainspirowana prawdziwą historią
z czasów II wojny światowej

CARLY SCHABOWSKI

Świat Książki

CARLY SCHABOWSKI

*Zegarmistrz
z Dachau*

Z angielskiego przełożył
Robert Ginalski


Świat Książki
wydawnictwo

SPIS TREŚCI

Prolog
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty
Epilog
List od Carly
Podziękowania

Przypisy

Tytuł oryginału: *THE WATCHMAKER OF DACHAU*

Wydawca: *Urszula Ruzik-Kulińska*

Redakcja: *Magdalena Sikorska*

Korekta: *Ewa Grabowska, Marzena Kłós*

Copyright © Storyfire Ltd., 2021

First published in Great Britain in 2021 by Storyfire Ltd trading as Bookouture

Copyright © for the Polish translation by Robert Ginalski, 2022

Wydawnictwo Świat Książki

02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

ISBN 978-83-8031-633-1

Warszawa 2023

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Dystrybucja Dressler Dublin Sp. z o.o.

05-850 Ożarów Mazowiecki

ul. Poznańska 91

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

tel. +48 22 733 50 31/32

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

*Tacie,
który pokochał moją pierwszą książkę;
mam nadzieję, że tę też pokocha!*

PROLOG

KORNWALIA

1980

Przez uchylone okno do sypialni wpadało lodowate zimowe powietrze, tak że zmarzła przez sen.

Obudziła się z zimnym nosem i naciągnęła kołdrę na głowę. Wiedziała, że mogłaby wstać i po prostu zamknąć okno, ale zostawiała je uchylone zawsze, nawet podczas deszczu, śniegu i kiedy na szybach pojawiały się pajęczyny z lodu. Uwielbiała wolność – możliwość decydowania o tym, czy otwierać okno, czy je zamykać. Głupota, ale tak weszło jej to w nawyk – właściwie było to już natręctwo – że nie potrafiła odpuścić.

W końcu odwróciła się na łóżku twarzą do okna i zsunęła kołdrę z twarzy. W pokoju panowała mglista szarość, jak zawsze w zimowe ranki, kiedy światło późno dociera do ziemi, a fioletowo-bure chmury śnieżne skutecznie blokują promienie słońca, by nie mogły się przebić.

Już czas.

Zadrzała, ale nie z zimna – uświadomiła sobie, że to się wreszcie stanie, że będzie musiała się z tym zmierzyć, stawić im czoło i pokazać, kim kiedyś była.

Szykując się na to, z gracją tancerki przerzuciła nogi i poruszyła palcami stóp, by poprawić krążenie krwi. Bez pośpiechu włożyła dopasowaną chabrową sukienkę i zebrała włosy w luźny kok. Przejrzała się w sięgającym podłogi lustrze. Patrząc na swoje odbicie, zmrużyła oczy i ujrzała siebie jako młodą kobietę. Potem otworzyła je szeroko i zobaczyła siebie taką, jaka była w rzeczywistości – siatka zmarszczek na twarzy i pasemka siwizny we włosach świadczyły o upływie czasu, minut, a nawet sekund; czas odcisnął piętno na całym jej ciele.

Nałożywszy jasnoróżową szminkę na usta i róż na blade policzki, uznała, że jest gotowa. Już miała wyjść z sypialni, gdy nagle prawą ręką złapała się za lewy nadgarstek; opuszkami palców wyczuła miękką skórę. Jak mogła zapomnieć?!

Otworzyła szkatułkę na biżuterię i wyjęła złoty zegarek; w bladym świetle słabo błysnęły klejnoty na pasku.

Zapinając pasek, wyjrzała na dwór.

Właśnie zaczął padać śnieg.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ISAAC

Styczeń 1945

Niebo wyglądało jak pokłuty igłami aksamit, w którym skrzyły się punkciki światła. Isaac patrzył na gwiazdy, czekając, aż któraś zerwie się z kotwicy i pomknie przez gęstą pustkę, zostawiając za sobą smugę światła i życzenia na cały rok.

Nad nim wisiała para z jego oddechu, unosiła się krętą smugą niczym z pyska ziejącego smoka. Wkrótce musiał uznać się za pokonanego, zwiesił głowę i skupił się na każdym kroku po chrześzczącym, zlodowaciałym śniegu.

Wokół niego panowała cisza, ale to nie wytrącało go z równowagi, wręcz przeciwnie, uspokajało. Cisza nie zapowiadała zagrożenia ani śmierci. Tylko w ciszy wiedział, że on i pozostali są bezpieczni.

Dotarł do rogu ulicy, którą znał od zawsze; teraz, zasypana śniegiem, wyglądała jak z innego świata, czystsza i jakby pogodniejsza. Jako młody chłopak bawił się na okolicznych ulicach z kolegami, a tymczasem jego ojciec pracował w warsztacie, naprawiając zegary, zamki i wszystko to, z czym inni nie mogli sobie poradzić. Był dumny z tego, że potrafi rozwikłać budowę mechanizmu zegara podróznego albo, dajmy na to, skomplikowanej konstrukcji chińskiej szkatułki na biżuterię. Wieczorami jego twarz zawsze promieniała, gdy relacjonował, jak w końcu udało mu się wykonać najnowsze zlecenie – naprawić zegarek przysłany mu z Anglii przez kogoś, komu zarekomendowano jego nadzwyczajne umiejętności, albo zegar podróźny damy z Monachium, ozdobiony maleńką karuzelą ze złotymi myszkami. Isaac spędzał wieczory na wysłuchiwaniu opowieści ojca o mechanice czasu i o zamkniętych skrzyniach ze skarbami, dzięki którym odnosił wrażenie, że ojciec przeżywał przygody, a nie zwyczajnie naprawiał ludziom zepsute czasomierze.

Otrząsnął się ze wspomnień, przechodząc przez ulicę do sklepu, który teraz już należał do niego. Popatrzył w lewo, w prawo i przez chwilę stał bez ruchu, sprawdzając, czy cisza nadal jest jego przyjaciółką. Oczyszczył ze śniegu dziurkę od klucza, ramieniem starł z drzwi warstwę lodowatego puchu, spod którego ukazał się róg gwiazdy, takiej samej, jaką nosił na ubraniu.

W ciszy ulicy szcęk zamka wydawał się za głośny. Isaac uciszył go niczym dziecko, które na dźwięk głosu ojca może się uspokoić.

Kiedy otworzył drzwi, z niskiego dachu spadła z łomotem bryła śniegu. Serce Isaaca забиło szybciej. Powoli, starannie zamknął za sobą drzwi, patrząc, jak ślady, które zostawił na śniegu, zdążyły pokryć się bielą.

Nie odważył się włączyć światła – gołej żarówki zwisającej z sufitu na środku – zapalił tylko świeczkę, przekrzywioną przez ściekający z boku blady stopiony wosk.

Sklep był zamknięty od blisko roku; osiadający kurz już dawno zbił się w grubą warstwę pokrywającą szklane gabloty i zasłaniającą mieszkające w nich zegarki ze złota, brązu i srebra. Zegar szafkowy w rogu odmierzał cicho sekundy, w panującej ciszy jego tykanie odbijało się echem.

Deski podłogi zatrzeszczały pod stopami Isaaca, kiedy podchodził do krzesła za ladą. Usiadł, postawił świecę na blacie i pomasaował nogę; na zimnie odniesiony w dzieciństwie uraz sprawiał, że noga sztywniała jeszcze bardziej, a mięśnie i ścięgna pod skórą zbijały się w węzeł, tak jak jego serce, które kurczyło się ze strachu.

Schylił się, przyklęknął powoli i artretycznymi palcami podważył małą deszczułkę, pod którą czekała nagroda – zegarek kieszonkowy jego dziadka. Wrócił na krzesło i nacisnął maleńki zameczek. Wieczko ze szczerego złota odskoczyło z lekkim trzaskiem i ukazał się cyferblat; wskazówki zatrzymały się na trzeciej dwadzieścia. Isaac postukał w szkiełko tak jak w dzieciństwie, jak gdyby tym lekkim puknięciem mógł natychmiast wprawić wskazówki w ruch.

– Głupi – powiedział w panującej ciszy. – Głupi staruch.

Korciło go, żeby schować zegarek do kieszeni i zabrać do domu, lecz wiedział, że nie może tego zrobić. Przyszedł tylko w odwiedziny do starego przyjaciela, wspomnień i tej części rodziny, która wciąż była blisko. Jego żona Hannah zmarła przed dziesięcioma laty, zanim jeszcze świat oszalał i zanim reszta jej rodziny w Berlinie trafiła na łapankę i rozplynęła się w mroku nocy.

Teraz już wiedział, dokąd się udali, wtedy jednak wyglądało to tak, jakby po prostu zniknęli. I cieszył się, że Hannah nie dożyła tych czasów.

Zamknął zegarek i przesunął dłonią po gładkim metalowym krążku. Kiedyś chciał coś na nim wygrawerować, nie wiedział jednak, jaki napis mógłby umieścić. Teraz położył go na blacie i znalazł maleńkie rylce używane do rytowania. Bez pośpiechu, metodycznie, wypisał swoje imię i nazwisko „Isaac Schüller”, a poniżej „Nie zapomnijcie o mnie, styczeń 1945”.

Gdy skończył, zdmuchnął pył ze złocenia, odsłaniając swoje dzieło. Wytarł zegarek, a potem owinał go szmatką i z powrotem włożył do schowka, po czym przybił klepkę gwoździem ze złotą główką.

Ukończywszy zadanie, nie ociągał się, nie spojrzął na skarby, które tu zostawił, nie zerknął nawet na zdjęcie Hannah stojące obok oprawionych w niebieską skórę ksiąg rachunkowych.

Zdmuchnął świecę, powoli otworzył drzwi i przed wyjściem upewnił się, że na ulicy niczego i nikogo nie ma.

Nie zamknął drzwi na klucz, jak to zwykle robił – przecież teraz to bez znaczenia. Schował dłonie do kieszeni płaszcza, pochylił głowę na lodowatym wietrze i ruszył do domu; jego lewa noga, próbując dotrzymać kroku prawej, zostawiała nieco większe ślady na śniegu.

Isaac mieszkał w niewielkim domku przycupniętym w dolinie między pofałdowanymi wzgórzami, które wiosną i latem porastały sprężystą zieloną trawą; na wietrze falowały tam wtedy jaskrawoczerwone maki, niebieskie kręgi puszystych płatków chabrów, wysokie stokrotki. Przystanął i widząc przed sobą ciemną sylwetkę domu, patrzył na te wzgórza z nadzieją, że dożyje kolejnej wiosny. Może się uda, pomyślał. Wioska była mała, między polami uprawnymi mieszkało zaledwie kilkaset osób, a choć miejscowa policja pilnowała, żeby na rękawach mieli przyszyte gwiazdy Dawida i żeby każdy Żyd przekazał swój biznes Rzeszy, to jak dotąd nikt jeszcze po nich nie przyszedł. Nie tknęli nawet jego sklepu – najwidoczniej Rzeszy nie interesowały znajdujące się tam małe skarby.

Ruszywszy dalej, poczuł na karku mrowienie, takie jak wówczas, gdy Hannah całowała go tam szybko, kiedy w przyćmionym świetle ślęczał zgarbiony, majstrując przy zepsutym zegarku.

Odwrócił się, niemal spodziewając się – co za głupota! – ujrzeć ją za sobą, jej głowę z narzuconym kremowym wełnianym szalem i zaczerwienione na mrozie usta. Ale był sam.

– Głupi staruch – powiedział na głos i się roześmiał. Uznał, że z zimna i zmęczenia ma halucynacje. Już miał się odwrócić i pójść dalej, gdy naraz ujrzął dwa żółte reflektory pędzącego ku niemu samochodu, podskakującego na wybojach.

*

Isaacowi się śniło, że znowu jest dzieckiem. W lecie dolina pokrywała się grubym dywanem polnych kwiatów wśród drzew we wszystkich odcieniach zieleni, odcinających się na tle błękitu bezchmurnego nieba. Leżał na wznak, czując, jak żdźbła trawy łaskoczą go w plecy. Obok niego była Hannah. Ujął ją

za rękę. Czuł ciepło jej skóry i jej słodki zapach, ale nie odważył się na nią spojrzeć, żeby nie uciekła.

Słyszał muczenie krów i ostrzegawcze skrzeczenie srok, broniących wśród drzew swojego potomstwa, przerywane ćwierkaniem i świergotem wróbli i sikorek modrych, które razem tworzyły łagodną melodię.

– Musisz już wstawać – odezwała się Hannah.

– Nie mogę – odburknął.

– Daj spokój, Isaacu. Możesz i musisz.

– Ale gdzie ty się podziejesz?

Isaac w końcu odwrócił się i spojrzął na nią, ale nie zobaczył jej twarzy – ukochanej, okrągłej jak u dziecka, z pulchnymi policzkami, maleńkim zadartym noskiem i szeroko otwartymi kocimi oczami w kształcie migdałów, błyszczącymi zielenią i bursztynem – tylko oblicze mężczyzny z sumiastym wąsem i skośnymi szarymi oczami.

– Pobudka! – krzyknął mężczyzna.

Isaac raptownie oprzytomniał.

– Gdzie ja jestem? – wymamrotał.

– Godzinami opierasz się o mnie. Aż mi ręka zdrętwiała. Dałbym ci jeszcze pospać, naprawdę, ale nie mogłem się ruszyć – wyjaśnił mężczyzna.

Isaacowi zdrętwiały nogi, kolana miał podciągnięte pod brodę, a kiedy próbował je rozprostować, przy najlżejszym ruchu czuł mrowienie pod skórą.

– Postój przez chwilę, ale niedługo, bo stracisz miejsce – powiedział mężczyzna o szarych oczach.

Isaac wstał chwiejnie, oparł się o deski wagonu bydłęcego i potrząsał raz jedną nogą, raz drugą. Jednocześnie się rozglądał. Sącące się między deskami łagodne promienie słońca dawały niewiele światła, zdołał jednak dojrzeć ludzi leżących na podłodze wagonu, przykrytych płaszczami albo kocami; trzymali głowy na swoich torbach, które służyły im jako poduszki. Leżeli ciasno ściśnięci, niczym miot kociąt przytulonych do matki w poszukiwaniu ciepła.

Isaac podmuchał w złożone dłonie. W wagonie panował lodowaty ziąb, a choć przez szczeliny wdzierało się powietrze, to nie usuwało stęchłego odoru ludzkiego potu i brudu.

– Późno wsiadłeś. – Mężczyzna o szarych oczach stanął obok Isaaca. – Jestem Elijah. Podałbym ci rękę, ale to by było nie na miejscu.

– Isaac. – Jeszcze raz chuchnął w skulone dłonie.

– Raczej Szczęściarz – sprostował Elijah.

– Szczęściarz?

– Jak mówiłem, siedzisz tu... bo ja wiem, parę godzin? Mnie zgarnęli chyba kilka dni temu, ale w sumie też mam szczęście... niektórzy są tu od tygodnia.

Isaac się rozejrzał. Podchwycił wzrok kobiety o wychudłej bladej twarzy, która trzymała w objęciach dwa śpiące maleństwa; ich powieki drgały we śnie. Miał nadzieję, że będą spały dalej, bo nie mógłby spojrzeć im w oczy.

– Z drugiej strony oni też mają szczęście – ciągnął Elijah. – Widziałem, że w innych wagonach ludzie stoją, bo nie mają jak usiąść. Wyobrażasz sobie, jak to jest, stać przez tydzień?

– Dokąd jedziemy? – szepnął Isaac. Ciepło jego oddechu sprawiło, że zawisł przed nim obłoczek pary.

– Kto wie? Mnie załadowali w Kolonii, ale o ile zrozumiałem, ci tutaj są z Czechosłowacji, no i jest też kilku Francuzów. Wiesz, że krwawi ci głowa?

Isaac pomacał potylicę – wyrósł mu guz, a ściekająca z małej rany krew zakrzepła na szyi. Odsunął dłoń i zobaczył na niej czerwona plamę.

– Na początku byłeś w kiepskim stanie... kiedy cię tu wrzucili, wszyscy sądziliśmy, że nie żyjesz. Dlatego ci zazdrościłem. Pomyślałem, że chciałbym być taki jak ty... no wiesz, martwy.

Isaacowi trzęsła się ręka, poruszył więc palcami, by złagodzić sztywność stawów.

– Nie bardzo pamiętam, co się stało. Zapamiętałem tylko reflektory samochodu... Byłem blisko domu, a potem... pustka.

– I całe szczęście. – Elijah oparł się o Isaaca, bo pociąg zakręcał; gdy znów wyjechali na prostą, turkotanie kół nabrało tempa. – Ja przez cały czas byłem przytomny. Zaprowadzili mnie do jakiejś szkoły i kazali przynieść torbę z dobytkiem. Powiedzieli nam, że nas gdzieś przesiedlają.

– Ale my nie... – bąknął Isaac.

– Właśnie. Nie. Oni nas mają za durniów. Myślą, że nie słyszeliśmy o obozach. Ale ja wiem, dokąd jedziemy. Jak mówiłem, z dwojga złego wolałbym umrzeć.

Nagle pociąg ostro zwolnił. Zahamował tak raptownie, że wagony szarpnęły, a spod podwozia buchnęły kłęby pary. Isaac uczepił się płaszcza Elijaha, a ten przytrzymał się Isaaca, kiedy wokół nich stłoczeni ludzie siadali prosto, przecierając zmęczone, wystraszone oczy.

Pociąg zatrzymał się z szarpnięciem. Ludzie wstawali, ściskając dzieci, bagaże i dla otuchy podając sobie dłonie.

– Zatrzymaliśmy się – oznajmił Isaac bez sensu.

Jakieś dziecko przepchnęło się do przodu i przycisnęło buzią do desek drzwi, usiłując dojrzeć cokolwiek poprzez wąskie szpary.

– Widzisz coś? – zawołał ktoś z głębi wagonu.

– To chyba peron. Nie wiem. Są stopy. Widzę stopy! – krzyknął chłopiec z podnieceniem.

– Gołe stopy? – zapytało inne dziecko.
– Nie, w czarnych wysokich butach. Chyba idą.
– Wracaj. Wracaj tu i siadaj! – upomniała go matka.
– Nic ze sobą nie wzięłeś – zauważył Elijah, spoglądając na drżące puste dłonie Isaaca.

Ten obrzucił wzrokiem innych, kurczowo trzymających małe torby podróżne z materiału i skórzane walizki, po czym schował ręce do kieszeni płaszcza – pustych, nie licząc zimnego żelaznego klucza do frontowych drzwi domu.

– Nie przejmuj się – ciągnął Elijah. – A zresztą co można ze sobą zabrać w taką podróż? Książki? Ubrania? Jedzenie? Ja na spakowanie się miałem tak mało czasu, że wrzucałem do torby, co popadnie... na przykład czasopismo poświęcone stolarce! Wątpię, żebym kiedykolwiek do niego zajrzał, a jednak je zabrałem, wyobrażasz to sobie?

Isaac czuł, że ten potok słów przynosi mu pociechę. Dopóki Elijah mówił, nie wyobrażał sobie, że dzieje się coś złego.

– Miałem ochotę zabrać ze sobą nuty, ale uznałem, że tam, dokąd jadę, raczej nie dadzą mi fortepianu, więc je zostawiłem. A teraz myślę, że może jednak trzeba je było wziąć. Należały do mojej matki, więc pewnie miło byłoby mieć je przy sobie.

Isaac pomyślał o swoim dobytku – zielonym szlafroku wiszącym na oparciu bujanego fotela w sypialni oraz o należącym do żony zestawie składającym się z grzebienia i szczotki do włosów w srebrnej oprawie, który został na komódce obok flakoników z perfumami; czasami wahał je, by jeszcze raz przywołać jej zapach.

Ciekaw był, kto teraz zajmie się jego domem, czy ktoś w nim zamieszka, razem z jego ubraniami i książkami?

Nagle drzwi wagonu zaczęły się otwierać, więc przechylił głowę, chcąc zobaczyć, co jest na zewnątrz.

Wygoniono ich wszystkich na polną drogę wyłożoną kamiennymi płytami, między którymi wyrastały chwasty i trawa, jak gdyby życie wciąż próbowało się pokazać. Wokół wznosiły się pagórki zamarzniętego nocą szarego błota, w tym samym odcieniu co niebo zasnuwane gęstymi, zapowiadającymi następne opady śniegu chmurami.

W jednej chwili tory zaroily się od ludzi, których strażnicy popychali i ustawiali w mniejszych grupach, a potem oddzielali mężczyzn od kobiet.

– Złóżcie swoje rzeczy tam! – Przed Isaakiem stanął mężczyzna w brązowym wełnianym płaszczu, z przyszytą na piersi gwiazdą Dawida i opaską na lewym ramieniu; policzki miał zaczerwienione z zimna. – Głuchy jesteś? Kazałem ci tam położyć swoje rzeczy! Jazda! Na furmankę!

Elijah zrobił krok w przód i położył na furmance małą brązową walizkę, która szybko zniknęła pod stertą bagażu.

– Nie martw się, spokojna głowa. Dostaniesz ją z powrotem – uspokoił go mężczyzna. – A ty – znów zwrócił się do Isaaca. – Kazałem ci położyć rzeczy na wóz.

– Ale ja nic nie mam – odparł Isaac.

– Nic? Żyd, który niczego nie ma? – Mężczyzna obrzucił wzrokiem żółtą gwiazdę na płaszczu Isaaca.

Ten tylko rozłożył ręce.

Mężczyzna uśmiechnął się do niego drwiąco, jak gdyby czekał na kogoś takiego. Zrobił kilka kroków w kierunku wysokiego esesmana, który stał na uboczu i palił papierosa, otulony grubym czarnym płaszczem z podniesionym kołnierzem, by nie marzła mu szyja. Zdaniem Isaaca wyglądał jak wrona.

Czarna wrona wysłuchał mężczyzny w brązowym płaszczu i jego wąsy drgnęły, zapewne pod wpływem uśmiechu. Wprawnie pstryknął niedopałek, tak że poszybował na kupkę śnieżnej brei. Isaac wyobrażał sobie, że pet zgasł z sykiem, niczym świece, których używał w domu.

Tamci dwaj podeszli do Isaaca i spojrzeli na Elijaha, który mamrotał kolejnemu człowiekowi o czasopiśmie i pytał, czy słusznie zrobił, biorąc go zamiast nut.

– Nazwisko? – Wąsacz stanął przed Isaakiem; przewyższał go co najmniej o głowę.

– Isaac. Isaac Schüller.

– Mój kapo twierdzi, że podobno nic nie masz?

– Nie mam.

– Nic a nic?

Isaac czuł, że poci się pod pachami, mimo że w lodowatym powietrzu z jego ust buchała para.

– Ani jednej rzeczy.

Wąsy znów drgnęły, po czym wrona odwrócił się do kapo i szepnął mu na ucho coś, co tamten skwitował uśmiechem.

I nagle końcówka pałki kapo wyrznęła Isaaca w brzuch. Padł na ziemię, zwinął się w kłębek, a kapo okładał go w plecy i nerki.

– Wyprostuj się! – rozkazał kapo. – Rozłóż nogi!

Nie zważając na ból, Isaac rozciągnął się na ziemi na wznak; oddychał szybko, nierówno.

Kapo ukląkł nad nim i szybko przeszukał wewnętrzne kieszenie płaszcza – jego zawzięta twarz zdradzała rozczarowanie brakiem biżuterii, zegarka czy

portfela. Nagle się uśmiechnął. Powoli wyciągnął skórzany woreczek, niewiele większy od zwykłej koperty. Pokazał go wąsaczowi niczym cenne trofeum.

– Aha. To jest to nic! – warknął wąsacz. – Wstawaj!

Isaac oparł dłonie o kamienne podłoże i podniósł się; stał zgięty wpół, obejmując brzuch w miejscu, gdzie otrzymał najsilniejszy cios.

Spojrzał w lewo z nadzieją, że jest tam Elijah czy ktoś inny, ktokolwiek, kto mógłby przyjść mu z pomocą, ale otaczało go około trzydziestu mężczyzn wpatrzonych w rząd baraków za drutem kolczastym.

Isaac znów spojrzał na esesmana. Wąsacz oglądał właśnie zawartość skórzanego woreczka – maleńkie srebrne i złote narzędzia. Wziął do ręki miniaturowy śrubokręt i przysunął go do oczu, by odczytać wygrawerowane malutkimi literami nazwisko Isaaca.

– Co to za rzeczy? – zapytał.

– Należały do mojego ojca – wykrztusił z trudem Isaac; miał wrażenie, że płuca ma całe w sińcach. – Teraz są moje.

– Twoje? A do czego ci są potrzebne?

– Naprawiam zegarki naręczne i duże zegary. Czasami pozytywki albo szkatułki na biżuterię. A bywa że i zabawki.

– Zabawki?

– Tak. Zabawki dziecięce.

– Lokomotywy?

Isaac skinął głową.

– I zegary, powiadasz? Szafkowe także? Potrafisz je uruchomić, jeżeli zamilkły?

– To wymaga czasu, bo są skomplikowane, ale owszem, potrafię.

Wyraźnie zaciekawiony wąsacz wrzucił z powrotem maleńki śrubokręt do woreczka.

– Co jeszcze?

Isaac próbował sobie przypomnieć wszelkie przedmioty, które naprawił przez te wszystkie lata.

– Czasami, choć rzadko, zamki... Także radioodbiorniki, ale przeważnie zegarki naręczne i stojące.

Wąsacz stracił zainteresowanie i schował woreczek z narzędziami Isaaca do kieszeni.

– Do szeregu! – rozkazał.

Ruchem głowy wskazał krótszą kolejkę mężczyzn, w której stał Elijah – z dala od pozostałych, maszerujących właśnie ku czarnej bramie i wieżyczkom strażniczym obsadzonym przez uzbrojonych wartowników.

– Czekaj w tym szeregu, dopóki nie każą ci się ruszyć. – Kapo popchnął Isaaca w stronę dygoczących z zimna mężczyzn; chowając ręce w kieszeniach, nie spuścili wzroku z obozu oraz gęstych kłębow dymu buchających z budynków za ogrodzeniem.

ROZDZIAŁ DRUGI

FRIEDRICH

Kiedy samochód z chrzęstem wjeżdżał na zwirowy podjazd, okna miały zachlapaną szarą breją, w którą zamienił się śnieg. Friedrich starł dłonią skroploną na szybie parę i ujrzał rozmazany obraz dwupiętrowego budynku z czerwonej cegły, którego wykuszowe okna wychodziły na podjazd. Popatrzył na jedno z nich, sprawdzając, czy ktoś zauważył jego przyjazd, ale zobaczył tylko palące się wewnątrz ciemnopomarańczowe światło.

– Jesteśmy na miejscu. – Kierowca odwrócił się do Friedricha. – Proszę tu poczekać, pójdę po parasol.

Nie słuchając go, pasażer natychmiast otworzył drzwi i zadrżał, gdy lodowaty deszcz dostał mu się za kołnierz i spłynął po kręgosłupie. Podbiegł do lakierowanych na czarno drzwi frontowych i zastukał mosiężną kołatką.

– Friedrich! – Jego matka uśmiechnęła się, otwierając mu drzwi.

Już chciał ją uściskać, ona jednak wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jego głowie, jakby go błogosławiła.

– Zmokłeś – powiedziała, wycierając rękę w kremową spódnicę.

– Gdzie ojciec? – zapytał.

– Zabrałeś wszystkie rzeczy? – Spojrzała nad jego głową na kierowcę taszczącego trzy walizki z brązowej skóry. – Książki? Będą ci potrzebne.

– Zabrałem. Gdzie jest ojciec?

– W pracy. – I udzieliła wskazówek kierowcy: – Pierwsze piętro, pokój po lewej. – A potem zwróciła się do syna: – Co ty robisz?

Friedrich nie był tego pewny. Ociekając wodą, stał na lakierowanym parkiecie obok niedziałającego zegara szafkowego. Skubał brzeg szkolnej marynarki i się rozglądał, jakby liczył, że znajdzie odpowiedź w korytarzu.

– Zamoczyłeś podłogę. – Spojrzała na jego stopy. – Idź się przebrać. Kolacja jest o siódmej, usłyszysz gong. – Ruszyła do drzwi pokoju z wielkimi wykuszowymi oknami, przystanąła w progu i obejrzała się na syna. – Jak miło cię widzieć, Friedrichu. Cieszę się, że jesteś w domu.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, chłopiec odetchnął głęboko, jakby przez cały czas wstrzymywał oddech. Nie uśmiechnęła się, zapewniając, że cieszy się

z jego przyjazdu. Wcale się nie cieszyła i wiedział o tym. Aczkolwiek miał nadzieję, że chociaż raz będzie chciała mieć go przy sobie.

Ruszył schodami na pierwsze piętro i wszedł do swojego pokoju. Przed wąskim oknem wychodzącym na zwirowy podjazd stało pojedyncze łóżko, podłogę pokrywał puszysty zielony dywan w tym samym odcieniu co zasłony, a na biurku stało w ramce małe zdjęcie przedstawiające jego rodziców. Nawet w szkole miał więcej rzeczy – obrazy na ścianach, książki, zabawki. Spojrzał na walizki na podłodze. Spakował tyle, ile zdążył, ale musiał się zbierać w takim pośpiechu, że większość rzeczy zostawił. Wiedział, że jego szlafrok wciąż wisi na drzwiach pokoju w internacie, obok szlafroka Ottona, którego też ściągnięto do domu.

– Jak myślisz, o co tu chodzi? – zapytał Otto, gdy zaczerwienieni z wysiłku pakowali się szybko.

– O nic. Może dlatego, że nie jeździliśmy do nich na ferie świąteczne, tym razem pojedziemy do domu, gdzie będzie choinka i prezenty? – W głosie Friedricha brzmiała nadzieja, chociaż wcale w to nie wierzył.

– Wątpię. Wiesz, że połowa szkoły jedzie do domu. To pewnie przez te bomby z zeszłego tygodnia... rodzice najedli się strachu.

– Nie moi. – Friedrich usiadł, podciągnął kolana pod brodę i objął je ramionami. – Oni to mają w nosie. Idę o zakład, że ucieszyliby się, gdyby jakaś bomba spadła na naszą szkołę.

– Nie mów tak. – Otto żartobliwie szturchnął go pulchną ręką w ramię. – Są zajęci. No wiesz, przecież twój ojciec jest jakby prawą ręką Führera! Musi się przenosić z miejsca na miejsce i załatwiać różne sprawy. A twoja matka musi z nim jeździć, prawda? I w każdym nowym miejscu urządzać mu miły dom. Moja mama mówi, że dbanie o męża to najważniejszy obowiązek żony. Kiedyś właśnie takiej będę szukał.

– A co z jej synem?

– Daj spokój, Fried. Wcale nie jest tak źle. Pojedziesz, zobaczysz się z nimi i ani się obejrzysz, jak obaj będziemy z powrotem.

– A jeśli nie?

Otto wzruszył ramionami.

– Wtedy będziemy do siebie pisać, a zobaczymy się w lecie. Daj znać, jaki jest ten twój nowy dom. Może mógłbym do ciebie przyjechać na lato?

– Nowy to przesada. Mieszkają w nim już prawie dwa lata, a ja jeszcze go nie widziałem.

– Czyli dla ciebie jest nowy! Masz pojęcie, jakie możesz mieć tam przygody? Kurczę, mam nadzieję, że pomyśleli o ogrodzie dla ciebie. Moglibyśmy zbudować domek na drzewie!

Teraz Friedrich stał przy tym skrawku okna w swoim nowym domu na wsi pod Monachium, patrzył na szary żwirowy podjazd, na otaczający posiadłość szary kamienny mur i czarną kamienną bramę, solidnie broniącą dostępu. Czy tu wszystko jest szare? A gdzie ogród?

Wyszedł z pokoju i zaczął naciskać klamki drzwi po przeciwnej stronie korytarza – pewnie stamtąd jest widok na ogród – ale wszystkie trzy pokoje były zamknięte na klucz. Spróbował się dostać do każdego z nich, naciskał klamki po kilka razy, a nawet napierał chudym ciałem jedenastolatka na ciężkie dębowe drzwi, jak gdyby chciał je wyważyć.

Zirytowany wrócił do swojego pokoju, położył się na wąskim łóżku i zapadł w niespokojny sen; po jego zimnych policzkach cichutko płynęły łzy.

Zbudziły go trzy uderzenia w gong, których dźwięk odbił się echem od gołych ścian jego pokoju i korytarza z pozamykanymi drzwiami. Usiadł na brzegu łóżka, stał sen z oczu, otworzył walizkę i wyjął czystą jasnoniebieską koszulę i granatowe spodnie.

Przebrawszy się, zszedł po schodach, zwracając uwagę na wiszące na ścianach obrazy – akwarelę przedstawiającą pejzaż nadmorski, namalowaną ponoć przez jego matkę w dzieciństwie, oraz zbrązowiałą fotografię dziadka i jego ojca, kiedy był mały; ich czarne jak smoła oczy wydawały się martwe, a jednak śledziły go, kiedy je mijał.

– Pośpiesz się! – Słyszając donośny głos matki, przyśpieszył kroku na ostatnich schodkach i stanął w holu, rozglądając się za jadalnią. – Tutaj! I przestań się tak guzdrać.

Friedrich spojrział w lewo i za uchylonymi drzwiami dostrzegł biały lniany obrus, srebrne sztućce oraz ojca.

Wszedł do pomieszczenia i zajął przygotowane dla niego miejsce pod oknem. Ojciec siedział u szczytu stołu, a naprzeciwko niego matka ubrana w suknię z tafty w kolorze śliwki, kontrastującym z jej niemal białymi blond włosami.

– Ojciec – powiedział Friedrich, kładąc serwetkę na kolanach.

Ojciec oderwał się od lektury sterty papierów.

– A więc przyjechałeś.

– Tak.

– Peter, nie czytamy przy stole. – Głos matki był wysoki i pogodny. Zachichotała, gdy mąż poklepał ją po ręce.

– Bardzo słusznie, moja droga. Masz rację. Nowa sukienka?

Wygładziła fałdy na kolanach.

– Uszyto ją na podstawie zdjęcia sukni Ewy, w której była w teatrze z Führerem. Moim zdaniem jest niemal identyczna!

– Wyglądasz doskonale, moja droga. Po prostu idealnie. – Znowu poklepał ją po dłoni.

Friedrich przesunął się na krześle.

Do jadalni weszła służąca w sukience w biało-niebieskie paski i z chabrowym czepkiem na głowie. Nie patrząc na chłopca, obeszła stół dookoła, nalewając do talerzy zupę.

Gdy doszła do Friedricha, poczuł jej zapach. Pachniała ziemią, na której bawił się jako małe dziecko, potem oraz stęchlizną, niczym wilgotna piwnica, jakby chowała się pomiędzy zakurzonymi butelkami wina i pudłami pełnymi starych ciuchów. Kiedy nalewała mu zupę, jej ręka lekko zadrżała; trochę płynu prysnęło z talerza i zachlapało obrus.

– Anno! No wiesz! – zawołała matka.

Anna nie podniosła wzroku, nie odezwała się. Jej ręka trzęsła się coraz bardziej. Friedrich widział pajęczynę niebieskich żył pod napiętą skórą na nadgarstku.

– Anno, idź sobie! Przyślij tu Gretę. I już mi się nie pokazuj wieczorem, na dzisiaj mam cię dość!

Friedrich spojrzał na ojca, który sprawiał wrażenie, jakby nie dostrzegał obecności służącej, i z apetytem jadł zupę. Co jakiś czas moczył w niej wąsy, a wtedy szybko jak wąż wysuwał język i zlizywał krople płynu.

– Peter, naprawdę uważasz, że to dobry pomysł? – spytała jego matka, gdy Anna wyszła z jadalni. – Czemu nie możemy wziąć miejscowej dziewczyny, jak ostatnim razem? Z tej nic nie będzie, jest do niczego.

Ojciec puścił jej słowa mimo uszu i spojrzał na Friedricha. Krzaczaste brwi tak skutecznie zakrywały jego oczy, że syn właściwie nie wiedział, jakiego są koloru.

– Przywiozłeś ze sobą wszystkie podręczniki? – zapytał chłopca.

– Tak, ojcze.

– Dobrze. Zanim się zjawi korepetytor, minie kilka tygodni, więc liczę, że przez ten czas będziesz się uczył sam.

– Korepetytor? To już nie wrócę do szkoły? – Friedrich zamieszał łyżką zupę, myśląc o Ottonie.

– Nie.

– Dlaczego?

Friedrich najchętniej natychmiast cofnęłyby to pytanie. Jego matka wstrzymała oddech, a ojciec odłożył łyżkę na stół obok talerza.

– Powiedziałem: nie. To ci powinno wystarczyć.

– Przepraszam – bąknął chłopiec. Czuł się, jakby znowu był małym brzdącem, wiecznie zadającym pytania. „Dlaczego niebo jest niebieskie?”.

„Dlaczego nie mogę dostać ciasta?”. Nie miał prawa do zadawania pytań, ani wtedy, ani teraz.

– Siedź w swoim pokoju, czytaj, ucz się. I nie wchodź w drogę matce, ma ręce pełne roboty.

Drzwi jadalni otworzyły się powoli i wszedł niski mężczyzna. Brzuch zwisał mu nad czarnym paskiem, a grube uda rozpychały nogawki szarych spodni. Nie prosząc o zgodę na wejście do pokoju, nieznajomy podszedł do ojca Friedricha. Chłopiec patrzył, jak jego mały jak u Führera wąsik drga, gdy mężczyzna szuka właściwych słów.

– Przyniosłem je – wykrztusił w końcu, zwracając się do pana domu. W kącikach jego ust natychmiast pojawiły się białe kropelki śliny, co sprawiło, że chłopak odruchowo otarł usta serwetką.

– Dobra robota, Schmidt – pochwalił go ojciec Friedricha, biorąc od niego jakieś papiery.

– Już tu jest – zauważył Schmidt, ruchem głowy wskazując chłopaka, ale zwracając się teraz do jego matki.

– Przyjechał dzisiaj – odparła. W jej głosie słychać było zmęczenie.

Grubas wydał taki dźwięk, jak nauczyciel matematyki Friedricha, kiedy uczeń udzielał złej odpowiedzi.

Ojciec podniósł wzrok.

– Friedrichu, to jest mój asystent, Herr Schmidt. Kiedy wyjadę, czasami będzie przychodził i pracował w moim gabinecie. Nie kręć mu się pod nogami, zrozumiano?

Chłopak pokiwał głową.

– Pod moją nieobecność i jeśli matka będzie zajęta, masz się go słuchać. A on mi opowie o wszystkim, co robiłeś.

Friedrich spojrzał na tłustego Schmidta. Grubas wyginał w uśmiechu cienkie wargi, w kącikach jego ust nadal błyszczała ślina.

– Tak, ojcze.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Czy on będzie tu jutro? – zapytał ojciec.

– Sam go zabiorę – zapewnił Schmidt, odwrócił się od nich i szybko ruszył do drzwi; na parkiecie zadudniły jego ciężkie kroki.

Friedrich wzdygnął się na myśl, że miałby zostać w domu sam na sam ze Schmidtem. Beznamiętne spojrzenie ciemnych świńskich oczu oraz sposób, w jaki grubas zwracał się do jego rodziców, przywodziły mu na myśl nauczyciela, który nie waha się używać trzcinki.

Powoli jadł zupę, usiłując nie myśleć o ślinie w kącikach ust Schmidta. W końcu ciszę przerwała matka, paplając o Ewie Braun, jej strojach i fryzurze.

– Czy jest tu ogród? – spytał chłopiec, kiedy na chwilę przestała mówić.

– Jest – odparł ojciec. – Za domem. Ciągnie się aż do strumyka i kępy drzew. Możesz się bawić aż do linii drzew, ale ani kroku dalej. Zrozumiano?

– Tak, ojcze.

– Świetnie.

– Czy mogę zbudować na drzewie domek? I może Otto mógłby mnie odwiedzić...? – zamilkł, widząc minę ojca.

– Otto cię nie odwiedzi – powiedziała matka. – I nie będzie żadnego domku na drzewie.

Chłopca korciło, żeby spytać o powody, ale wiedział, że to zły pomysł. Zmienił więc temat:

– Czy przywiozłaś tu moją kolejkę i tory?

– Friedrich! – Matka skubała sznur pereł na szyi. – Jesteś tu niecały dzień, a już mnie wymęczyłeś tymi wiecznymi pytaniami!

– Już dobrze, Liesl. – Ojciec wstał i pocałował ją w czubek głowy. – Sam wiesz, Friedrichu, że twoja matka szybko się męczy. Daj jej spokój.

– Chciałem poszukać kolejki, ale wszystkie inne pokoje były zamknięte na klucz – powiedział chłopiec.

– Już ją znalazłem. Jest w pokoju gościnnym. Jutro ci ją przyniosę.

– Jeśli mi dasz klucz, sam po nią pójde – zaryzykował chłopiec. Chciał zobaczyć widok z drugiej strony domu, ogród i strumień, wyobrazić sobie, że kiedyś zbuduje na drzewie domek i usiądzie wysoko na gałęziach, niemal dotykając nieba. – Dzięki temu nie fatygowałbym ciebie ani matki.

Ojciec oparł się na krzesło.

– Powiedziałem, że ci ją przyniosę. Skądinąd nie mam pojęcia, jak chcesz się nią bawić. Silnik jest zniszczony, a zresztą jesteś już na to o wiele za duży, jesteś niemal mężczyzną! – Ojciec sztucznie parsknął śmiechem i walnął ręką w stół, jakby właśnie opowiedział doskonały dowcip, a matka roześmiała się serdecznie wraz z nim. Friedrich podziękował, wstał i zostawił rodziców samych. Gdy tylko odszedł od stołu, oboje odprężyli się i zaczęli rozmawiać, ale opuszczając pokój, nie słyszał już, o czym mówią.

Rozpakował walizki, ustawił książki na pustej półce i przybił na ścianie zdjęcie, na którym on i Otto, ubrani w białe szorty, koszulki i czarne trampki, stoją na skraju bieżni. Uśmiechali się do obiektywu aparatu, obejmując się za ramiona. Na ich rękach widać było niewielkie ślady po tym, jak poprzedniej nocy ślubowali sobie braterstwo krwi i nożykiem do listów nacięli miękką skórę wnętrza dłoni – raptem centymetr – po czym wymienili uścisk rąk.

Czy jeszcze kiedyś zobaczy Ottona? Odczeka dzień czy dwa i pewnie będzie mógł wrócić do tematu i zaprosić go na wiosnę. A wtedy może uda im się potajemnie zbudować domek na drzewie, tak by rodzice nigdy go nie zauważyli.

Usłyszał ciche kroki w korytarzu i lekkie pukanie, więc zerwał się z łóżka z nadzieją, że to ojciec przyniósł mu kolejkę albo matka przyszła powiedzieć mu dobranoc.

Po drugiej stronie drzwi nie było jednak nikogo, na podłodze stała tylko srebrna taca, a na niej talerz z mięsem, chlebem i serem oraz szklanka mleka. Rozejrzał się w korytarzu i zobaczył znikający na schodach chabrowy czepek Anny, zmierzającej na dół, do jego rodziców oraz pustego holu domu, którego nie znał.

ROZDZIAŁ TRZECI

ANNA

Anna wsunęła dłonie pod pachy, chroniąc je przed przenikliwym zimnem, od którego jej palce najpierw zbieleły, a potem zsiniały. Szła za Schmidtem, noszącym gruby płaszcz i skórzane rękawiczki. Idąc, grubas palił cienkie cygaro i nucił nieznaną Annie piosenkę, która jej się nie podobała.

Stopy paliły ją żywym ogniem, gdy z chrzęstem brnęli po zmarzniętym śniegu – i tak już mokre skarpetki nasiąkały lodowatą wodą wpadającą do jej butów przez dziury w cienkich podszwach. Drózkę otaczały gęste sosny i przez chwilę, w świetle księżyca w pełni oraz punkcików gwiazd, wyobrażała sobie, że spaceruje po lesie, bezpieczna, bo Piotr trzyma ją za rękę, wyjaśniając, który gatunek sowy właśnie pohukuje wśród drzew, czym się żywi i gdzie mieszka. Gdyby był teraz przy niej, wiedziałaby, jak uciec i schować się w lesie, jak wykopać dziurę, w której można by się ukryć, i jak zdobyć coś do jedzenia.

Nagle Schmidt stanął, odwrócił się do niej i uniósł rękę na znak, że ma się zatrzymać. Nerwowo przekręcał głowę z boku na bok, jakby nasłuchiwał czegoś w panującej ciszy.

– Co się dzieje? – szepnęła.

– Ciii!

Anna szczykała zębami, jej nogi dygotały z zimna, zmęczenia i głodu, miała wrażenie, że całe jej ciało żyje i działa niezależnie od niej.

– Kazałem ci być cicho! – syknął Schmidt.

Próbując nie dzwonić zębami, wstrzymała oddech i czekała.

Nagle, jakby wszystko wróciło do normy, Schmidt ruszył dalej, znowu paląc cygaro.

Mimo że obóz od domu dzieliło zaledwie półtora kilometra, Schmidt najwyraźniej czerpał przyjemność z poganiania Anny do pracy, docierała więc na miejsce zasapana, z twarzą zlaną potem, ale kiedy przychodziła pora powrotu, gdy mogła coś zjeść i się przespać, włókł się noga za nogą.

Próbowała zwolnić, żeby dopasować się do jego tempa. Szła ze zwieszoną głową, wbijając wzrok w przemoczone brązowe buty, które wcale do niej nie należały. Była ciekawa, kto je nosił przed nią, ktoś młody czy stary? A potem przypomniała sobie zwłoki – taszczone, wleczone, rzucane na furmanki, a potem

palone w wielkim dole niedaleko jej baraku – i zrobiło jej się niedobrze na myśl, czyje to były buty.

Przypomniała sobie twarz Piotra, ciemnozielone oczy, w których lśnił jego uśmiech, i jaki był szczęśliwy, będąc z nią. Pomyślała o jego obuwiu – o lichych butach bez jednej sznurówki, w których chodził, kiedy byli na wsi, i o wypastowanych półbutach, które wkładał, zabierając ją na kolację albo na tańce.

Wyobraziła sobie teraz jego stopy obok jej stóp, poruszające się w tym samym tempie niczym lustrzane odbicie, jak gdyby szli kościelną nawą, a ich rodziny uśmiechały się do nich.

– *Guten Abend*. – Głos Schmidta wyrwał ją z zamyślenia, więc uniosła głowę i zobaczyła przed sobą bramę z kutego żelaza, wartownię i strażników z przewieszonymi przez ramię karabinami.

Schmidt powiedział coś do strażników, którzy nie zwracali na Annę uwagi, dopóki nie wskazał jej ruchem głowy. Zrobiła może z dziesięć kroków do przodu i znalazła się za bramą, w mroku obozu.

*

Kiedy weszła do swojego baraku, żadna jeszcze nie spała; rozbierały się, prezentując chude ręce i nogi, z powodu zimna pokryte gęsią skórą. Anna podeszła do swojej pryczy, na górnym łóżku leżała już Nina, zakryta po szyję kocem i z zamkniętymi oczami.

– Wróciłaś! – zawołała Nina z takim przejęciem, jakby się nie widziały od tygodni, choć był to tylko jeden dzień.

– Myślałam, że już śpisz. – Anna przysiadła na brzegu swojej pryczy, zdjęła buty i ściągnęła mokre skarpetki.

– Czekałam na ciebie. I jak poszło? Dzisiaj było lepiej?

Anna przypomniała sobie, jak Liesl obrugała ją za rozlanie zupy.

– Nie bardzo.

– Myślisz, że jeszcze kiedyś cię tam wezmą? To chyba lepsze niż praca w pralni?

Anna położyła się na pryczy i naciągnęła cienki koc na przemarznięte ciało.

– Masz mokre skarpetki. – Nina zeszła i powiesiła przetarte skarpetki na skraju górnej pryczy; woda kapiała z nich na drewnianą podłogę. – Naprawdę było aż tak źle?

– W ich obecności denerwuję się tak, że nie potrafię opanować rąk. – Anna wyciągnęła dłonie do Niny, by ta mogła zobaczyć, że nadal się trzęsą, choć nie

była pewna, czy dygoczą z zimna, czy ze zmęczenia.

Nina ujęła jej dłonie i zaczęła je ogrzewać. Anna uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością. Przyjaciółka była od niej młodsza, a jednak miała na twarzy piętno niemal rocznego pobytu w Auschwitz przed przeniesieniem do tego obozu; kiedy się uśmiechnęła do Anny z otuchą, kości policzkowe napięły skórę na jej wychudłej twarzy.

– Wiesz, że inne ci zazdroszczą? – Nina przesiadła się na pryczę Anny, wciąż trzymając jej dłonie, by wpuścić w nie trochę ciepła.

– Nie mają czego – odparła Anna.

– Pewnie to dlatego, że ominął cię dzisiejszy apel. Przez trzy godziny musiałyśmy stać na śniegu. Przeliczyli nas dopiero po dwóch godzinach, a potem uznali, że się pomylili w rachunkach, i kazali nam czekać na następne sprawdzanie obecności.

– A mimo to nie śpisz, tylko mnie ogrzewasz – powiedziała Anna.

– Bo nie zapomnę, jak mi pomogłaś, kiedy tu przyjechałam. Dzieliłaś się ze mną jedzeniem i dzięki tobie przeżyłam, więc teraz może ja choć trochę będę ci się mogła odwdziaczyć.

Od wejścia dobiegł krzyk, że czas spać, i kilka sekund później barak pogrążył się w ciemności.

Anna poczuła, że Nina się odsuwa, usłyszała skrzypienie, kiedy przyjaciółka wchodziła na górną pryczę, potem cichutkie „dobranoc” i zapadła cisza, w której słyhać było tylko głęboki oddech śpiących kobiet.

Anna obudziła się zwrócona twarzą do ściany. Otworzywszy oczy, spojrzała na deszczułki pryczy, w których wyryto rozmaite napisy. Przesunęła dłonią po drewnie; pod palcami wyczuwała nazwiska i daty, nie ośmieliła się jednak wypowiedzieć ich na głos.

Z powrotem zamknęła oczy. Pragnęła zasnąć, ale w ciemności pod powiekami widziała tylko tego chłopca z poprzedniego wieczoru, Friedricha – syna Sturmbannführera Bechera. Dzieciak był drobny i szczupły, a jednak po tym, jak się ruszał i jak siedział, widziała, że wyrośnie na wysokiego i silnego mężczyznę. Jego niebieskie oczy i jej czepek miały ten sam odcień, więc omal nie wybuchnęła śmiechem i nie powiedziała mu, że pasują do siebie jak bliźnięta. Kiedy rozlała zupę, Liesl Becher zezłościła się na nią, więc Anna spędziła resztę wieczoru w spiżarni, sortując i układając zapasy, aż w końcu Greta dała jej trochę chleba i gotowanych ziemniaków, po czym przyszedł Schmidt i odstawił ją z powrotem do obozu.

Słyszała, jak ostrożnie chłopiec zwraca się do rodziców, i wyobraziła go sobie jako małego jelenka w obliczu dwóch szykujących się do ataku tygrysów –

przezornie kalkulował każdy ruch i dźwięk, jakby lada chwila mogły się na niego rzucić. Odszedł od stołu, zjadłszy tylko odrobinę zupy, więc przygotowała dla niego nowy talerz, chociaż Greta ostrzegła ją, żeby tego nie robiła – gdyby matka chciała nakarmić syna, sama by o to zadbała. Anna wiedziała jednak, że skoro mąż zjawiał się w domu, Liesl w ogóle nie przyjdzie to na myśl. Będzie tylko gadała do męża, mimo że ten jej nie słucha, a potem usiądą w salonie i popijając wino albo whisky, będą się napawać muzyką dobiegającą z mosiężnej tuby gramofonu.

Friedrich przypominał Annie Eliasa, jej młodszego brata, nieśmiałego, ale dzielnego – w oczach miał taki błysk, jakby w każdej chwili mógł zaskoczyć wszystkich dowcipem, piosenką albo tańcem. Wyrzuciła obraz brata z głowy, żałując, że w ogóle o nim pomyślała.

– Nie śpisz? – doleciał ją szept Niny z górnej pryczy.

– Nie – odparła również szeptem.

Nina zeszła i położyła się na pryczy obok Anny; kiedy się przytuliły do siebie, od razu zrobiło im się cieplej.

– Myślałam o Kubie – powiedziała Nina, a gdy się odezwała, jej oddech połaskotał Annę w ucho.

– Wiem. A ja myślałam o Eliasie.

– Ale ty przynajmniej wiesz, co się z nim stało. Ja nie mam nawet tego.

Anna miała ochotę zrugać ją za tę bezmyślną uwagę, ale przyjaciółka miała dopiero dziewiętnaście lat, a zresztą Anna wiedziała, jak dotkliwie tęskni za starszym bratem, z którym rozdzielili ją, kiedy trafiła do Auschwitz, a jego wysłali gdzieś indziej.

– Myślisz, że on tu jest? Pytam o niego wszystkich, ale nikt nie słyszał jego nazwiska – odezwała się Nina cichym głosem małej dziewczynki.

– To znaczy, że nie powinnaś tracić nadziei.

– Uważasz, że może jeszcze żyje? – Błagalny ton Niny świadczył o tym, jak bardzo pragnęła, żeby to była prawda.

– Ja to wiem – odparła Anna, odwracając się do przyjaciółki, tak że niemal się zetknęły nosami; czekoladowe oczy Niny były podobne do oczu królika.

– Brakuje mi cię w pralni.

– Ja też za tobą tęsknię.

– A z drugiej strony, kiedy tam jestem, ręce mnie pieką od prania ubrań i myślę o tobie w tamtym domu, żałuję, że nie wybrali mnie. Myślę, że byłabym dobrą służącą.

– Ty jesteś dobra we wszystkim. – Anna uśmiechnęła się do Niny i nosem dotknęła czubka jej nosa. – Pracujesz ciężko, bo tak trzeba. Dzięki temu pewnego dnia będziesz mogła robić, co zechcesz.

– Na przykład zostanę tancerką. – Nina na chwilę zamknęła oczy, Anna zaś pomyślała, że przyjaciółka wyobraża sobie, jak wiruje przed wiwatującą publicznością. – A ty kim chciałabyś zostać, Anno? – Nina otworzyła oczy.

– Ja już jestem na to za stara.

– Masz dopiero dwadzieścia dziewięć lat, wciąż możesz się na coś zdecydować.

– Czuję się znacznie starsza.

– Ja też. Czuję się stara. Wszystko mnie boli... kości, nogi.

Słyszając to, Anna poruszyła palcami stóp i poczuła ból. Zupełnie jakby, odkąd tu przybyła, wszystkie jej mięśnie i ścięgna były napięte, kości zostały połamane i złożone, a skóra się skurczyła, gdy zniknął tłuszcz wypełniający piersi, uda i brzuch, tak że został jedynie szkielet podtrzymujący jej głowę i umożliwiający pracę.

– Nie wiem. Na razie jestem służącą, ale pewnego dnia może będzie inaczej.

– Oczywiście, przecież stale to powtarzasz, prawda? Nie wierzysz, że nasz los się odmieni?

– Może twój, kochana.

– A czemu nie twój? – W ciemności twarz Niny wydawała się zbolą, jakby dziewczyna miała się rozpłakać.

– Mój może też – bąknęła Anna. Wysunęła rękę spod cienkiego koca i zaczęła gładzić włosy Niny, odrastające po ogoleniu w Auschwitz; przywodziły teraz na myśl miękkie jak puch włoski niemowlęcia. – Może i mój los się odmieni.

Kojący dotyk przyjaciółki sprawił, że Nina zasnęła. Anna miała nadzieję, że znów jej się przyśni Kuba, zapewniający siostrę, że wszystko jest na dobrej drodze i że wkrótce znów będą razem.

Po raz drugi Anna obudziła się, gdy w baraku zadudnił głos Aufseherin Margarete Lange, zapowiadający nadejście nowego dnia.

Nina nie leżała już na pryczy Anny, tylko ścieliła swoją. Naciągała koc na poduszkę tak starannie, jakby była we własnym domu.

Anna spuściła nogi z pryczy. Stojąc boso na drewnianej podłodze, czuła, jak lodowaty ziąb przeszywa podeszwy jej stóp. Szybko włożyła roboczy drelich, obwiązała skrawkiem niebieskiego materiału przetłuszczone kasztanowe włosy, ułożyła równo koc na pryczy i ustawiła się w kolejce po śniadanie.

Przed nią stała Joanna, kobieta, którą poznała dopiero w obozie, choć jak się okazało, pochodziła z sąsiedniej wioski.

– Nawet się jeszcze nie rozwidniło – powiedziała Joanna, gdy pozostałe kobiety budziły się i ubierały. – Kto by pomyślał, że chce im się wstawać przed świtem tylko po to, żeby nas obudzić.

– Najwyraźniej Lange to lubi – odparła Anna. Tymczasem Aufseherin robiła obchód w baraku. Popychała kobiety, od czasu do czasu uderzając którąś grzbietem dłoni, jeśli uznała, że rusza się zbyt ślamazarnie.

Anna patrzyła, jak Lange przechodzi na tył baraku i wrzeszczy na wciąż skuloną na pryczy Marguerite.

– Wstawaj! Wstawaj, leniwa świnio! – krzyknęła.

Kobieta ani drgnęła, więc Lange walnęła w leżący na pryczy tobołek pałką. Liczyła na jakąś reakcję, ale się nie doczekała.

– Ej, ty tam! – Wskazała pałką Annę. – Chodź tu.

Anna podeszła, wiedząc, co zobaczy, kiedy zostanie zmuszona do odkrycia Marguerite.

– Ściągnij z niej koc – padło polecenie.

Anna nie chciała tego robić. Wyobrażała sobie, co ujrzy pod kocem, a miała już dość patrzenia na śmierć. Zdarzało się to codziennie – albo w tym baraku, albo w drugim – ponieważ z innych obozów przysyłano kolejne partie więźniarek, słabowitych, chorych i wyczerpanych. I umierały na jej oczach.

– Kazałam ci ją odkryć! – Lange uderzyła Annę w rękę, tak że zapiekła ją z bólu.

Anna powoli odsunęła koc. Pod nim leżała blada, chuda jak szkielet Marguerite, z zamkniętymi oczami; na tle porcelanowej skóry odcinały się czarne rzęsy. Anna delikatnie dotknęła jej szyi, szukając pulsu, choć dobrze wiedziała, że go nie wyczuje.

– Nie żyje? – spytała Lange, unosząc brwi.

Anna skinęła głową. Żołądek podchodził jej do gardła na widok Marguerite, leżącej z rozchyłonymi ustami, jak gdyby umarła, biorąc głęboki oddech.

– Jak zjecie, przyniesiecie ją na apel.

Anna spojrzała na twarz Lange – na zapadnięte oczy w pulchnej twarzy, na wydatne, zawsze wilgotne i zbyt czerwone usta, jak gdyby właśnie skończyła jeść; szukała jakichś oznak emocji, ale dostrzegła jedynie niesmak.

– Słyszysz, co mówię? – spytała Lange, szturchając Annę mocno w ramię.

– Tak, Aufseherin. – Anna wbiła wzrok w swoje stopy.

– Wszystkie jesteście beznadziejne! Nie ma z was żadnego pożytku! – ryknęła Lange; jej głos odbił się echem od gołych ścian.

Powłócząc nogami, Anna ustawiła się w kolejce. Kobiety kolejno myły się szybko w zimnej wodzie w jedynym tu zlewie, a potem z blaszanymi kubkami podchodziły do robotnic z obozowej kuchni, które nalewały im chochlą słabą kawę.

Anna wyjęła z kieszeni kawałek niemal czerstwego chleba i usiadła na swojej pryczy, obok Niny, która trzymała jedynie kubek z kawą.

– Gdzie twój chleb? – spytała Anna.

– Zjadłam wczoraj wieczorem – odparła Nina i wypła łyk kawy.

– Wiesz, że teraz połowę trzeba zostawiać na potem. Tak mówili, to ma nam wystarczyć na kolację i śniadanie.

– Nie mogłam się powstrzymać – odparła Nina.

Anna spojrzała na swój kawałek chleba. W oczekiwaniu na jedzenie ślina napływała jej do ust, a w brzuchu burczało z głodu.

– Weź. – Podsunęła swój chleb Ninie.

– Nie! Nie mogę. Jest twój.

– Wieczorem zjadłam trochę ziemniaków i chleba, nie jestem głodna.

– Oni dają ci jeść? – Nina sięgała już po chleb.

– Wczoraj nakarmiła mnie Greta, kucharka, może znowu to zrobi. – Anna przycisnęła ramię do ramienia przyjaciółki.

Nina z pełnymi ustami pokiwała głową, pochłonęła czarny chleb i popiła go kawą.

Gdy tylko Anna skończyła pić, zobaczyła, że Lange kiwa na nią ręką, żeby przeniosła Marguerite na plac apelowy, gdzie każda z nich zostanie policzona i przeszukana.

– Pomogę ci – zaproponowała Nina.

– Oszczędzaj siły. Poproszę Joannę.

Joanna niechętnie pomogła Annie przenieść ciało Marguerite z baraku na plac. Anna chwyciła zwłoki za nogi, a Joanna pod pachy; kończyny zmarłej już zeszywniały.

– Liczenie jej nie ma sensu – fuknęła Joanna. – Przecież ona nie żyje. Można po prostu oświadczyć, że Marguerite umarła, i koniec.

– Przynajmniej odeszła we śnie – powiedziała Anna, oglądając się przez ramię i sprawdzając, czy dobrze idzie, bo drobila małymi kroczkami do tyłu.

– Następny będzie tyfus. Dwa dni temu wybuchła epidemia w barakach Cyganów, kiedy zwieźli najnowszą partię. Teraz są na kwarantannie. Założę się, że Marguerite też go złapała.

– Nie była chora.

– Ależ skąd, pomijając to, że bez przerwy kaszlała i się dusiła, była całkiem zdrowa – odparła oschle Joanna.

Ułożywszy zwłoki Marguerite na ziemi obok siebie, ustawiły się w kilku rzędach i czekały na wywołanie numerów, które miały wyszyte na swoich ubraniach. Sprawdzono listę obecności; w nocy do Marguerite dołączyło jeszcze kilka osób.

Kiedy wyczytywano numery, Lange przechadzała się między kobietami, oglądając ich ubrania i szukając plam, rozdarć, czegokolwiek, co dałoby jej

pretekst do użycia pałki.

Anna stała wyprostowana, patrząc prosto przed siebie i skupiając wzrok na głowach kobiet, oświetlonych od tyłu przez reflektory na wieżach strażniczych. W nieruchomym powietrzu wisiała para z ciepłych oddechów, choć ich ciała trzęsły się i dygotały z zimna.

Nagle przestano wyczytywać numery.

– To już koniec? – szepnęła Joanna do Anny.

Zanim Anna zdążyła odpowiedzieć, rozległ się krzyk i wszystkie kobiety odwróciły się, patrząc, kogo tym razem Lange upatrzyła sobie na swoją ofiarę.

Była to młoda kobieta, prawdopodobnie w wieku Niny albo nawet młodsza. Zemdląca, więc teraz Lange darła się na nią. Anna ujrzała, jak nadzorczyńsi schyla się nad dziewczyną, unosi rękę, poprawiając uchwyt na pałce, i tłucze ciało leżącej, tak że podskakiwało niczym wyrzucona na brzeg ryba.

Anna wzdrygała się przy każdym ciosie – jeden, dwa, trzy, cztery... To już nie mogło trwać długo. Pięć, sześć... Anna mocno zagryzła wargę i poczuła w ustach metaliczny smak krwi. Siedem, osiem...

Ciało przestało podrygiwać, kobieta znieruchomiała tak samo jak Marguerite.

Dziewięć, dziesięć... W końcu Lange przestała. Wstała, poprawiła żakiet i starła pot z czoła.

– Niech to będzie nauczka dla was wszystkich – powiedziała i pokiwała głową. – Liczymy od początku – dodała z uśmiechem. Kobiety zamarkiły w bezruchu i odliczanie zaczęło się od nowa.

– Dzisiaj to trwało dwie godziny – powiedziała Joanna, gdy kobiety się rozeszły, ruszając do przydzielonych im zajęć. – Liczyłam. Każdą sekundę. Liczyłam. Dwie godziny. W innych obozach to trwa dłużej, czasami nawet pięć godzin. Wiesz, że masz szczęście, że trafiłaś akurat tutaj, a nie gdzieś indziej. Ja wcześniej przeszłam przez dwa inne obozy.

Szczęście, pomyślała Anna. Miała szczęście, bo była tutaj zaledwie pięć miesięcy. Miała szczęście, że była tak chuda i słaba jak pozostałe. Jeszcze raz chwyciła zmarłą za nogi, a Joanna ujęła ją pod pachy.

Patrzyła na twarz Marguerite, gdy szły do furmanki wyładowanej już poranną porcją zwłok. Zawsze wyobrażała sobie, że na twarzach umierających ludzi maluje się spokój, w każdym razie tak powiedziała jej matka, gdy umarł ojciec; że teraz jest spokojny. Marguerite nie wydawała się spokojna. Jej skóra nie przypominała już skóry ludzkiej, raczej wyprawioną skórę zwierzęcą zostawioną na słońcu, by wyblakła. Brakowało jej trzech przednich górnych zębów, zostały po nich tylko dziury w dziąsłach. Usta miała wysuszone, spękane i brązowe. Nie była spokojna.

Wtaszczyły jej ciało na furmankę, na zwłoki dwóch innych kobiet w nieokreślonym wieku; ich wciąż otwarte oczy były szklane i suche.

– Jeśli umrę następna, chcę, żebyś to ty zaniósła mnie na plac apelowy. Zrobisz to dla mnie, Anno? – spytała Joanna, wycierając ręce w spódnice.

Anna kiwnęła głową. Joanna odeszła, zostawiając ją z Lange, z którą Anna miała iść do bramy, gdzie czekał już Schmidt, by zaprowadzić ją do domu Becherów.

Gdy Schmidt zostawił Annę przed kuchennymi drzwiami domu, usłyszała, jak Friedrich woła matkę.

Weszła do kuchni, gdzie Greta, mieszkanka pobliskiej wioski, siedziała na małym drewnianym stołku i obierała ziemniaki; umyte skórki wrzucała do wiaderka stojącego u jej stóp. Annę korciło, żeby chwycić tych skórek, ile się da, i objadać się nimi tak długo, aż jej brzuch się uciszy.

– Ona tak znowu – powiedziała Greta na powitanie; szorstkie siwe włosy zebrała w kok tak ciasno, że naciągnięte brwi nadawały jej twarzy wyraz zdziwienia. – Odkąd się obudziła, tylko pokrzykuje na wszystko i wszystkich. Ten mały nawet nie może jej znaleźć, a on też hałasował, bo prosił o zabawki i coś do jedzenia. Jesteśmy jeszcze przed śniadaniem, a już mam ich powyżej uszu. No, zaparz kawy, dobrze?

Anna podeszła do dzbanka na kawę z wypolerowanego srebra, z wygrawerowanym orłem siedzącym na urwisku – herbem rodowym Becherów. Wątpiła, czy to rzeczywiście był ich herb, raczej coś, czym Liesl Becher lubiła się popisywać przed odwiedzającymi ich gośćmi.

– Jadłaś coś? – Greta stanęła obok Anny, wzięła z blatu kawałek chleba i bez słowa włożyła go jej do kieszeni. – Dopij kawę, a ja im zaniosę śniadanie. I skocz do ogrodu, przynieś trochę marchewek. Pomożesz mi naszykować obiad.

Anna uśmiechnęła się do Grety. Chętnie by ją uściskała za dobroć, jaką jej okazywała, odkąd skierowano ją do tej pracy zaledwie kilka dni temu.

– Oczywiście – odpowiedziała, trzymając już rękę w kieszeni i czubkami palców dotykając ciepłego chleba.

ROZDZIAŁ CZWARTY

ISAAC

Mężczyźni powoli szli jeden za drugim w kierunku wysokiego ogrodzenia obozu, zwieńczonego zwojami drutu kolczastego. Uzbrojeni w karabiny żołnierze wychylali się z wieżyczek strażniczych, obserwując mozolny marsz nowej partii więźniów.

Isaacowi trzęsły się ręce, zębami szczękał tak, że rozboleła go głowa. Nie widział swoich sąsiadów z pociągu, kiedy przechodzili pod czarną żelazną bramą witającą ich napisem *Arbeit Macht Frei*.

Wydawało się, że na terenie obozu niebo wisi niżej, Isaac nie był więc pewny, gdzie kończy się ziemia, a zaczynają się chmury. Przypomniało mu to dziwne, paniczne gorączkowe sny z dzieciństwa, w których brnął przez dym, dostrzegał jakieś cienie, ale nie potrafił wymyślić, jak znaleźć sposób na oczyszczenie powietrza, by znów mógł widzieć jak należy.

Szedł za mężczyzną noszącym taką samą gwiazdę jak on. Człowiek ten, którego nazywali kapo, popychał i szturchał nowo przybyłych i wyraźnie czerpał przyjemność z ich strachu.

Wprowadzono ich do pomieszczenia, w którym przy biurku siedzieli trzej żołnierze z jakimiś rejestrami przed sobą; kazali przybyłym pokazywać dokumenty, a potem przechodzić do sąsiedniego pokoju.

Ludzie w szeregu przed nim kolejno znikali, aż w końcu Isaac został sam naprzeciwko tej niby komisji. Kapo podszedł do żołnierzy i szepnął im coś na ucho.

– *Kennkarte?* – zażądał jeden z nich.

Isaac podał zwiniętą żółtą kartkę z nazwiskiem i datą urodzenia.

Żołnierz wpisał te dane do rejestru. Isaac zauważył, że potem obok jego nazwiska dodał na marginesie wykrzyknik.

Chciał zapytać, co to znaczy, co to wszystko znaczy, ale nikt nawet na niego nie spojrział, tylko kazali mu przejść dalej.

W sąsiednim pomieszczeniu też ustawiła się kolejka i każdemu z czekających golono głowę; ścięte włosy spadały na podłogę i tworzyły miękkie pagórki.

Isaac zdjął czapkę i miętosił ją w dłoni, gdy nożyce przesuwwały się po jego głowie, pozbawiając go szarych jak kamień włosów; zawsze nosił długie

naturalne loki, głównie po to, by sprawić przyjemność Hannah, która lubiła wplatać w nie palce wieczorami, kiedy czytał książkę.

– Do środka – polecił fryzjer; on także był łyсы i ubrany w pasiak.

Sąsiednie pomieszczenie było wyłożone brudnobiałymi kafelkami, a ze ścian sterczały sitka natrysków. Wszyscy mężczyźni stłoczyli się na środku, nie bardzo wiedząc, co robić. Gdy wszedł Isaac, a za nim czterej esesmani, drzwi zamknięto z łoskotem. Dostrzegł Elijaha, który przesuwiał ręką po świeżo ogolonej głowie, jakby próbował dociec, co tak naprawdę się stało.

– Rozbierać się! – polecił strażnik z wielką blizną nad brwiami; niecierpliwie uderzał się czarną gumową pałką w nogę.

Z początku nikt się nie ruszył, żeby wykonać rozkaz. Wszyscy spoglądali na innych, niczym pisklęta – bez piór i z wytrzeszczonymi oczami – czekając, by się przekonać, czy naprawdę mają zrobić to, co im kazano.

– Rozbierać się! – krzyknął znowu strażnik i dla przykładu wyrzucił pałką w nogę jakiegoś młodego człowieka, który krzycząc z bólu, padł na podłogę.

Mężczyźni rozebrali się szybko, rzucając kurtki, spodnie i buty na stertę. Niektórzy, jak Isaac, zakrywali genitalia rękami, inni zaś stali sztywno wyprostowani, z rękami po bokach, i patrzyli wyzywająco.

– Pod prysznic! Jazda!

Weszli pod prysznic, czekając na strumienie wody.

W pierwszej chwili nic się nie działo.

Isaac spojrział na strażników, którzy roztrącali kopniakami sterty ubrań, sprawdzając, czy nie wypadnie z nich coś wartościowego. Jeden z nich schylił się, podniósł zegarek, obrócił go w dłoniach i schował do kieszeni.

I nagle trysnęła woda – lodowaty strumień. Mężczyźni natychmiast uskoczyli na bok. Strażnicy, krzycząc, wepchnęli ich z powrotem pod wodę i po chwili wszyscy mieli gęsią skórę i byli sini z zimna.

Isaac wykonywał takie ruchy, jakby rzeczywiście się mył. Nagle woda się skończyła, równie niespodziewanie, jak trysnęła. Nikt nie dostał ręcznika ani swojego ubrania, wygoniono ich spod pryszniców do kolejnego pomieszczenia, gdzie każdemu wręczono biało-niebieski pasiak z naszytym numerem i parę znoszonych butów.

Ubrali się szybko. Szorstka bawełna kleiła się do mokrej, zziębniętej skóry Isaaca, w ogóle nie dając ciepła. Zauważył plamę na spodniach i dziurę na łokciu – ten pasiak wcześniej nosił ktoś inny.

– Teraz się cieszę, że nie wzięłem swoich nut. – Elijah stanął obok niego i patrzył, jak Isaacowi trzęsą się ręce, gdy próbuje zapiąć guziki koszuli. – Idę o zakład, że ty też się cieszysz, że nic nie wzięłeś. Niczego nie żałujesz, niczego nie pragniesz odzyskać.

– Chcę wrócić do domu – powiedział cicho Isaac. Nagle poczuł się jak małe dziecko, które chce do mamy i taty, chce, żeby przyszli i zapewnili go, że wszystko będzie dobrze.

– Wiem, wiem. – Elijah poklepał go po ramieniu. – Ja też.

– Tędy! – Wrócił strażnik, przemykał między nimi jak duch, to znikał, to znów się pojawiał, nerwowo machając pałką; jego blady uśmiech nie wróżył nic dobrego.

Mężczyznom znów kazano ustawić się w rzędzie i ruszyli jeden za drugim, niczym mrówki; nikt nie ważył się rozglądać na boki, każdy patrzył prosto przed siebie.

Gdy szli korytarzem, ich buty skrzypiały na płytkach podłogi. W końcu ich zatrzymano i obfotografowano po kolei – z przodu, z profilu, od tyłu.

Isaacowi tylko raz robiono zdjęcie, w dniu ślubu. Teraz, stojąc przed aparatem skrzynkowym, jak głupek chciał się uśmiechnąć. Spojrzał jednak na strażników, na stojących w rzędzie mężczyzn i głupi pomysł wyleciał mu z głowy. Skierował wzrok przed siebie i zacisnął usta w wąską kreskę.

Barak znajdował się niedaleko budynku, gdzie ich zarejestrowano, pozbawiono dobytku, włosów i nazwisk, należało tylko przejść przez duży wybetonowany plac, minąć kolejny budynek z cegły, potem jeszcze jeden, aż docierało się do długiej szopy, także otoczonej drutem kolczastym. Było tam jeszcze więcej wieżyczek i strażników z karabinami.

Każdemu dano cienki koc i poduszkę, przydzielono pryczę, kazano ją pościelić, a potem zamknięto ich na noc.

– Nie dadzą nam jeść ani pić? – Elijah znalazł się na górze trzypiętrowej pryczy, nad Isaakiem; dół zajmował młodszy od nich mężczyzna imieniem Jan, który przebywał w tym obozie już od jakiegoś czasu.

– Dostaniesz coś jutro – odezwał się Jan z dolnej pryczy. – Dużo tego nie będzie, ale zawsze coś.

– I co mam teraz robić?

– Na twoim miejscu bym poszedł spać – odparł Jan.

Isaac położył się na wznak na sienniku, czując, jak źdźbła słomy kłują go w plecy. Bolała go noga. Masował ją, gapiąc się na sufit, i próbował się uspokoić, wyobrażając sobie twarz Hannah.

– Nie śpisz? – zapytał Elijah.

– Nie. – Isaac wystawił głowę, by na niego spojrzeć, a Elijah zrobił to samo. Ludzie wokół nich szeptali, zadając pytania, nawiązując znajomości i próbując się odnaleźć w nowej rzeczywistości.

– Jesteś żonaty?

– Jestem... a raczej byłem. Moja żona umarła dziesięć lat temu – odparł Isaac.

– Ja się nie ożeniłem. Nigdy. Myślałem, że jeszcze mam na to czas, ale teraz już tak nie sędzę.

– Ile masz lat, Elijah?

– Czterdzieści pięć. A ty?

– Prawie sześćdziesiąt.

– Wiem, co się tu z nami stanie, wiem. Już nas stąd nie wypuszczą. Wątpię, żebym się jeszcze ożenił.

– Sytuacje się zmieniają. Nigdy nie sądziłem, że Hannah umrze, nigdy nie przypuszczałem, że dojdzie do czegoś takiego. Ale stało się. Czyli sytuacja znów może się odwrócić, prawda? – pocieszył go Isaac i dodał z nadzieją: – Brytyjczycy i Amerykanie nas znajdą.

– Cisza tam! – doleciał z dołu głos Jana. – Możesz sobie uważać, co chcesz, ale wierz mi, za dzień czy dwa będziesz tak zmęczony i głodny, że takie myśli wylecą ci z głowy.

– Nie ma nic złego w...

– Ciii, ani słowa – uciszył go Jan. – Prześpij się, to ci się przyda.

Jeszcze przed świtem Isaaca obudził kapo, ten z torów kolejowych. Jan powiedział mu, że to jest Adam, Żyd i więzień taki sam jak oni, który w zamian za pomoc w utrzymaniu porządku mieszkał w innym baraku i dostawał lepsze jedzenie i ubranie.

– Jak on może robić coś takiego? – Isaac zapytał Jana, kiedy wychodzili z baraku. – Jak mógł zdradzić swoich?

– Rozumiem cię, ale Adam był wcześniej w trzech innych obozach. On zwyczajnie usiłuje przeżyć.

– Czyli uważasz, że postępuje słusznie?

– Uważam, że źle robi. Uważam, że będzie musiał z tym żyć do samej śmierci, chyba że zginie tutaj. Nienawidzimy go, to oczywiste, ale naszą nienawiść od zazdrości o jego przywileje dzieli bardzo cienka linia. Przekonasz się. Poczekaj trochę, a sam zobaczysz, jak taki obóz potrafi człowieka zmienić.

Jan umilkł. Wyszli na padający z gęstych chmur deszcz ze śniegiem. Przeliczono wszystkich więźniów, a potem powtórzono to raz jeszcze. Co jakiś czas, bez żadnego powodu, wybierano jednego czy dwóch mężczyzn i odstawiano gdzieś pod strażą.

Trwało to już ponad godzinę. Isaac nie czuł palców u rąk i nóg, a od długiego stania jego noga pulsowała z bólu. Nie rozumiał, po co liczą ich raz za razem. W końcu dotarła do niego prawda. Z upływem czasu więźniowie byli coraz

słabsi, bardziej zziębnięci, a wtedy niektórym nogi odmawiały posłuszeństwa, co dawało kapo i strażnikom pretekst do wymierzenia kary.

Po każdym biciu kolejnego z nich liczenie zaczynało się od początku.

Nowo przybyłych zmuszano do stania dłużej, a pozostałych wysyłano do pracy – oczywiście bez jedzenia. Isaac stał z Elijahem i kilkoma innymi z pociągu.

– Wasze zadania. – Przed nimi stanął strażnik, młody chłopak, na oko miał nie więcej niż osiemnaście lat; jasnowłosy i niebieskooki, wyglądał jak typowy przedstawiciel Trzeciej Rzeszy. Wywoływał kolejne numery, a mężczyźni patrzyli na swoje koszule, sprawdzając, czy na pewno chodzi o nich. Każdy dostał konkretny przydział – praca w obozie, fabryka, kostnica.

Isaac wielokrotnie sprawdzał swój numer, ale w ogóle go nie wywołano. Wkrótce inni odeszli do pracy, a on został na placu sam.

– Schüller. – Jasnowłosy strażnik stanął naprzeciwko niego. – Dla ciebie mamy specjalną robotę.

Isaac nie był pewny, czy zapytać, co to za robota, czy podziękować, więc tylko skinął głową.

Powłócząc nogami, ruszył za blondynem, który poprowadził go ku wieży strażniczej i bramie, gdzie po drugiej stronie czekał niski, gruby mężczyzna z cygarem w zębach.

Isaac zatrzymał się przed nim.

– A więc to ty? – odezwał się grubas, mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

Isaac obejrzał się przez ramię na odchodzącego już blondyna.

– Chcesz tam wrócić? – zapytał mężczyzna przez gęsty obłok dymu. – Nie sądzę. Chodź ze mną.

Odwrócił się i ruszył tak szybko, że Isaac musiał niemal biec, by mu dorównać kroku, zwłaszcza że spowolniała go boląca noga.

Drzewa po obu stronach drogi ugięły się pod ciężarem śniegu, słychać było tylko mozolne kroki Isaaca, kiedy próbował nadążyć za grubasem, który co chwila oglądał się na niego i poganiał go burkliwie.

Isaac zatrzymał się, by złapać oddech, i pomasaował udo; miał wrażenie, że mięśnie w środku są rozerwane. Rozejrzał się, rozważając, czy nie rzucić się do ucieczki między drzewa.

– Nawet o tym nie myśl. – Grubas stanął przy nim i Isaac poczuł na skroni dotyk zimnej lufy pistoletu. Wyprostował się powoli, a tamten opuścił broń. – Chociaż chciałbym cię sprowokować do próby ucieczki. To by przypominało polowanie na rannego królika. Mało sportowe, przyznaję, ale uwielbiam emocje związane z polowaniem. A ty nie? – Uśmiechnął się szeroko do Isaaca.

Rozległ się huk – z wysokiej gałęzi spadła na ziemię bryła śniegu, a wystraszone ptaki zerwały się z łopotem skrzydeł.

– Idziemy!

Isaac ruszył dalej, powłócząc jedną nogą. Oblizwał spękane wargi, schylił się szybko, wziął garść śniegu i włożył ją do ust – lodowata świeżość od razu przyniosła mu ulgę.

Gdy pokonali zakręt, zobaczył w oddali kominy jakiegoś domu, z których unosił się dym – zapewne mieszkańcy walczyli z porannym zimnem. Nagle naszło go wspomnienie – taki sam poranek, szare i fioletowe chmury, z których sypie śnieg, on przy kominku ogrzewa dłonie, a naprzeciwko niego siedzi Hannah i trzymając w rękach zawiniątko, nuci coś cicho.

Potrząsnął głową, by pozbyć się tego obrazu, ten jednak uparcie ani myślał zniknąć, zmuszał go do przypominania sobie ciepła kominka, syku i trzasku palącego się drewna oraz karmelowego, orzechowego aromatu świeżo zaparzonej kawy i głosu Hannah śpiewającej kołysankę.

– Głuchy jesteś? – Grubas wyrwał go ze snu na jawie. – Kazałem ci wejść do środka.

Isaac uświadomił sobie, że dotarli do domu. Dwaj uzbrojeni strażnicy otworzyli im bramę i przyglądali mu się, kiedy ich mijał.

Poszedł za grubasem żwirowym podjazdem prowadzącym do domu; o tak wczesnej porze zasłony w wielkich wykuszowych oknach nadal były zaciągnięte. Skręcili przed lakierowanymi na czarno drzwiami frontowymi i obeszlili budynek ścieżką prowadzącą na tyły. Tutaj grubas zatrzymał się i otworzył drewniane drzwi z łuszczącą się niebieską farbą.

– Jeszcze jeden, Herr Schmidt? – spytała stara siwowłosa kobieta, która zjawiała się, jakby na nich czekała.

– Prosił o niego Sturmbannführer Becher.

Kobieta pokręciła głową.

– Wie pan, że ona nie będzie zadowolona. Nie była zadowolona z dziewczyny i z tego tutaj też się nie ucieszy.

– Umieść go w szopie, tak mi przekazano. – Ruchem głowy wskazał na pół rozwaloną komórkę na narzędzia wciśniętą między jodły.

– Tam? Na tym mrozie zamarznie.

– Nie twoje zmartwienie.

Isaac miał wrażenie, jakby go tam nie było. Żadne z nich nawet na niego nie spojrzęło, a mówili o nim jak o zbłąkanym kundlu. Miał ochotę odezwać się albo coś zrobić, byleby na niego popatrzeli.

– Ja tylko mówię, Herr Schmidt, że ona nie będzie zadowolona... – upierała się kobieta, ale grubas jej przerwał:

– Kazał go tu sprowadzić Sturmbannführer Becher. Ja muszę wracać. Wiesz, jak to jest, zawsze znajdzie się ktoś, kto nie robi czegoś jak należy. A ja mam dopilnować, żeby się nauczyli.

Odwrócił się z uśmiechem i odszedł, nucąc coś pod nosem.

Kobieta stała w drzwiach, patrząc, jak Schmidt zostawia odciski stóp w pokrywającej ziemię brei.

– Wchodź, wchodź. – Wprowadziła Isaaca do kuchni i zamknęła drzwi. – Siadaj, siadaj. – Wskazała mu krzesło obok pieca. – Ogrzej się przez chwilę, wyglądasz jak śmierć.

Isaac siedział przy piecu i czuł, jak ciepło przenika przez jego wilgotne ubranie i w końcu dociera do skóry. Pochuchał w dłonie i poruszył palcami, by przywrócić krążenie krwi.

– Bierz. – Kobieta podała mu blaszany kubek kawy i trochę ciepłego chleba. – Zjadaj migiem i nikomu ani słowa. – Konspiracyjnie postukała się w bok nosa. – Jak się nazywasz? – spytała, z jedną ręką na biodrze, a drugą na stole kuchennym, jakby się chciała podeprzeć.

– Isaac, Isaac Schüller – odparł, pochłaniając chleb.

– Ja jestem Greta. Sprowadzono mnie z miasteczka, żebym tu gotowała i prowadziła dom. Widzę, co się tutaj dzieje, widzę. – Wyjrzała przez okno, jak gdyby obóz znajdował się zaraz za ogrodem z tyłu domu. – Zatrąszczę się o ciebie. Ale nie wolno ci pisać o jedzeniu ani o tym, że pozwoliłam ci się ogrzać, bo znajdę się na twoim miejscu. Rozumiesz?

Isaac pokiwał głową i dopił kawę.

– Daj, doleję ci jeszcze. – Napełniła kubek. – Nic nam nie grozi, wciąż jeszcze są w łóżku. Ale nigdy nic nie wiadomo, więc się pośpiesz.

Isaac napił się jeszcze, kobieta dała mu kolejną pajdę chleba, a potem w kuchni zabrzączał dzwonek.

– On już wstał! – Wzięła kubek i ruchem ręki pokazała Isaacowi, żeby wyszedł za nią z kuchni, do korytarza prowadzącego do podwójnych, bogato rzeźbionych dębowych drzwi z mosiężną klamką. Isaac miał ochotę wyciągnąć rękę i przesunąć palcami po wzorze wyrytym przez stolarza w drewnie, chciał poczuć pod palcami te kwiaty i zakręcone liście.

Greta zapukała do drzwi i czekała.

– Wejść! – dobiegł ze środka tubalny głos.

Kiwnęła głową Isaacowi, a potem otworzyła drzwi i weszła do pokoju.

– Przyszedł ten człowiek z obozu, którego pan kazał sprowadzić – powiedziała.

– Świetnie, niech wejdzie.

Greta szerzej otworzyła drzwi i ruchem głowy pokazała Isaacowi, żeby wszedł. Jednocześnie jej wzrok powędrował do czapki, jaką miał na głowie. Isaac ściągnął ją i trzymał w rękach.

Zamknęła za nim drzwi. Isaac ujrzał spotkanego na torach wścacha, siedzącego za mahoniowym biurkiem, a także swój woreczek z narzędziami, leżący przed nim na blacie.

– A, zegarmistrz! – Wścach kiwnął ręką na Isaaca, by podszedł bliżej, ale nie zaproponował mu, by usiadł. – Pewnie się zastanawiasz, co tu robisz, dobrze mówię?

Isaac przytaknął ruchem głowy.

– Wiesz, kim jestem? – spytał mężczyzna i zaraz sam odpowiedział na swoje pytanie: – Nie, wątpię, żebyś wiedział.

Wygładził wąsy pod nosem, przesuwając palce aż po kąciki ust.

– Jestem Sturbannführer Becher – przedstawił się. – Mam przyjemność kierować obozem, w którym się znalazłeś. Podoba ci się tu?

– Tak jest – odparł Isaac, nie bardzo wiedząc, co to za gierki.

– Prawidłowa odpowiedź, jedyna, jaką bym chciał usłyszeć. No cóż, zegarmistrzu, posłałem po ciebie osobiście. Bardzo rzadko proszę o kogoś z obozu, ale kiedy cię ujrzałem i zobaczyłem to – podniósł skórzany woreczek – wiedziałem, że jesteś człowiekiem utalentowanym, więc powinienem korzystać z tego twojego talentu, dopóki tu jesteś. Zgodzisz się ze mną?

– T... tak jest – wyjąkał Isaac.

– Widzisz, mam zegar szafkowy, który sprezentował mi osobiście sam Führer. To jeden z wielu skarbów należących teraz do Rzeszy. Niestety, nie wybija godzin. Wielu próbowało go naprawić, ale nikt nie dał rady. Ale ty możesz być właściwą osobą do tego zadania. Sądzisz, że zdołasz go naprawić?

– Z pewnością mogę spróbować.

– Spróbować? O nie. – Becher wstał. – Próbować a zrobić to dwie różne rzeczy. Ty go naprawisz. Powiedz: „Ja go naprawię”.

– Ja go naprawię – powtórzył Isaac.

– Jeśli ci się uda, być może znajdę ci inne rzeczy do naprawiania. Taka praca zapewne sprawi ci przyjemność.

– Na pewno.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Zaprowadzę cię teraz do zegara, ale tutaj nie możesz go naprawiać. Obejrzyj go, przekaz Grecie, jakich części potrzebujesz, a ona wskaże ci stosowne miejsce do pracy. Widzisz, moja żona nie chciałaby, żebyś się kręcił po domu, więc musisz znaleźć sposób na naprawianie zegara tak, żebyś nie potrzebował go często dotykać. Czy to jasne?

Isaac próbował zrozumieć, czego właściwie od niego chcą. Dotychczas nigdy nie próbował naprawiać czegoś, czego nie miał przed oczami. Musiał się przyjrzeć, wyobrazić sobie, jak działają poszczególne części, i znaleźć rozwiązanie problemu. A jednak odpowiedział krótko:

– Tak jest, proszę pana. To jasne.

Becher wyszedł z gabinetu, każąc Isaacowi pójść za sobą. Zaprowadził go do korytarza, gdzie stał zegar szafkowy, wyniosły, ale niemy.

– Jest bardzo piękny – ocenił Isaac.

– Podejź bliżej, przyjrzyj mu się – polecił Becher. – Obejrzyj cyferblat, te maleńkie klejnoty w rzymskich cyfrach, i spójrz na te bogate rzeźbienia... cherubinek i winorośl z winogronami. Prawdziwe dzieło sztuki, prawda?

Isaac przytaknął ruchem głowy i przykucnął, by zerknąć na wahadło, nadal wiszące w swoim szklanym domu, ale nieruchome. Wszystkie kółka zębate, cały mechanizm był na widoku; jakąż radość musiało sprawiać obserwowanie tych części podczas pracy, kiedy współdziałały ze sobą, odmierzając czas.

– Mogę? – zapytał.

Becher skinął głową.

Isaac otworzył szklane drzwiczki i uważnie obejrzał uśpione kółka zębate.

– Jest wspaniały – orzekł. Patrząc na zegar, na chwilę zapomniał, gdzie się znajduje. – Wybija godziny, a potem rozlega się mniejszy kurant, trochę jak w pozytywce, i wygrywa melodię oznaczającą północ i południe. Słyszałem o takich zegarach, ale nigdy żadnego nie widziałem.

– Jak sądzisz, co sprawiło, że niedomaga?

– Możliwe, że nie jest zsynchronizowany. Odmierza czas, ale mechanizm bicia nie działa. Muszę go narysować, zabrać rysunek ze sobą i go przeanalizować... Czy to możliwe?

– Jak najbardziej! – Becher uśmiechnął się, najwyraźniej podniecony perspektywą, że prezent od Führera znowu będzie działał. Pośpieszył do gabinetu i wrócił z ołówkiem i papierem w jednej ręce; w drugiej trzymał skórzany woreczek Isaaca z narzędziami. – Będą ci potrzebne – powiedział, oddając mu narzędzia.

Isaac rysował szybko, starając się o jak największą precyzję. Widział zużyte kółko zębate i brak szprychy, może to właśnie byli winowajcy, ale zauważył jeszcze coś, co nie pasowało do reszty.

– Chyba ktoś już próbował go naprawiać. I przymocował kółka zębate niewłaściwymi śrubami, te są zbyt duże. Możliwe, że to one uniemożliwiają pracę zegara.

– Do końca dnia przekaz Grecie spis rzeczy, które ci będą potrzebne, a ja dopilnuję, żeby dostarczono ci je już jutro.

Isaac wstał, trzymając w rękach rysunek, swoje narzędzia i czapkę.

– Tak jest, Herr Becher.

– Kiedy pójdziesz do Grety, pokaże ci, gdzie będziesz pracował. – Becher jeszcze raz uśmiechnął się do niego i wrócił do gabinetu.

Isaac wrócił korytarzem do kuchni. Nie bardzo wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Niemiec odnosił się do niego tak miło – a nawet serdecznie – jak gdyby Isaac znów urzędował w swoim warsztacie, a Becher był zwyczajnym klientem.

– Widzę, że zrobiłeś na nim wrażenie – powiedziała Greta, kiedy wrócił do kuchni. – Chodź ze mną, pokażę ci, gdzie będziesz pracował.

Zaprowadziła go po mokrej trawie do zrujnowanej komórki na skraju ogrodu.

– Niestety, nadal są tu narzędzia ogrodnika, więc będziesz musiał sobie zrobić trochę miejsca.

Isaac zajrzał do środka. Komórkę zagracały rozmaite rupiecie – fragmenty mebli, deski, narzędzia do pracy w ogrodzie, a nad głową wiatr poruszał się stare pajęczyny. W rogu zauważył zniszczony stołek z trzema nogami i drewnianą skrzynię – może tutaj urządzi sobie prowizoryczne miejsce pracy.

– Tu będzie zimno – powiedziała Greta, a potem nachyliła się do niego i szepnęła mu do ucha: – Z tyłu, w kącie, są jakieś koce. Tylko uważaj, żeby nikt nie zobaczył, że ich używasz. Jest też mała lampa gazowa, będziesz miał światło i trochę cię ogrzeje.

Isaac wszedł do komórki, Greta zamknęła za nim skrzypiące drzwi i został sam w półmroku, a do towarzystwa miał jedynie ciszę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

ANNA

W ogrodzie Anna szukała marchewek w zamrzniętej ziemi, jednocześnie jedząc chleb, który dostała od Greta. Marzła, ale i tak się cieszyła, że nie musi być w domu – poprzedniego wieczoru Liesl jasno dała do zrozumienia, że czuje do niej niechęć, dlatego teraz Anna była wdzięczna, że przynajmniej chwilowo może zejść jej z oczu.

Idąc do drzwi kuchennych, zauważyła na oblodzonej trawie ślady stóp prowadzące do komórki na końcu ogrodu. Stała, spojrzała tam i przez małe okno dostrzegła w środku jakąś postać oświetloną ciepłym żółtym blaskiem.

W tym samym momencie ten ktoś się obejrzał i przez zamgloną szybę spojrzał na Annę. Dziewczyna odwróciła się i pośpieszyła z powrotem do kuchni, gdzie Greta ustawiała na tacach to, co miała zanieść do jadalni.

– Ktoś tam jest – odezwała się Anna. – W komórce. Widziałam światło i jakąś postać.

– Ciii! – Greta odwróciła się do niej. – To Isaac. Nowy, sprowadzili go, żeby naprawił ten przeklęty zegar wahadłowy, co to stale biadole, że nie działa. Podaj masło.

Anna wykonała polecenie. Pomogła pokroić masło na małe porcje i ułożyć je na porcelanowym talerzu, na którym czekały już brązowe gorące grzanki.

– Zaniosę im to, tobie jeszcze nie wolno tam chodzić. – Greta podniosła tacę. Ręce zatrzęsły jej się pod ciężarem i talerze zagrzechotały. Anna chciała jej pomóc. – Zostaw, dam radę. Lepiej nie psuć jej humoru z samego rana. Ty zajmiesz się obiadem. Tylko, na miłość boską, sprzątajac dzisiaj, postaraj się być niewidzialna!

Greta poszła zanieść śniadanie, a Anna wyjrzała przez okno; światło z komórki wyraźnie ją kusilo...

– Isaac – mruknęła cicho. Potem starła parę z szyby i przez chwilę patrzyła na odcisk swojej dłoni na szkle.

Przed południem Anna za radą Greta starała się być niewidzialna. Gdy tylko słyszała stukot obcasów Liesl na podłodze, od razu zmykała do innego pokoju,

ścierała kurze i rozpaliała w kominku.

– Czemu tak się jej boisz? – szepnęła pod nosem. – Przecież gdyby cię tu nie było, wcale byś się jej nie bała, tylko...

– Z kim rozmawiasz?

Przestraszona Anna odwróciła się i ujrzała stojącego w progu chłopca, którego widziała przy kolacji; w rękach trzymał lokomotywę.

– Przepraszam – bąknęła.

– Za co? – zapytał, robiąc krok w głąb saloniku.

– Nie wiem. Może za to, że nie powinnam mówić sama do siebie.

– Ja też mówię sam do siebie – pocieszył ją chłopiec. – Nie w szkole, tylko tutaj, w domu.

Anna wiedziała, że nie wolno jej z nim rozmawiać, że powinna wyjść z pokoju, a jednak po raz pierwszy ktoś na nią spojrział – nie ze względu na jej strój czy religię, tylko na nią – i najwyraźniej był ciekawy, co ma do powiedzenia.

– Kiedy byłam młoda, jak ty, też tak robiłam. Rozmawiałam z przyjacielem, którego sobie wymyśliłam.

Chłopiec usiadł na krześle i się pochylił.

– Jak miał na imię?

– Mówiłam na niego Bobo. – Uśmiechnęła się. – Opowiadałam mu, jak mi minął dzień, i o dziewczynach w szkole, które mi dokuczały.

Chłopiec wybuchnął śmiechem.

– Bobo! Co za głupie imię. Ale mnie się podoba. Nie mam wymyślonego przyjaciela, po prostu mówię sam do siebie mniej więcej tak, jak rozmawiam z moim przyjacielem Ottonem. On mieszka bardzo daleko stąd, na razie nie możemy się widywać – paplał.

– Friedrich! – W progu stanęła Liesl.

Anna zobaczyła przestrach w oczach chłopca, gdy matka wymówiła jego imię, i wiedziała, że ona też na pewno ma taką samą minę.

– Co ty tu robisz, na litość boską? I dlaczego rozmawiasz z... nią! – Liesl zmarszczyła nos, jakby wyczuła w pokoju coś zepsutego.

– Właśnie szukałem ojca. Mój pociąg... – bąknął niemrawo, unosząc lokomotywę, żeby sama mogła zobaczyć.

– Zaprowadzę cię do niego. Chodź ze mną. – Wyciągnęła rękę, żeby ujął jej dłoń. – A ty – spojrziała na Annę – nie waż się rozmawiać z moim synem.

Anna kiwnęła głową i gdy tylko Liesl wyszła z pokoju, odetchnęła głęboko. Próbowwała wypolerować podręczne stoliki, ale trzęsa jej się ręka. Czy ją ukarzą? Jeśli tak, to nawet nie śmiała myśleć, jaka to może być kara.

Wyrzała przez okno na żwirowy podjazd i otaczającą go po bokach mieszaninę topniejącego śniegu i błota; kontrastował z nią pokrywający trawniki czysty świeży śnieg. I chociaż obóz znajdował się zaledwie półtora kilometra dalej, czuła się, jakby była gdzieś indziej, na przykład we własnym domu, i wyglądała przez okno, czekając na Piotra, by zabrał ją na kolację, na spacer, a może nawet na tańce.

Piotr... znowu pojawił się w jej myślach. Przypomniała sobie dzień, w którym wyjechał, z torbą przewieszoną przez ramię i obietnicą, że przeżyje. Twierdził, że to jedynie słuszny wybór, że musi zrobić, co w jego mocy, by powstrzymać to, co się dzieje, że musi walczyć.

Chciała jechać razem z nim. Zalała ją fala wstydu, kiedy przypomniała sobie, jak na klęczkach błagała go, żeby wziął ją ze sobą, że mu pomoże, że da radę. On jednak tylko ją pocałował, powiedział, żeby na siebie uważała, i zostawił ją, zapłakaną, na podłodze. Podniósł ją dopiero Elias, jej brat. Ten sam Elias, który obiecał, że zadba o jej bezpieczeństwo. A teraz została sama.

Stukot obcasów na podłodze ostrzegł ją, że Liesl znów nadchodzi. Odwróciwszy się od okna, wzięła miotełkę do kurzu, szmatki oraz środek do polerowania drewna i umknęła, by schronić się u Greta w kuchni.

– Wiedziałam, że ten chłopiec narobi kłopotów, od razu to czułam. Powiedz mu, tylko uprzejmie, pamiętaj, że nie wolno ci z nim rozmawiać i gdyby sytuacja się powtórzyła, wyjdź z pokoju. A powtórzy się na pewno, wspomnisz moje słowa. Oni nie zwracają na niego uwagi, nie mówiąc o okazywaniu mu uczuć, więc będzie tego szukał gdzie indziej. Widywałam już takie rzeczy – powiedziała Greta.

Anna kiwnęła głową.

– Czy mam im zanieść obiad?

Greta pokręciła głową.

– Dzisiaj ja to zrobię, z tobą spróbujemy jutro. A na razie idź do tego Isaaca. Herr Becher chce od niego jakąś listę narzędzi i lichy wie czego jeszcze. Czeka na to. Myślałam, że Isaac mi ją przyniesie, ale chyba zdał sobie sprawę, że nie powinien wychodzić z komórki. Idź do niego, ale nie siedź tam za długo. I weź to... – Greta podała Annie blaszany kubek z gorącą zupą. – Zanieś mu, przynajmniej się trochę rozgrzeje.

Anna poszła do komórki, czując, jak zupa ogrzewa jej dłonie. Zganiła się w duchu za to, że miała ochotę ją wypić, i liczyła, że dla niej Greta też trochę zostawiła.

Delikatnie zapukała w drewniane drzwi i otworzyła.

Komórka nie była już zagracona. Narzędzia ogrodnika stały pod ścianami, jakby czekając, aż ktoś ich użyje. Isaac, opatulony kocami i jakimiś starymi

łachami, siedział na stołku przy prowizorycznym stole skleconym z kilku pudeł i skrzyń, na rogu postawił lampę.

W pierwszej chwili nie oderwał się od leżącej na stole kartki, tylko nadal siedział ze zwieszoną głową. Mamrotał coś pod nosem, a jego dłonie wykonywały takie ruchy, jakby coś naprawiał.

– Przyniosłam ci zupę – odezwała się Anna.

Isaac spojrział na nią. Jego zielone oczy błyszczały, na brodzie i nad wargą miał białą szczecinę. Nie uśmiechnął się.

– Dziękuję – powiedział.

– Greta mówiła, że masz dla niej jakąś listę. – Postawiła kubek na stole, a on wziął go natychmiast i trzymał oburącz, z twarzą nachyloną nad unoszącą się parą i zamkniętymi oczami, jak gdyby napawał się jego ciepłem. – Czy to jest to? – Wzięła leżący przed nim papier.

– Nie! – krzyknął. Wyrwał jej kartkę, położył z powrotem na stole i jedną ręką trzymając kubek, drugą wygładził zagięcie. – Nic mi nie potrzeba.

– Ale Greta mówiła, że... – zamilkła.

– Mam tu wszystko, czego potrzebuję. Już wiem, jak go naprawić, i nic więcej mi nie trzeba.

– To co Greta ma powiedzieć Herr Becherowi?

– Niech mu powie, że Isaac naprawi zegar i że niczego nie potrzebuje.

Odczekała sekundę, dwie, trzy. Znowu zwiesił głowę nad kartką, a po chwili wziął ołówek i skreślił na niej jakieś uwagi.

– Przepraszam – wymamrotał, nie przerywając pisania. – Kiedy pracuję, zamykam się w sobie i wtedy wychodzi ze mnie stary zrzęda. Tak przynajmniej twierdziła moja żona.

– Ja też się zamykam w sobie – powiedziała. – Ale nie z powodu pracy.

Teraz spojrział na nią, jakby dopiero co weszła. Przyglądał się jej twarzy, wyglądało na to, że próbuje sobie przypomnieć, skąd ją zna.

– Myślę o różnych głupotach – dodała, speszona ciszą i jego spojrzeniem. – O spacerowaniu w lesie albo o czytaniu książki w fotelu przed kominkiem.

– Wspomnienia – mruknął. – Mamy ich aż za dużo.

Nadal jej się przyglądał, więc przesunęła wzrok z niego na równiutko ułożone narzędzia.

– Jesteś zajęty – bąknęła.

W końcu oderwał wzrok od jej twarzy.

– Nie potrafię pracować w bałaganie. Nigdy nie umiałem. Lubię, jak wszystko jest na swoim miejscu. – Dopił zupę i wyciągnął do niej kubek. – Na to czekasz?

Kiwnęła głową i wzięła od niego naczynie; musnął palcami jej palce, miękko i delikatnie jak piórkiem.

– Wobec tego nie przeszkadzam. – Otworzyła drzwi.

– Przyjdź jeszcze – powiedział tak cicho, że kiedy Anna obejrzała się na niego i zobaczyła, że znów siedzi pochylony nad kartką, nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

W kuchni Greta siedziała przy piecu i patrzyła na swoje dłonie.

– Co się stało? – spytała Anna.

Greta spojrzała na nią.

– Nic. Ręce odmawiają mi posłuszeństwa. Zobaczyły... one wiedzą, że nie jestem już taka jak kiedyś.

– Ja podam kolację.

– Nie. Bo ta Liesl zacznie od nowa.

– Pozwól mi spróbować. Będę cicho. – Anna przykucnęła i ujęła dłonie Greta. Nie mogła jej stracić, nie mogła ryzykować, że będzie ją nadzorował ktoś inny.

– Tylko uważaj, żeby na nich nie patrzeć ani się nie odzywać. A może... – Oczy Greta rozblęły.

– A może co?

– Gdybym tak poprosiła Herr Bechera, żebyś mogła nosić stary strój pokojówki zamiast tego? Może dzięki temu Liesl nie zwracałaby na ciebie uwagi.

Anna spojrzała na swoją poplamioną luźną sukienkę w matowe niebieskie pasy na tle brudnej bieli.

– Warto spróbować.

– Czy dostałaś listę? – spytała Greta.

– On twierdzi, że niczego nie potrzebuje, że sam da sobie radę.

Greta wstała, naląła chochlą zupy do miski i podała ją Annie.

– Wyjdź na dwór i zjedz szybko... Zobacz, czy nie znajdziesz więcej marchewek. A ja porozmawiam z Herr Becherem.

Anna z wdzięcznością wzięła gorącą zupę, wyszła z nią do ogrodu i poparzyła sobie gardło, jedząc ją szybko i nawet nie gryząc rozmiękłych warzyw. W końcu poczuła, jak w jej brzuchu rozlewa się ciepło.

Kiedy skończyła, jeszcze raz spojrzała na komórkę i zobaczyła, że Isaac siedzi w jasnym świetle, zgarbiony nad kartką. Na wspomnienie chwili, gdy ich palce się zetknęły, i tego, z jaką uwagą przyglądał się jej twarzy, poczuła kołatanie serca. Kiedyś tak patrzył na nią Piotr – mówił, że chce ją sobie utrwalić w pamięci.

Wylizała miskę do czysta, a potem odwróciła się od komórki, od Isaaca i od wspomnienia Piotra, które nijak tu nie pasowało.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ISAAC

Po wyjściu Anny Isaac nie potrafił się skupić. Myślał o jej zażawionych piwnych oczach, kiedy patrzyła na niego smutno, tak jak czasami robiła to Hannah. Miała pękniętą wargę, mała czerwona plamka aż się prosiła, żeby ją zlizwała albo żeby ktoś ją starł.

– Głupi staruch! – zganił się w myślach. A jednak nie mógł się całkiem poświęcić pracy, cały czas nasłuchiwał, czy Anna nie pojawi się znowu u drzwi komórki.

Popatrzył na narzędzia, które rozłożył przed sobą, jakby szykował się do naprawiania zegarka. Wziął maleńki śrubokręt, podniósł go do światła i na uchwycie zobaczył wygrawerowane swoje inicjały, a do tego jeszcze H i S. Odłożył go, zamknął oczy i przesunął palcami po literkach, najpierw po swoim inicjale, potem po tym drugim.

Te litery wyrwał latem, w lipcu, kiedy w wiosce zapanował taki upał, że wszyscy pootwierali okna i podparli otwarte na oścież drzwi, licząc na choćby najłżejszy podmuch wiatru, który przyniesie ochłodę. Wiedział, że musi się śpieszyć – Hannah przykazała mu, żeby akurat tego dnia się nie spóźnił, a jednak chciał to dokończyć, żeby mógł jej pokazać przy kolacji.

Zamknawszy warsztat, pośpieszył do domu, nie zważając na wołanie przyjaciół siedzących przed oberżą z na pół opróżnionymi kuflami piwa. W jednej ręce niósł woreczek z narzędziami, w drugiej małe puzderko – zegarek kieszonkowy, który dostał od ojca, a teraz nadszedł czas, żeby przekazał go komuś innemu.

Na rozstaju dróg już miał skrócić w lewo, w kierunku domu, gdy nagle ujrzał biegnącą ku niemu postać – obcasami wzbijała tumany letniego kurzu, gwałtownie wymachiwała rękami. Zatrzymał się, czekając, aż do niego dotrze... wiedział, że musi poczekać. Gdy się zbliżyła, wypuścił z rąk woreczek z narzędziami i prezent, by móc ją uściskać.

Ze snu na jawie wyrwał go czyjś głos:

– Pogrążyłeś się chyba w myślach.

Uniósł głowę i zobaczył Herr Bechera w grubym wełnianym czarnym płaszczu. Niemiec miał czarne skórzane rękawiczki i kapelusz z błyszczącym na

środku połączanym emblematem Rzeszy – orłem.

– Przepraszam – rzucił natychmiast Isaac i wstał szybko, zakładając, że zrobił coś złego.

– Za co? Dostałem twoją wiadomość, że nie potrzebujesz niczego, aby naprawić zegar. Przyznam, że jak dotąd jestem pod wrażeniem. A kiedy już ukończysz zadanie, zaimponujesz mi jeszcze bardziej.

Isaac skinął głową i szybko zerknął na stertę koców na podłodze, z nadzieją, że Becher ich nie zauważy i nie skonfiskuje.

– Na dzisiaj mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie. Drobnostkę, ale taką, która niezmiernie pomoże mojej żonie. Mój syn Friedrich ma kolejkę, lokomotywa jednak nie działa. Dziś rano sam próbowałem ją naprawić, ale mi się nie udało. Po południu wyjeżdżam, a żona ma mnóstwo spraw na głowie, dlatego chłopcu przyda się jakaś rozrywka, żeby się nie nudził. Pomyślałem, że może ty zdołasz mu pomóc.

– Oczywiście, Herr Becher. – Isaac wyciągnął ręce, spodziewając się, że Becher poda mu zabawkę.

– Nie, jest na górze, w pokoju chłopca. Trzeba też naprawić fragmenty torów, a nie mam czasu znosić ci tu tego wszystkiego. Uprzedziłem żonę, że będziesz w domu, pod nadzorem mojego asystenta, Herr Schmidta. Kiedy skończysz, wyjdiesz i natychmiast wrócisz do tej komórki. Zrozumiano?

– Tak, oczywiście.

– Świetnie. Zaczekaj tu, Herr Schmidt wkrótce po ciebie przyjdzie. Chciałem sam ci o tym powiedzieć, bo to osobista prośba, nawet bardzo osobista, więc jeśli nie zostanie spełniona tak, żeby mój syn był zadowolony, będę rozczarowany. – Becher uśmiechnął się, a Isaac dostrzegł szybki błysk jego zębów: długie i ostre siekacze, a pozostałe zęby ułożone tak równo, że nie wyglądały na prawdziwe.

Becher wyszedł, Isaaca zaś ogarnął nieoczekiwany lęk. Ten uśmiech, ta prośba, coś w tym było – może groźba? – jak gdyby Becher igrał z nim jak kot z myszą, zanim skręci jej kark.

Wkrótce zjawił się Schmidt. Idąc za asystentem Bechera, Isaac słyszał szelest spodni ocierających się o tłuste uda Niemca.

– Tam – powiedział Schmidt. – Będę w gabinecie, przyjdę po ciebie za godzinę.

Isaac powoli wchodził po schodach, nie mając odwagi przytrzymać się balustrady z wypolerowanego mahoni. Idąc, oglądał zdobiące ściany fotografie rodzinne oraz portrety dalszych krewnych; sprawiało to wrażenie, jakby każdy krok miał mu przypominać, w którym domu się znajduje. Na plecach czuł

spojrzenie Schmidta, wbił więc wzrok w stopy, ignorując obrazy i nie zważając na ból.

U szczytu schodów powitał go długi korytarz, cały wyłożony szkarłatnym chodnikiem w złote kwiaty; za zamkniętymi drzwiami z lewej i prawej znajdowały się pokoje rodziny.

– Drugie po lewej! – zawołał z dołu Schmidt. – Niczego nie ruszaj. I nie marudź. Kiedy skończysz, przyślę służącą, żeby znów posprzątała.

Isaac pokiwał głową i chwycił ciężką mosiężną klamkę. Poczłł chłód metalu pod palcami i usłyszał szcęk, gdy otwierał drzwi i zamykał je za sobą.

Rozejrzał się po pokoju. Na podłodze, tak jak mu powiedziano, leżała rozłożona kolejka elektryczna dla dzieci, na stacji stały w równych rzędach czerwone i zielone pociągi, a małe ludziki czekały na peronach. Teren dookoła był ozdobiony sztucznymi drzewami, a dalej była kolejna stacja, tym razem z małymi samochodami czekającymi na podróżnych. Na ten widok Isaac się uśmiechnął, jak gdyby przyszedł się bawić, a nie do pracy.

– Ciii – rozległ się czyjś głos.

Ku swemu zdziwieniu Isaac zobaczył małego chłopca, dziesięcio-, może jedenastoletniego, siedzącego po turecku na wąskim łóżku; obok niego leżała książka. Jego lśniące złote włosy tworzyły gęstą grzywkę nad jasnyniebieskimi oczami.

– Przyszedłem naprawić lokomotywę – powiedział.

– Matka kazała mi iść się bawić na zewnątrz – szepnął chłopiec. – Ale ja nie lubię być na dworze w taki ziąb, więc kiedy przyszła sprawdzić, schowałem się pod łóżkiem.

– Może wrócę później... – Isaac cofał się, macając ręką za plecami w poszukiwaniu klamki.

– Nie! Proszę nie! – Chłopiec zeskoczył z łóżka. – Matka mówi, że umiesz naprawić pociąg. Nawet tata mówił, że naprawisz zegar wahadłowy, mówił, że umiesz naprawić wszystko. Proszę. To tylko lokomotywa, ta czerwona, nie jeździ, a jeśli nie będę miał innego zajęcia, każą mi się uczyć albo ćwiczyć granie. Proszę.

Isaac uniósł nieco czapkę i przejechał dłonią po ogolonej głowie.

– Obejrzę ją – powiedział.

Schylił się i podniósł lokomotywę. Odkręcił płytkę podwozia, która przytrzymała mechanizm zabawki, usiadł na podłodze i zaczął majstrować przy częściach.

– Mieszkaś w komórce? – zapytał chłopiec.

– Nie.

– To gdzie?

– Z innymi – odparł Isaac.

– Z jakimi innymi?

Isaac westchnął. Czy to możliwe, żeby chłopiec o niczym nie wiedział?

– Ile masz lat? – zapytał.

– Jedenaście. Prawie.

– Naprawię ci pociąg i będziesz mógł się bawić. – Może jest za młody i nie zdaje sobie sprawy z tego, co dzieje się wokół niego.

– Wczoraj przyjechałem ze szkoły. Zamknęli ją, więc musiałem wrócić. A tutaj jest nudno, nie ma się z kim bawić.

– Prawda – przytaknął Isaac, w skupieniu oglądając mały mechanizm.

– Jesteś ubrany tak samo jak służąca – zauważył chłopiec.

– Owszem.

– Ona ma na imię Anna, a ty jesteś Isaac, słyszałem rozmowę matki z tatą. Zawsze myślą, że ich nie słyszę, pewnie dlatego, że mnie nie zauważają i zapominają, że tam jestem.

Isaac uśmiechnął się pod nosem, on także znał to uczucie.

– Jesteś Żydem?

Isaac przytaknął ruchem głowy.

– Tak myślałem. Ale podobno macie długie nosy, a czasami tylko jedno oko, długie zęby, długie drapiące pazury i...

– Dość! – Isaac stuknął lokomotywą w podłogę tak mocno, że chłopiec się przestraszył. – Czy ja tak wyglądam? Spójrz na mnie! – powiedział ostro.

– Nie – odpowiedział cicho chłopiec. – Nie wyglądasz jak te rysunki na plakatach.

Isaac podniósł lokomotywę z podłogi; jego ręce znów drżały – nie z bólu spowodowanego reumatyzmem, tylko z gniewu.

– Jestem Friedrich – odezwał się znów chłopiec. – Chyba powinienes to wiedzieć, bo ja znam twoje imię, a kiedy się poznaje kogoś nowego, wypada się przedstawić, prawda?

– Owszem, tak nakazuje uprzejmość. Miło mi cię poznać, Friedrichu.

– Ciebie też, Isaacu.

– Proszę, chyba już zrobione. – Isaac postawił lokomotywę na szynach, po czym odsunął połamane listewki i na powrót złączył tory. – Trasa twojego pociągu będzie trochę krótsza, za to będzie działał.

Friedrich zeskoczył z łóżka, na którym siedział, i patrzył, jak lokomotywa powoli rusza, nabiera prędkości i klekocząc, jedzie dalej. Zaklaskał z radości, Isaac zaś stwierdził, że śmieje się razem z nim.

– Działa! Naprawdę działa! Jesteś czarodziejem! Ojciec nie umiał jej naprawić, ja też nie, aż zjawiłeś się ty i wszystko jest jak należy!

Isaac wstał i przez chwilę patrzył, jak Friedrich się bawi, podczepia wagony do lokomotyw i ustawia na stacji małe figurki pasażerów czekających na swój pociąg. Chciałby tak stać i obserwować go w nieskończoność, napawając się prostą radością z zabawy, nadawania nazw stacjom, imion ludziom i wyobrażania sobie ich rozmów w trakcie podróży do dalekich krajów.

– Proszę bardzo, Friedrichu – powiedział. Chłopiec spojrzał na niego z uśmiechem.

Isaac wyszedł z pokoju i powoli zszedł po schodach na parter, próbując przeciągnąć tę chwilę, zanim zostanie zaprowadzony z powrotem do zimnej komórki albo, co gorsza, do obozu.

Zimowe niebo szybko zgasiło światło dnia, pogrążając Isaaca w ciemnościach zimnej komórki; został mu tylko słaby blask lampy. Szybko robił na kartce kolejne notatki, by być gotowy do naprawy zegara, gdy zostanie wezwany, ale nikt po niego nie przyszedł.

Nie był przyzwyczajony do tego, że nie ma nic do roboty. Siedział, patrząc na ściany komórki, na cienkie szpary między deskami, przez które wpadało lodowate powietrze, tak że z jego ust stale buchała para ciepłego oddechu.

Praca by mu pomogła, nie myślałby o głodzie nieustannie ściskającym mu brzuch i powodującym napływ śliny do ust w oczekiwaniu na posiłek, który nie nadchodził. Poza tym oderwałaby jego myśli od obozu, od życia, jakie stało się teraz jego udziałem. Zachichotał w ciszy komórki – jak dotąd dopisywało mu szczęście, wyjątkowe szczęście. Latami ukrywał się w swojej wiosce, zajęty pracą, i nikt po niego nie przyszedł. Wywieźli go dopiero wtedy, kiedy usłyszał, że Amerykanie i Brytyjczycy z każdym dniem są coraz bliżej.

Właśnie ogryzał skórkę przy kciuku, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Schmidt.

– Czas na nas – rzucił Niemiec, odwracając się z powrotem do wyjścia.

Isaac zmusił się, by wstać, choć nogi się pod nim ugiwały. Zgasił lampę i pokuśtykał za Schmidtem. Zamiast głodu poczuł nudności na myśl o wysokim ogrodzeniu, żołnierzach z karabinami oraz o zimnych spojrzeniach strażników.

Nagle jednak wszystko to znikło – kuchennymi drzwiami wyszła z domu Anna i widząc Isaaca, uśmiechnęła się do niego blado.

Gdy Schmidt odprowadzał ich z powrotem do obozu, Isaac obejrzał się na dom. Padający z okien blask sprawiał wrażenie, jakby dom wessał całe światło, pozostawiając ich w atramentowej ciszy nocy. Rano padał deszcz ze śniegiem, a teraz zastąpiły go grube płatki śniegu, tworzące coraz grubszą warstwę, pod którą ugiwały się konary drzew.

Schmidt szedł za nimi, nucąc coś pod nosem i paląc cygaro. Co jakiś czas kazał im się zatrzymywać – Isaac nie miał wątpliwości, że Niemiec robił to wyłącznie po to, żeby jak najdłużej marzli na mrozie.

Anna wzdrygnęła się, gdy Isaac trącił ją ramieniem.

– Przepraszam – szepnął.

– Nie, to ja przepraszam. Nie chodzi o ciebie. To przez to miejsce. Za każdym razem, jak coś usłyszę albo kiedy coś mnie dotknie, moje ciało tak reaguje.

– Od dawna tu jesteś?

Anna potrząsnęła głową.

– Od września ubiegłego roku. Wiesz, dopiero rok temu stworzyli blok dla kobiet. Byłam jedną z pierwszych. Często się zastanawiam, dlaczego ja i dlaczego akurat teraz?

Isaac roześmiał się cicho.

– Ja właśnie zadawałem sobie te same pytania. Prawie pięć lat wolności i nagle znalazłem się tutaj.

– Piotr by powiedział, że to przeznaczenie – odparła. – Fatum. Coś, na co nie mamy wpływu.

– Piotr? – powtórzył pytająco.

– Mój narzeczony. On wierzy w zrządenia losu, a nawet w to, że sny mogą nam coś mówić.

– Ale ty w to nie wierzysz?

Anna wzruszyła ramionami.

– Już sama nie wiem, w co wierzyć.

– Cicho tam! – burknął za ich plecami Schmidt. – Myślicie, że nie słyszę, jak szepczecie? Macie mnie za głupka?

– Nie, Herr Schmidt – odpowiedzieli niemal jednym głosem.

– Zatrzymajcie się. Skoro tak dobrze się czujecie w swoim towarzystwie, trochę tu sobie postojcie.

Isaac stanął, Anna zaś przysunęła się do niego, drżąc z zimna. Chciałby ją objąć i ogrzać, lecz zrobił tylko to, co mógł – przywarł do niej, aż wyglądali niczym bliźnięta syjamskie; wymieniali się ciepłem i uspokajali się nawzajem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

FRIEDRICH

– Jedz, Friedrichu, a nie baw się tym, co masz na talerzu – skarciła go matka, kiedy zasiedli do kolacji przy lśniącym okrągłym stole.

Sztućce też były świeżo wypolerowane, chłopiec czuł unoszący się w powietrzu zapach środka do czyszczenia srebra.

– A więc ją naprawił? – spytała jego matka.

– Tak – odparł ojciec z ustami pełnymi ziemniaków.

– Nie chcę, żeby się kręcił po domu. A jeśli coś nam zrobi?

– Nic takiego się nie stanie, moja droga. Czemu miałby nas skrzywdzić? Poza tym każę Schmidtowi pilnować go jutro, kiedy będzie naprawiał zegar. Twierdzi, że rozwiązał problem, podobno wystarczy mu raptem kilka godzin.

– Kilka godzin! – krzyknęła matka, więc Friedrich spojrzął na nią, spodziewając się, że znowu będzie mdła.

– Już dobrze, Liesl. – Ojciec wstał i nalał jej ciemnego płynu do szklanki z grubego kryształu. – Wypij, dobrze ci zrobi na nerwy.

– A ja mogę go pilnować? – spytał Friedrich. – Mogę. Będę stał tuż obok niego.

– Nie waż się zbliżyć do tego Żyda! – krzyknęła na niego matka. – Kto wie, jakie choroby roznosi albo co lubi robić małym chłopcom!

– On nie jest taki... – zaprotestował chłopiec.

– A ty niby skąd wiesz, jaki jest? – przerwała mu matka, piorunując go wzrokiem.

Friedrich ugryzł się w język i nie wygadał się, że rozmawiał z Isaakiem o tym, jak to jest być Żydem, i że oni się mylą. Ukroił tylko kawałek mięsa i wrócił do jedzenia.

– Friedrichu, musisz zrozumieć, że ludzie tacy jak ten człowiek i ta kobieta, która czasami tu usługuje, nie są tacy jak my – oświadczył ojciec. – Są tutaj, żeby spełniać nasze życzenia, i dzięki temu są szczęśliwi, bo pragną nas zadowolić. Dlatego nie rozmawiaj z nimi, wydawaj im tylko polecenia, a jeśli ich nie spełnią, powiedz o tym mnie albo matce.

Friedrich skinął głową i przełknął kawałek mięsa.

– Ojciec, czy mogę cię o coś zapytać? – zaryzykował.

– Możesz. A ja się zastanowię, czy odpowiedzieć.

– Gdzie mieszka ten człowiek? W komórce?

Rodzice porozumieli się wzrokiem. Friedrich zauważył, że matka leciutko kręci głową.

– Mieszkają w miasteczku – odparł ojciec. – Niedaleko stąd. Są zebrani razem w jednym miejscu, dzięki czemu są od nas oddzieleni, a my jesteśmy bezpieczni.

– Czy mogę tam pójść? – spytał chłopiec, zapomniawszy najpierw się upewnić, czy może zadać drugie pytanie.

Z ust matki wyrwał się jęk i na chwilę osunęła się na krzesło. Ojciec czym prędzej stanął koło niej i pomógł jej się wyprostować; oczy znów miała otwarte i czujne. Przyłożył do jej ust szklanekę z brązowym płynem, po którym od razu odżyła.

– Friedrichu, nie wolno ci wychodzić z tego domu, czy to jasne? Nie będę tego powtarzał. Możesz korzystać z ogrodu, ale tylko po obu stronach domu, a nie z tego na tyłach, bo zegarmistrz używa teraz komórki. A skoro zdenerwowałaś matkę, wracaj do swojego pokoju.

Friedrich wstał na miękkich nogach. Widząc gniew w oczach ojca i słysząc słowa, które padły z jego ust, tak szorstkie i groźne, wiedział, że za ewentualne nieposłuszeństwo czeka go surowa kara.

– Wybacz, matko – bąknął od progu jadalni.

Zerknęła na niego przelotnie, uśmiechnęła się słabo i odprawiła go ruchem ręki, a jego niedojedzona kolacja stygła na stole.

Kiedy wyszedł, zobaczył, że w salonie siedzi Schmidt, z nogą na podnóżku i szklaneką bursztynowej whisky w ręce. Przez chwilę chłopiec przyglądał się, jak tamten popija, jakby był panem domu.

– Na co się gapisz?! – warknął grubas, odwróciwszy do niego czerwoną twarz. Podniósł się, odstawił szklanekę na wypolerowany stół i podszedł do chłopca.

– Co tu się dzieje? – Ojciec stanął za plecami syna.

– Nic – odparł Friedrich, przenosząc wzrok z ojca na Schmidta.

– Patrzył na mnie tak, jakby czegoś chciał. Powiedz, Friedrichu, chcesz czegoś? – Schmidt schylił się i przysunął twarz tak blisko, że chłopiec poczuł zapach trunku, dymu tytoniowego i potu mężczyzny.

– Od powrotu do domu nic tylko sprawia kłopoty – oświadczył ojciec, popychając syna w kierunku schodów. – Idź do łóżka!

Wlokąc się krok za krokiem po schodach, Friedrich słyszał, jak ojciec zaprasza Schmidta, by zjadł z nimi kolację, oraz głos matki, wołającej, że też pragnie jego towarzystwa.

Po co mnie tu ściągnęli? – zastanawiał się chłopiec, otwierając drzwi sypialni.
– O co im chodzi?

Przysiadł na brzegu łóżka, wyobrażając sobie, jak Schmidt dojada resztki jego kolacji, napychając się niczym świnia przy korycie.

Popatrzył dokoła – na kolejkę, na kilka książek na półce – myśląc o tym, co mógłby zrobić. Miał już dość tego pokoju. Po południu kolejka uratowała go wprawdzie przed nudą, ale nie wyobrażał sobie, że miałby spędzać czas jedynie w tym pokoju albo ogródku z boku domu, a skoro nie mógł chodzić do ogrodu na tyłach, gdzie była komórka, nic innego nie przychodziło mu na myśl.

Wyszedł z pokoju i na palcach ruszył korytarzem. Jeszcze raz spróbował nacisnąć klamkę drzwi naprzeciwko. Z niego miałby przez okno widok na komórkę, więc mógłby przynajmniej obserwować Isaaca, a może też zobaczyć miasteczko, w którym mieszkał. Kto wie, może nawet bawiące się dzieci? Ale drzwi nadal były zamknięte na klucz, a on nie potrafiłby otworzyć zamka.

– Otto by umiał – mruknął pod nosem, przysiadając na brzegu łóżka. – Powinienem był poprosić Isaaca, on by potrafił, a jak mówił ojciec, gdybym mu kazał, musiałby to zrobić.

Nagle uświadomił sobie, że mówi sam do siebie jak Anna, i zachichotał.

Wziął z komody książkę i położył się, by poczytać o starożytnych Egipcjanach – o tym, jak robili mumie i wznosili piramidy. Był w połowie pierwszej strony, gdy naraz z dołu doleciał potężny huk.

Podszedł do drzwi i uchylił je na milimetr. Usłyszał głos matki; szlochając, krzyczała na ojca.

– Jak możesz wymagać, żebym tu żyła dzień w dzień? Nikt mnie nie odwiedza, moi przyjaciele nie chcą tu przyjechać! I trudno mieć im za złe! Skoro półtora kilometra od nas jest to coś, a oni roznoszą zarazki po całym naszym domu!

A potem doleciał kojący głos Schmidta, który uspokajał matkę, chociaż zwykle zajmował się tym ojciec.

Friedrich nie usłyszał odpowiedzi ojca, jedynie jego dudniący głos. Nie ośmielił się wyjść z sypialni, nie odważył się zerknąć na rozgrywającą się niżej scenę.

Wkrótce zapanował spokój, a potem doleciał dźwięk zamykanych drzwi. Chłopiec usłyszał kroki ojca i jego głos, teraz już wyraźniejszy.

– Rozbiła ten cholerny telefon.

Friedrich z powrotem położył się na łóżku.

Teraz już i ojciec gada sam do siebie. Być może wszyscy tu jesteśmy szaleni, pomyślał.

ROZDZIAŁ ÓSMY

ISAAC

Ranek rozpoczął się tak samo jak poprzedniego dnia. Kapo Adam obudził ich wrzaskiem, gdy leżeli w półśnie na swoich pryczach, zwinięci w kłębek, by jako tako się ogrzać.

Isaac ubrał się, ochlapał twarz w pokrytej brudną pianą wodzie, której wcześniej używali inni, wziął swoją pajdę chleba i słabą kawę. Zauważył Jana, który najpierw mu się przyglądał, a potem powiedział coś do mężczyzny o wielkich, przekrwionych okrągłych oczach i zapadniętych policzkach.

Siedząc na brzegu swojej pryczy, powoli przeżuwał chleb, udając, że jest w domu i je śniadanie przed wyjściem do pracy.

– Załatwiłeś sobie klawą robotę, co? – Mężczyzna o zapadniętej twarzy stanął przed nim, opierając ramię na jego pryczy.

Isaac spojrzał na Jana, który siedział naprzeciwko na dolnej pryczy i trzymał w palcach niezapalonego papierosa.

– Słyszałem, że wybrał cię nasz kapo... znasz go, no nie? – mówił dalej mężczyzna o wychudłej twarzy.

Isaac pokręcił głową.

– Nikogo tu nie znam.

– Widzisz tego papierosa, którego trzyma Jan? Są różne sposoby na zdobycie tego, czego się chce albo potrzebuje, nie trzeba od razu być zdrajcą.

– Ja nic nie dostaję – odparł Isaac. – Nic a nic.

– Poza tym, że masz wygodną robótkę u naszego komendanta? I pewnie dodatkowy posiłek albo i dwa? A co dajesz w zamian, hę? Opowiadasz mu o nas, o tym, co tu robimy? A wiesz, że wieczorem dwóch naszych kolegów pobito na śmierć? Tutaj, na placu apelowym, ale ciebie przy tym nie było. Nie sądzisz, że to wygodny zbieg okoliczności? – Mężczyzna zbliżył się do Isaaca, wyrwał mu z ręki resztkę chleba i ją zjadł.

– Wystarczy. – Jan wstał. – Isaacu, mój przyjaciel chce tylko powiedzieć, że jeśli pomagasz im dla korzyści osobistych, to jeszcze nie jest za późno. Nie musisz być taki jak Adam, rozumiesz?

Isaac zobaczył jak Adam, ich kapo, wypycha z baraku starszego człowieka, który spodziewając się bicia, szedł z rękami nad głową.

– Rozumiesz, Isaacu? – powtórzył Jan.

Isaac skinął głową.

– Ja im nie pomagam. To zwyczajna praca. Nie moja wina.

Jan poklepał go po dłoniach.

– Wierzę ci.

– A ja nie! – warknął mężczyzna o zapadniętych policzkach. – Będę miał na ciebie oko, Isaac.

Kiedy obaj odeszli od niego, Isaac spojrział na swoje ręce, trzęsące się już nie tylko z zimna, ale i ze strachu.

Tego samego dnia po południu Isaac stwierdził, że nie jest w komórce sam. Gdy już naprawił zegar szafkowy, Schmidt zaprowadził go z powrotem do ogrodu i wręczył mu małą torbę pełną zegarków naręcznych i kieszonkowych; były rozmaitych kształtów i wielkości, ale łączyło je to, że nie działały.

– Zawiadomię Herr Bechera, że ci się udało – oświadczył Schmidt, zostawiając Isaaca przed drzwiami komórki. – Życzy sobie, żebyś po ukończeniu zadania zajął się naprawą tego, co jest w tej torbie.

– Do kogo one należą? – zapytał Isaac, zajrzawszy do torby.

– Nie twój interes. Napraw je. – Schmidt odszedł i Isaac został sam, nieco zdezorientowany. Liczył na coś więcej, gdy zegar wahadłowy znów zaczął wydzwaniać i chodzić; trybiki i kółka zębate poruszały się w idealnej harmonii, a kuranty wybijające północ i południe czekały, aż wskazówki znajdą się na właściwej godzinie.

Gdyby był w domu, dla uczczenia sukcesu wypiłby odrobinę whisky, a jeśli byłoby to za życia Hannah, opowiedziałby jej o tym, tak dumny, jakby złamał szyfr do sejfu, w którym przechowuje się brytyjskie klejnoty koronne.

Otworzył drzwi komórki i z zaskoczeniem ujrzał zgarbioną postać, tak samo ubraną jak on; człowiek ten siedział na jego stołku i drzemał ze zwieszoną głową.

Isaac zakaszlał raz i drugi, po czym powtórzył to głośniej.

Śpiący uniósł głowę – był to mężczyzna mniej więcej w wieku Isaaca, z krzaczastymi brwiami niemal zasłaniającymi mu oczy i zbieleńcami z zimna ustami.

– Jesteś nowy – odezwał się do Isaaca.

– To samo miałem powiedzieć o tobie.

– Nie jestem nowy. Ostatnio nie mieli dla mnie zbyt wiele roboty, ale teraz ponoć nie mogą patrzeć na te zwiędłe liście, więc kazali mi je usunąć. Oni lubią usuwać.

Mężczyzna wstał i uśmiechnął się do Isaaca, to zaś wytrąciło go z równowagi, bo uśmiech pojawił także w oczach nieznanego, a jak dotąd nie spotkał tu nikogo, kto okazywałby taką radość.

– A tobie co kazali robić? – zapytał mężczyzna.

Isaac uniósł torbę.

– Mam to naprawić.

Tamten nie czekał, aż Isaac pokaże mu zawartość, tylko wyrwał mu torbę z rąk i zaczął wyjmować zegarki.

– Chyba wiesz, skąd się wzięły, co? – zapytał.

Isaac pokręcił głową.

– Z obozu. To nasz dobytek. Sprzedadzą je albo podarują strażnikom, zobaczysz.

Isaac szybkim ruchem odebrał mu torbę i włożył zegarki z powrotem.

– A właśnie, jestem Levi. – Mężczyzna bynajmniej nie przejął się ostrą reakcją Isaaca. – A ty jak masz na imię?

– Isaac. Długo tu zostaniesz? Mam pracę.

Levi wybuchnął śmiechem.

– No, no, już mówisz tak, jakby to była twoja komórka, twój warsztat. Tak trzymaj, Isaac, tak trzymaj!

Wziął grabie i nucąc jakąś melodię, wyszedł z komórki, zostawiając Isaaca z torbą pełną rzeczy należących do więźniów.

Isaac pracował niecałą godzinę, gdy do komórki wszedł Herr Schmidt i przyniósł telefon z połamaną podstawą; kable wysuwały się z aparatu niczym macki ośmiornicy.

– Napraw go – polecił, kładąc telefon na prowizorycznie skleconym stole. – Będzie im potrzebny jeszcze dzisiaj, więc się pośpiesz.

Schmidt wyszedł równie szybko, jak się zjawił; Isaac usłyszał, że krzyczy coś do Leviego, który nie odpowiedział.

Telefon miał wgniecioną podstawę i pękniętą słuchawkę. Isaac nigdy jeszcze nie naprawiał telefonu ani nawet go nie miał.

Wstał, otworzył drzwi komórki i zawołał Leviego. Ten podszedł nieśpiesznie, znowu z tym przyklepionym do twarzy uśmiechem.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytał, opierając się o grabie.

– Widziałeś kiedyś telefon? – Isaac pokazał mu aparat, który miał w rękach.

– Ba, sam taki miałem. A nawet dwa, jeśli liczyć także ten w moim biurze. Ale nie bardzo wiem, jak to działa. – Levi uważnie przyjrzał się podstawie aparatu i wystającym kablom. – Na mój gust te kabelki trzeba podłączyć do podstawy... i sprawdź, skąd wychodzą. Myślę, że potem powinieneś sprawdzić

słuchawkę i mikrofon, upewnij się, że także są podłączone, nie wiem, jak inaczej można by to zrobić.

– Oni go potrzebują jeszcze dzisiaj – mruknął zmartwiony Isaac, patrząc na nieznany mu przedmiot.

– Wiem, że dasz sobie radę – zapewnił go Levi.

– A niby skąd wiesz?

– Wyglądasz na takiego, co potrafi.

Isaac nie spojrział na niego, wbijał wzrok w telefon, wyobrażając sobie, jak się go używa. Chciałby wezwać kogoś na pomoc, ale kogo?

– Wiesz, powinienes się częściej uśmiechać – oznajmił nagle Levi.

– O czym ty mówisz? – Isaac podniósł wzrok.

Levi patrzył na niego, jak gdyby potrafił odczytać jego myśli i przejrzeć wspomnienia. Marszcząc brwi, wyjaśnił:

– Ja nie żartuję, musisz się częściej uśmiechać. Uśmiechaj się, a od razu poczujesz się lepiej. To działa. – Schylił się, by wyrwać jakieś chwasty.

– A z czego tu się śmiać?

Levi porzucił chwasty i znowu oparł się na drewnianych grabiach.

– Znasz mnie wprawdzie co najwyżej od godziny, ale czy widziałeś mnie bez uśmiechu na twarzy?

– Wyglądasz, jakbyś po prostu odpoczywał od pielęgnowania swojego ogródka. Opierasz się na tych grabiach, jakby nigdzie ci się nie śpieszyło.

– Bo tak jest. Czasu mam pod dostatkiem. Ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Czy widziałeś mnie bez uśmiechu na twarzy?

– Nie – odparł Isaac. – Przez to wydajesz się prostoduszny. Jakbyś nie rozumiał, co się dzieje wokół ciebie. – Spuścił wzrok i z powrotem przyjrzał się płataninie kabli. Pytanie Leviego go zirytowało, przypomniało mu Hannah, która stale powtarzała, żeby nie traktował wszystkiego tak serio, żeby spojrział na świat życzliwiej i pogodniej. – Tutaj nie znajdziesz szczęścia – oświadczył po prostu.

– Wyobraź sobie, Isaacu, że odebrali mi dom. I firmę. A żonę i dzieci wysłali do innego obozu, podejrzewam, że albo już nie żyją, albo są na skraju śmierci.

– A mimo to się uśmiechasz.

– Owszem, mimo to. Nie rozumiesz, Isaacu? Zabrali mi wszystko, wszystko. Ale tego jednego nie mogą mi odebrać: mojego humoru, tego, kim jestem. Ja już byłem w życiu szczęśliwy. Stale dowcipkowałem, bawiłem się i uśmiechałem. I postanowiłem, że bez względu na to, co czuję, bez względu na to, czego próbują mnie pozbawić, zachowam ten humor i pozostanę sobą. Kim byłeś, zanim się tu znalazłeś?

Isaac oderwał wzrok od telefonu.

– Czy to ważne?

– Oczywiście, że jest ważne. No już, kim byłeś?

– Byłem Isaakiem, którego żona umarła. Zostałem sam ze swoim warsztatem i moimi zegarkami. Miałem przyjaciół, z którymi jadłem i piłem. Miałem Boga. A teraz nie mam nic.

– Boga wcale nie straciłeś – sprostował Levi, rozkładając ręce i patrząc w niebo, jakby objawił się nad nim Bóg we własnej osobie.

Isaac spojrział na kłębowisko szarych chmur nad głową, próbując przebić je wzrokiem i dostrzec nad nimi niebo.

– Nie straciłem – przyznał. – Tylko nie jestem pewny, czy on jeszcze mnie słyszy. Nie stąd.

– Przyjacielu, on cię dosłyszy wszędzie.

– Powinieneś wrócić do pracy. Jak myślisz, co zrobią, jeśli zobaczą, że nie pracujesz? Będą się z tobą przerzucali dowcipami?

Levi nagle wybuchnął śmiechem.

– Widzisz? Wiedziałem, że jesteś zabawny! Przerzucać się dowcipami, to dobre. Myślisz, że spodobałby im się mój dowcip o Hitlerze? Posłuchaj. – Nachylił się do Isaaca i ciągnął cicho: – Hitler i Göring stoją na szczycie wieży radiowej w Berlinie. Hitler mówi, że chciałby zrobić coś, co wywoła uśmiech na twarzach berlińczyków. Na to Göring: „To skocz”.

Isaac poczuł, że mimowolnie się uśmiecha.

– Pewnego dnia zaczniesz się śmiać, obiecuję ci, za jakiś czas znowu będziesz się śmiał. A ja tymczasem dotrzymam ci towarzystwa i postaram się, żebyś i tutaj dostrzegał humorystyczne sytuacje.

– Nie opowiadaj tutaj tego dowcipu – poradził mu Isaac. – Jeśli cię ktoś usłyszy...

– To co? Zabije mnie?

Isaac patrzył, jak Levi wraca do pracy i usuwa grabiami zwiędłe liście z trawy; oczy ogrodnika błyszcząły, poruszał się z gracją tancerza. Ot, pielęgnujący swój ogród człowiek, któremu nigdzie się nie śpieszy.

Isaac wrócił do komórki. Próbował zrozumieć zasadę działania telefonu, tyle że w pamięci miał wyryty obraz uśmiechu Leviego i dźwięk jego głosu. Powtórzył w duchu dowcip, który opowiedział mu Levi, i pozwolił sobie na śmiech. I wtedy przypomniał sobie, jak Hannah powiedziała mu, że kiedyś jeszcze będzie się uśmiechał i śmiał, kiedy grawerunki, które wyrył na swoich narzędziach, już go nie będą nawiedzać. Czy miała rację? Czy od tej pory się uśmiechał?

Pomyślał o zegarze szafkowym, który naprawił w domu Becherów i który teraz pięknie wygrywał godziny, odliczając czas. Wcześniej, po tym, co mu się przydarzyło, minuty stale mijały po cichu, on zaś od lat się nie śmiał, od lat nie

czuł rozpierającej go radości, kiedy zaczynał kolejny dzień życia. Zajmował się odmierzaniem czasu, ale nie czuł jego upływu.

Tymczasem Levi, ten sam Levi, który w życiu zaznał nie mniej rozpaczy, postanowił nadal cieszyć się każdą chwilą, uśmiechać się i szukać powodów do radości.

Znów pomyślał o Hannah. Miała rację, kiedyś jeszcze będzie się uśmiechał i śmiał, ale nigdy by nie przypuszczał, że stanie się to akurat tutaj.

Przegonił te myśli i zajął się nowym zadaniem – naprawą telefonu. Po jakimś czasie uznał, że zrozumiał, do czego służy każdy kabelek i gdzie należy go podłączyć. O dziwo, poczuł zadowolenie. Zlecono mu nowe, dziwne zadanie i pochłonęła go naprawa czegoś, czego nigdy wcześniej nie widział.

Niedługo ktoś znowu mu przerwał. Myśląc, że to Levi, nie podniósł wzroku, tylko nadal w skupieniu zajmował się swoją pracą.

– Co robisz?

Isaac obejrzał się i ze zdziwieniem zobaczył chłopca; stojąc z rękami w kieszeniach, Friedrich wyglądał niczym miniaturka swojego ojca.

Na jego widok w pierwszej chwili uśmiechnął się z zadowoleniem, ale zaraz uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Nie powinienes tu przychodzić. Wracaj do swojej kolejki – zwrócił się do chłopca.

Friedrich puścił jego słowa mimo uszu, rozglądając się po komórce, jak gdyby szukał ukrytego skarbu.

– Zimno tu – zauważył.

– To prawda. Dlatego powinienes wrócić do domu i siedzieć w ciepłe.

– Co robisz? – powtórzył pytanie Friedrich.

– Naprawiam to. – Isaac z westchnieniem pokazał mu telefon.

– Matka rzuciła nim wczoraj wieczorem – wyjaśnił chłopiec.

– Naprawdę?

– Tak. Cisnęła nim w ojca. Myślą, że o niczym nie wiem, ale ich podsłuchałem.

– A jak pociąg? – zapytał Isaac.

– Działa. Ale ojciec nie pozwala mi się nim bawić zbyt długo. Twierdzi, że jestem już prawie mężczyzną, nie powinienem zajmować się zabawkami, więc Schmidt kazał mi znaleźć sobie jakieś inne zajęcie. Wysłał mnie do ogrodu z boku domu, ale tam jest kompletnie pusto, nie ma się czym bawić. Powiedział, żebym nie wchodził mu w drogę, bo ma ważną pracę dla mojego ojca, ale widziałem go, jak siedział w salonie z matką, śmiali się z czegoś, więc nie wiem, czy taką pracę miał na myśli, czy... – Chłopiec pytająco uniósł obie ręce.

– I dlatego przyszedłeś tutaj. Ale tu też nie ma nic do zabawy.

Friedrich usiadł na podłodze komórki naprzeciwko Isaaca i skrzyżował nogi. Wziął do ręki mały złoty śrubokręt.

– Co to jest?

– Śrubokręt.

– Do czego służy?

– Do tego, żeby przymocować podstawę telefonu. – Isaac coś poczuł, jakieś napływające wspomnienie, ale powstrzymał je. Słowa chłopca przypomniały mu kogoś innego.

– Od dawna chcę z niego skorzystać, ale nie mogę. Nie mam do kogo zadzwonić. A ojciec mówi, że telefon służy do spraw służbowych.

Isaac pokiwał głową, delikatnie próbując wysunąć kabel z głośnika i połączyć go z innym drucikiem. Trzęsły mu się ręce.

– Powinieneś iść się bawić. Jeśli twoja matka cię tu zastanie, będziesz miał kłopoty.

– Zajmuje się Schmidtem.

– Wobec tego twój ojciec.

– Rano pojechał do Monachium.

Isaac westchnął i spojrzał na chłopca, który siedział, podpierając głowę złączonymi rękami.

– Tutaj będziesz się nudził.

– Naucz mnie, jak można coś naprawić – poprosił Friedrich.

– Nie mogę.

– Możesz i musisz. Wiem, kim jesteś, więc musisz robić, co ci każe. – Friedrich wstał i podparł się pod boki. – Musisz. Jesteś Żydem, który umie wszystko naprawić, ale ojciec mówi, że to nie znaczy, że nie jesteś takim samym zwierzęciem jak inni.

Isaac odłożył narzędzia na stolik. Spojrzał chłopcu prosto w oczy.

– Nie jestem zwierzęciem. – Jego ton był stanowczy i lodowaty. – A teraz wyjdź.

Zuchwałość chłopca znikła równie szybko, jak się pojawiła; przestał się podierać pod boki i opuścił ręce.

– Wyjdź. Już. – Isaac wskazał mu drzwi.

Friedrich ruszył do wyjścia. Nagle odwrócił się i tak kopnął podstawę telefonu, którą Isaac odłożył na podłogę, że poleciała po zakurzonych deskach i wyrznęła w metalowy kanister.

– Napraw ją! – warknął ze złością i wyszedł.

Isaac odczekał kilka minut. Dopiero wtedy wstał i wziął z podłogi kopniętą część telefonu.

Wiedział, że chłopiec nie mówił poważnie. Umiał poznać, kiedy dziecko mówi słowami rodziców, a w głosie Friedricha, kiedy rozkazywał mu, co ma robić, usłyszał ton jego ojca.

Gdy klękał, by podnieść podstawę telefonu, niesprawna noga omal nie odmówiła mu posłuszeństwa. Pomasował ją, marząc o ciepłej kąpieli w wannie i o wodzie obmywającej mięśnie i ścięgna, usuwającej z nich napięcie i dającej mu chwilę wytchnienia.

Podnosząc podstawkę, przewrócił kanister. Podczołgał się, by postawić go z powrotem, i wtedy zobaczył, że pojemnik wpadł w niewielkie zagłębienie pod deską wyrwaną z podłogi. Podniósł go, a potem przez ciekawość włożył rękę do dziury, jakby spodziewał się znaleźć tam zegarek kieszonkowy swojego dziadka, jak gdyby znowu był w swoim warsztacie.

Tymczasem namacał jakieś zawiniątko. Wyciągnął je. Czerwona szmatka, wycięta z jednego ze starych koców, których używał w komórce, była przewiązana sznurówką. Isaac obejrzał się na drzwi i znów spojrzął na znalezisko. Powoli rozwiązał sznurówkę i wyciągnął plik kartek; na wszystkich były zapiski, rozmaite notatki, listy i rysunki, a wszystkie miały w rogu inicjały J.A.L.

– Isaacu! – dobiegło go z zewnątrz wołanie Leviego. – Mogę wejść? Wiem, że jesteś zajęty, więc boję się ci przeszkadzać! – Jego głos był niemal wesoły.

Isaac szybko zawinął papiery w szmatkę i schował je z powrotem do dziury, po czym zakrył ją deską.

Wstał i otworzył drzwi.

– Mogę? – Levi uśmiechnął się do niego szeroko i dotknął czapki, jakby uchylał przed nim melonika, a oni mieli zasiać w biurze na przyjacielskim spotkaniu w interesach.

Isaac uśmiechnął się.

– Wejdz.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ANNA

– Mówię ci, przestań się tak gapić – ostrzegła Greta.

Anna oderwała się od zmywania garnków w zlewie. Uświadomiła sobie, że jej oczy znów co chwila wędrują do okna w kuchni, przez które obserwowała światło lampy w komórce.

Nie widziała Isaaca rano, kiedy Schmidt przyprowadził ją do domu – wyglądało na to, że zaczynała pracę mniej więcej godzinę wcześniej niż on. Chciała znowu z nim porozmawiać, tak jak wtedy, kiedy wracali do obozu, chciała znów usłyszeć jego cichy głos i wypowiedane precyzyjnie słowa, jak gdyby je wcześniej wymierzył, a każde z nich było ważne. Tak samo mówił Piotr.

– Dziś rano naprawił zegar. A ten cały Schmidt właśnie zabrał gdzieś panią samochodem, słyszałam, że jej obiecywał jakąś rozrywkę po tym, jak przez całe przedpołudnie musiała znosić obecność Isaaca w domu.

Anna odwróciła się i spojrzała na Gretę, która zagniatła ciasto. Kucharka miała dłonie białe od mąki, którą ubrudziła sobie też policzek, kiedy odsuwała z twarzy niesforny kosmyk włosów.

– Dokąd pojechała? – Anna nachyliła się do niej i starła mąkę z jej policzka.

– Przypuszczam, że na zakupy. Mówię ci, zobaczymy ją najwcześniej jutro. A Herr Becher przez dwa dni będzie w Monachium.

– Czy Friedrich z nią pojechał?

– Ha! Nie.

– Czyli będzie musiała dziś wrócić, żeby się nim zająć. – Anna otworzyła puszkę z ostatnim kawałkiem ciasta i położyła go na talerzyku z niebieskiej porcelany, by dać chłopcu, kiedy go zobaczy.

– Zdążyła zapomnieć, że w ogóle ma syna. Zapamiętaj moje słowa, ona dzisiaj nie wróci. Zatrzyma się u którejś z przyjaciółek i będzie jej się skarżyła na swój ciężki żywot.

Anna odwróciła się, by dokończyć zmywanie; wycierając potem talerze, poczuła się nagle tak zmęczona, jakby nogi w każdej chwili miały odmówić jej posłuszeństwa, i bała się, że padnie jak długa na podłogę.

– Skoro nie ma jej w domu, posprzątaj sypialnie i łazienki, kiedy tu skończysz. A jej powiemy, że to ja sprzątnęłam ich sypialnię, dobrze?

Anna nie odpowiedziała, całą energię wkładając w wycieranie garnków i talerzy.

– Zjadłś ten chleb, który ci dałam wczoraj? – Greta przyglądała jej się badawczo; skończyła wyrabiać ciasto i teraz wycierała dłonie w fartuch.

Anna kiwnęła głową. Zamierzała go zjeść, ale po powrocie do obozu wielki kawał chleba zaczął jej ciążyć w kieszeni, uznała, że byłaby egoistką, zachowując ten poczęstunek tylko dla siebie. Inne kobiety wykonywały cięższe zadania, pracując na mrozie, a nie tak jak ona w ciepłym domu. Więc mimo że była głodna, rozdała im swój chleb.

– Usiądź tu na chwilkę. – Greta przysunęła jej krzesło, naląła kawy i poszła do spiżarni. Wróciwszy, postawiła przed Anną kawałek sera, plaster zimnego kurczaka i jeszcze trochę chleba. – Jedz. Chcę zobaczyć, jak zjadasz to do końca.

Usiadła na krześle naprzeciwko i patrzyła, jak Anna żuje każdy kęs.

– Nie mogę nakarmić was wszystkich. A Bóg mi świadkiem, jak bardzo bym chciała – mówiąc to, Greta wyłamywała palce. – Przy was wszystkich, Levim, Isaacu i tobie, trudno mi dawać ci więcej, bo w końcu ktoś się zorientuje. Piekłam więcej chleba, ale Frau Becher zauważyła, że proszę o coraz więcej mąki, więc skłamałam, że rozsypałam jeden worek. Anno, nie możesz oddawać chleba, ty też musisz jeść.

– Mam wyrzuty sumienia – wyznała Anna, przełknęła kęs i popiła go kawą; zawroty głowy trochę ustąpiły, w oczach znów pojawiła się czujność.

– Ugotuję zupę. – Greta zerwała się z miejsca. – Mam z czego. Zostały resztki warzyw i trochę mięsa. Nie dziw się, że będzie rzadka, ale nagotuję jej i przynajmniej wasza trójka będzie miała co jeść przez kilka dni.

Co rzekłszy, wyjęła marchewki, cebule i ziemniaki, by je posiekać. Anna wstała i położyła ręce na jej ramionach.

– Dziękuję – powiedziała i zostawiła Gretę płaczącą nad cebulą, która szczypała ją w oczy.

Anna zaczęła od sypialni Becherów – pokoju, do którego dotychczas nie zaglądała. Dominowało w niej łóżko z baldachimem; zasłonki były związane plecionymi fioletowymi sznurami z frędzlami.

Łóżko było nieposłane, pościel opadała częściowo na podłogę, nawet poduszka, jak gdyby Frau Becher przez sen walczyła sama ze sobą. Anna rozsunęła zasłony, by do środka wpadło światło, a potem uchyliła nieco okno, wpuszczając świeże powietrze, żeby usunąć przesłodzony zapach drogich perfum, którymi Frau Becher najwyraźniej się spryskała przed wyjściem.

Na toaletce stało mnóstwo szklanych słoiczków i flakoników; w jednych były kremy, w innych perfumy, ale wszystkie miały srebrne wieczka z monogramem. Anna uśmiechnęła się na myśl o zestawie kosmetyków, który jej matka dla niej trzymała, czekając, aż córka wyjdzie za mąż. Przesunęła palcem po zawijasach ozdobnego L i B na wieczku pudełka z pudrem, po czym szybko cofnęła rękę, jak gdyby Frau Becher mogła ją na tym przyłapać.

Na początek posłała łóżko, z przyjemnością dotykając miękkiej bawełny – jakże chciałaby się położyć w tej pościeli, poczuć pod głową poduszki z pierza. Podniosła jedwabny szlafrok i taką samą koszulę nocną Liesl; były różowe, z identycznymi wzorami przedstawiającymi maleńkie ptaki i kwiatki. Ułożyła koszulę nocną na brzegu łóżka, a szlafrok powiesiła w szafie. Wyglądając go na wieszaku, nie mogła oderwać oczu od innych wiszących tam ubrań. Wyciągnęła palec wskazujący i dotykała każdej sukni, bluzki i spódnicy, by poczuć miękkość materiałów. Zatrzymała palec na chabrowej sukience w małe żółte kwiatki. Przypominała suknię jej matki, była niemal identyczna, włącznie z ciemnoniebieskim paskiem w talii. Nagłe wspomnienie pozbawiło ją tchu. Była malutka, miała cztery, najwyżej pięć lat, rodzina wybrała się na piknik i siedziała z matką, bratem i ojcem na kocu. Matka miała ochotę tańczyć, więc Anna wzięła ją za ręce i razem kręciły się i wirowały, śpiewając piosenkę, której matka nauczyła się z radia.

Nawet w tej sypialni czuła zapach kwiatów i czystej wody szemrzącej w pobliskim strumyku. Czuła wiatr we włosach, kiedy tańczyły, i miękkie, ale silne dłonie matki, którymi trzymała ją, żeby się nie przewróciła.

Głośny wystrzał na dworze w jednej chwili sprowadził ją do sypialni. Wyjrzała przez okno. Jej serce zamarło, wiedziała, skąd padają te strzały, była ich cała seria. I nagle zapadła cisza.

Jak gdyby w jej ciele zamieszkał ktoś inny, wyciągnęła rękę, zdjęła sukienkę z wieszaka, zrzuciła z siebie ubranie i przebrała się w nią szybko.

Nie zapięła guzików, nie zawiązała paska. Stała tylko w miejscu, w zbyt obszernej na jej wychudłe ciało sukience, i przesuwała dłońmi po biodrach i piersiach, jakby dotykała ich po raz pierwszy. Zmieniły się, ale i ona się zmieniła.

Odwróciła się i przejrzała w sięgającym podłogi lustrze. Nadal miała na głowie czepek. Zdjęła go i trzymając w dłoni, patrzyła na swoje odbicie. Teraz jej głowa wydawała się za duża w porównaniu z resztą ciała, rzadkie matowe włosy były zebrane w ciasny kok. Oczy też miała za duże, piwne z zielonymi cętkami i otoczone wielkimi czarnymi sińcami, a usta spierzchnięte i popękane.

– Kim jesteś? – zwróciła się do odbicia w szkłe. Dziewczyna w lustrze powtarzała jej ruchy. – Naprawdę jesteś mną? – spytała.

Nagle poczuła rozpierającą ją wściekłość. Machnęła rękami, strącając z toaletki wszystkie kosmetyki, które potoczyły się po podłodze. Jedna szklana buteleczka się rozbiła, jej zawartość rozlała się na parkiecie i dopiero wtedy Anna oprzytomniała.

Starła z mokrej twarzy łzy oraz śluz spod nosa. Coś stłukła. Uklękła i podniosła rozbitą buteleczkę, nie bardzo wiedząc, co z nią zrobić.

Potem szybko pozbierała swoje ubranie. Rozbierając się, ujrzała w lustrze parę oczu. Nie były to jej oczy, tylko odbicie tego chłopca, Friedricha, stojącego w progu. Odwróciła się szybko, on jednak już zniknął.

– Stłukłam to. – Ręce Anny się trzęsły, gdy pokazywała Grecie perfumy.

Kucharka badawczo przyjrzała się jej twarzy.

– Powiem jej, że ja to zrobiłam.

– Przecież będziesz miała kłopoty – zaprotestowała Anna, wiedząc, że Liesl przy każdej okazji narzeka, że Greta jest za stara, grzechocze talerzami i rusza się jak mucha w smole.

– A co mi mogą zrobić? Najwyżej odeślą mnie do domu i tyle. Ciebie czekałby dużo gorszy los. Nic się nie martw. – Poklepała Annę po dłoni i wzięła od niej buteleczkę. – Będzie dobrze.

Tego dnia wieczorem Anna wróciła do obozu wcześniej niż zwykle, bo w domu nie miała kogo obsługiwać.

Usiadła z Niną i Joanną, które zasypiały nad talerzami wodnistej zupy z kawałkiem marchewki w środku.

Anna wcześniej zjadła zupę Grety, więc teraz oddała im swoją porcję.

– Nie jesteś głodna? – spytała Joanna.

– Nie bardzo.

– Jesteś okropnie blada – zauważyła Nina, w jej oczach malowała się troska.

– Bo przez cały dzień miałam pełne ręce roboty. Muszę się tylko wyspać. – Anna spojrzała na swoje dłonie. Nie odważyła się podnieść ich do nosa, by sprawdzić, czy nadal zachowały zapach perfum Liesl Becher. Pociągnęła zadarty paznokieć i oderwała go tak, że pociekła krew; ból pomógł jej zająć myśli czym innym.

– Ty krwawisz! – Nina chciała ująć dłoń Anny, ta jednak cofnęła rękę na podolek; krew spływała na szorstką bawełnę.

Nie minęła minuta, a kobiety wygnano z sali jadalnej; wychodziły tak powoli, jakby miały nogi z ołowiu.

Po raz pierwszy od powrotu do obozu Anna cieszyła się, że dotarła do swojej pryczy. Potrzebowała chwili samotności, spokoju.

Położyła się, przykryła kocem i odwróciła twarzą do ściany, myśląc o odbiciu chłopca w lustrze, o jego wypranej z wszelkiego wyrazu twarzy. Zrobiło jej się niedobrze. Wiedziała, że mały powie o wszystkim matce, ona z kolei poskarży się mężowi, a wtedy... Wolała o tym nie myśleć.

Gdy tylko pozostałe kobiety uciszyły się i zasnęły, Nina przylgnęła całym ciałem do Anny.

– Co się dzieje? – spytała.

Anna nie odwróciła się, nie spojrzała na przyjaciółkę.

– Nic.

– Anno, powiedz mi, przecież widzę, że coś się stało. Proszę.

– Zrobiłam coś głupiego.

– Co? Co takiego zrobiłaś?

Anna odwróciła się twarzą do Niny.

– Popełniłam błąd. Nie wiem, jak do tego doszło, w jednej chwili czułam się całkiem dobrze, aż nagle coś we mnie wstąpiło, kazało mi robić różne rzeczy, a ja nie mogłam tego powstrzymać.

Anna opowiedziała Ninie o tym, jak przebrała się w sukienkę Liesl Becher, jak stłukła buteleczkę perfum oraz o chłopcu, który zobaczył ją w sypialni matki, ubraną w jej suknię.

– Może nikt w ciebie nie wstąpił i nie kazał ci robić tych rzeczy. Może to byłaś prawdziwa ty.

– Nie rozumiem, co masz na myśli – odparła Anna, pociągając nosem, bo po twarzy znowu płynęły jej łzy.

– Chodzi mi o to, że może to ty, ta osoba, która w tobie siedzi, to coś, co musimy ukrywać przed wszystkimi... Może to ona ujawniła się i przez chwilę byłaś sobą.

– Byłam zła. Nino, byłam taka wściekła, że bo ja wiem...? Czułam niesmak do samej siebie, ale to nie wszystko, tyle że nie potrafię znaleźć słów, żeby to wyrazić.

– I to właśnie jesteś cała ty, ta ukryta w środku.

– Nie. Nigdy się tak nie zachowywałam, nigdy. Zawsze byłam szczęśliwa i nigdy nie czułam nic podobnego.

– Ale twoje ukryte ja się zmieniło. Po tej historii już nigdy nie będziesz taka jak przedtem, stałaś się całkiem inna.

– Kochana Nino! – Anna miała ochotę się roześmiać. – Czasami mnie zdumiewasz. Może kiedy odzyskamy wolność, powinnaś studiować filozofię.

– A nie taniec? O nie, nic z tego!

– Mogłabyś zostać tańczącą filozofką!

Obie zachichotały i ktoś je uciszył. Przez chwilę leżały w milczeniu.

– Ciągle myślę o moim bracie Kubie – odezwała się ledwo dosłyszalnym szeptem Nina. – Wydaje mi się, że nie żyje, i nic na to nie mogę poradzić.

– Ciii! Nie, to nieprawda. Wiesz, że kilka miesięcy temu pracował i był bezpieczny.

– Stosy pogrzebowe znów zapłonęły. W sennych koszmarach widzę, jak pali się na jednym z nich.

– Sytuacja się zmieniła, Nino. Strażnicy są wyraźnie zdenerwowani, praca jest coraz cięższa, a dni coraz dłuższe. Przecież on nie ma jak przekazać ci wiadomości. To niemożliwe. Uwierz mi. Twój brat ma się dobrze, Nino. Musi tak być.

Nina odwróciła się do niej plecami, Anna zaś objęła ją i leżały dopasowane do siebie niczym dwa elementy układanki.

Po chwili ciszy Nina szepnęła:

– Opowiedz mi o Eliasie.

– Przecież wiesz o nim.

– Wiem. Ale jeśli mi opowiesz, może ci to pomoże, znowu poczujesz, że jest ci bliski, i w rezultacie łatwiej przetrwasz do końca.

– Nie ma o czym opowiadać, Nino.

– Nigdy nie mówisz o tym, jak to się stało. Zupełnie jak gdyby po prostu zniknął.

– Bo tak było.

– Ale jak do tego doszło?

– Dlaczego cię to interesuje? Po co ci to? – W głosie Anny zabrzmiała ostra nuta.

– Bo... bo tęsknię za Kubą. Sama nie wiem. Interesuje mnie to, bo jeśli on nie żyje, jeżeli już do mnie nie wróci, będę wiedziała, że dam radę się z tym uporać, skoro tobie się udało.

Anna od miesięcy starała się nie myśleć o bracie, a jednak stale miała wrażenie, jakby był gdzieś niedaleko, czekał na nią i błagał, żeby o nim myślała. Zamknęła oczy.

– Nie mogę, Nino. Nie potrafię o tym mówić.

Nina nie odpowiedziała. Anna odczekała, aż oddech przyjaciółki się wyrówna, i dopiero wtedy odważyła się wspominać brata.

Elias był zabawny. Bez przerwy żartował, we wszystkim starał się znaleźć element humorystyczny. Nawet kiedy przyszli po nich w środku nocy i kazali im spakować tylko po jednej torbie, wciąż próbował sprawić, by matka się uśmiechnęła, a Anna roześmiała.

– To jest jak przygoda – powiedział, kiedy szli na dworzec kolejowy w tłumie powłóczących nogami ludzi, niczym mrówki podążające bezmyślnie za swoim przywódcą. – Tylko pomyśl, Anno, będziemy mogli o tym opowiadać na stare lata, kiedy osiwiejmy. Opowiesz moim wnukom, jak robiłem śmieszne kroki, próbując wywołać uśmiech matki, a ja opowiem twoim wnukom, jaka byłaś dzielna.

Widząc, że matka idzie ze zwieszoną głową, jak gdyby nie była w stanie patrzeć przed siebie, tam, dokąd ich prowadzą, Anna wzięła ją za rękę.

– Pamiętasz ten dzień, kiedy puszczaaliśmy latawce na wzgórzu? – zapytał Elias, próbując skierować jej myśli na coś innego.

Pamiętała.

– To był ten czerwony latawiec, na którym narysowaliśmy twarz, ale wiatr go porwał, więc zbiegałem ze wzgórza co sił w nogach, żeby go złapać, aż w końcu się przewróciłem. Anno, pamiętasz, że upadłem i się turlałem, a ty popędziłaś za mną i kiedy do mnie dobiegłaś, leżałem jak długi i śmiałem się do rozpuku, więc ty też wybuchnęłaś śmiechem? Pamiętasz to, Anno?

Spojrzała wtedy na brata i uświadomiła sobie, jak bardzo się boi, zdała sobie sprawę, że przywołuje te wspomnienia nie ze względu na matkę czy na nią, tylko dla siebie.

– Pamiętam – odparła, zmuszając się do uśmiechu. – A pamiętasz, jak podarłeś sobie spodnie o gałąź drzewa i kiedy wracaliśmy do domu przez całe miasto, wszyscy się na ciebie gapili? Ale ty nic a nic się nie wstydziłeś, wszem wobec opowiadałeś, że to stary Müller wpadł w szal, próbował cię ugryźć i przy okazji podarł ci portki.

Elias błysnął zębami w uśmiechu.

– Nigdy mi tego nie wybaczył.

– Myślę, że teraz by ci darował – powiedziała.

Wkrótce dotarli na dworzec, ale nie wpuszczono ich na peron, tylko zagnano do czegoś w rodzaju zagrody otoczonej wysokim płotem zwieńczonym drutem kolczatym. Kiedy znaleźli się w środku, zamknięto bramę, a strażnicy zapalili papierosy i rozmawiali, jakby ich tam w ogóle nie było.

Anna, Elias i ich matka siedzieli w kurzu aż do wschodu słońca i tkwili tam nadal, kiedy zachodziło. Dzielili się z innymi jedzeniem i wodą, którą ktoś przytomnie wziął ze sobą, ale to się szybko skończyło i wciąż siedzieli w tej zagrodzie, nie rozumiejąc, co się dzieje.

Matka Anny była chora – jej serce, od lat nękane palpitacjami, pokonał stres; z pobladłą twarzą trzymała się za pierś, a jej wargi dziwnie posiniały.

Anna krzyknęła, jej własne serce omal nie wyskoczyło z piersi, a z oczu popłynęły łzy, gdy ujrzała, jak matka łapczywie chwyta powietrze. Poszukała

wzrokiem Eliasa – biegł już ku bramie, krzykiem wzywając pomocy; strażnicy obejrzeni się na niego, ryknęli śmiechem i znów się odwrócili.

Wrócił biegiem do Anny, spojrział na matkę i znowu popędził do bramy; tym razem szarpał ją gorączkowo, krzycząc.

– Potrzebujemy pomocy! – wołał. – Ona umiera!

W tłumie znalazł się jakiś lekarz. Przecisnął się do nich i spróbował tchnąć w nią życie, jednak Anna widziała, że jest za późno – matka miała szkliste oczy, a jej pierś znieruchomiała.

– Proszę! Proszę! – krzyczał Elias.

Anna spojrzała na brata i zobaczyła, że strażnicy w ostrzegawczym geście wycelowali w niego karabiny. Wstała, gotowa podbiec do niego, kazać mu zamilknąć, wyjaśnić, że jest już za późno, i w tym momencie rozległ się wystrzał.

Nie chciała pamiętać, co było dalej. Nie chciała pamiętać, jak jej brat upadł, runął na ziemię. Nie chciała pamiętać, jak biegła do niego, patrząc na jego twarz, wciąż wykrzywioną w udręce, pomijając małą dziurę od kuli w czole, tak równą i okrągłą, że nie mogła oderwać od niej oczu – myślała, że będzie poszarpana i większa.

Lekarz, który usiłował pomóc matce, złapał Annę za rękę, próbował ją odciągnąć, ale się opierała – uniosła głowę brata i z tyłu czaszki namacała ciepłą, wilgotną krwawą miazgę.

Cofnęła dłoń, patrząc na pokrywającą ją czerwień i na krew kapiącą na ziemię.

– Chodź, wstawaj, chodź ze mną. – Lekarz ujął ją pod pachy, postawił na ziemi i odciągnął, mimo że wierzgała nogami, krzyczała i płakała.

Otwarto bramę, ludzie się ruszyli. Wsiadali do wagonów towarowych.

– Czas się zbierać – powiedział lekarz.

Anna nie wiedziała, jak udało mu się wsadzić ją do pociągu, w jaki sposób pomógł jej stanąć i iść. Wiedziała tylko, że pociąg ruszył, turkocząc, zabierał ją z dala od domu, od rodziny, więc oparła głowę na ramieniu lekarza, patrząc na krew brata na swoich dłoniach.

Nagle poczuła na głowie rękę Niny, która głaskała ją, pocieszała.

– Płaczesz – szepnęła przyjaciółka.

Anna odwróciła się do niej.

– Przypomniałam sobie... przypomniałam sobie wszystko.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

FRIEDRICH

Friedrich stał w sypialni matki, patrząc na swoje odbicie w lustrze. Próbował zobaczyć, co tak zasmuciło Annę, ale widział tylko tyczkowatą postać w brązowych spodniach i zielonym swetrze.

Spodobała mu się w sukience matki – idealnie pasującej kolorem do jej czepka – i już miał się do niej odezwać, powiedzieć, że jest piękna, ale właśnie wtedy się zezłościła i rozplakała, więc nie wiedział, co mówić.

– Co ty tu robisz? – W progu stanęła jego matka, zaczerwieniona, obładowana zakupami.

– Coś mi wpadło do oka – odparł. – Chciałem zobaczyć, co to jest.

Pokręciła tylko głową, weszła do sypialni i usiadła na brzegu łóżka.

– Chodź, zobacz, co kupiłam – powiedziała.

Matka była szczęśliwa, jej oczy błyszczały. Wyciągała z toreb kolejne sukienki i mu pokazywała. Friedrich o każdej z nich starał się powiedzieć coś miłego, a matka wszystkie jego uwagi kwitowała uśmiechem.

– Dobry z ciebie chłopiec – oświadczyła, wstała i pocałowała go w czubek głowy.

Zastanawiał się, czy powiedzieć jej o Annie, czy matka ucieszy się, że jest dobrym chłopcem, bo donosi, co działo się w domu pod jej nieobecność.

– Matko, ja... – zagał, ale przerwała mu od razu:

– Idź już. – Spojrzała na niego. – Jestem zmęczona. Wiesz, jak łatwo się męczę, a twoja obecność nie pomaga. – W jej głosie znowu pojawiła się surowa nuta, a świadcząca o gniewie zmarszczka między brwiami wróciła na miejsce.

Powlókł się na parter, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć. Może – jeżeli będzie cicho i nie za głośno nastawi dźwięk – uda mu się posłuchać radia albo gramofonu.

Szybkim krokiem wszedł do salonu, a tam i tym razem siedział Schmidt.

– To znowu ty. – Grubas odwrócił się do niego. – Wiesz, że nie wolno ci tu wchodzić.

– Tak. – Friedrich stał wyprostowany, zaciskając zwieszane po bokach ręce w pięści, jak gdyby z powrotem był w szkole i miał przed sobą zabijakę z internatu, który naigrawał się z jego wzrostu, włosów i dziecięcych zabawek.

Schmidt uśmiechnął się do niego, więc chłopiec nie był pewny, jak ma się zachować.

– Podejź tu – polecił grubas jedwabistym głosem.

Friedrich nie ruszył się z miejsca.

– Chodź tu, powiedziałem! – powtórzył ostro Schmidt.

Chłopiec ruszył ku niemu powoli, czując, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Stał przed grubasem, który siedział na brzegu sofy.

Nagle Schmidt złapał go za ramiona i syknął:

– Kiedy twojego ojca tu nie ma, to ja jestem panem tego domu, rozumiemy się?!

Miał zmrużone oczy i zmieniony głos, gardłowy i srogi. Friedrichowi zbierało się na płacz.

Nagle Schmidt parsknął śmiechem i rozparł się na poduchach sofy.

– Biegaj do swoich zabawek, mały. I rób, co ci każę, słyszałeś?

Friedrich nie odpowiedział. Nie oglądając się za siebie, popędził na górę do swojego pokoju, gdzie zatrzasnął i zaryglował drzwi.

Leżał na łóżku, dopóki jego oddech się nie uspokoił, a łzy nie przestały płynąć. Rękawem swetra otarł nos. Chętnie poskarżyłby się matce na to, co powiedział Schmidt, ale albo by mu nie uwierzyła, albo stwierdziła, że sam jest sobie winny.

Początkowo sądził, że ze względu na ojca Schmidt będzie dla niego miły, teraz jednak uświadomił sobie, że jego obecność w domu przeszkadza im wszystkim, nawet Schmidtowi, że nikt go tu nie chce i że wszyscy z przyjemnością okazują mu to przy każdej okazji.

Patrzył na popękany sufit. Nagle usłyszał, jak na dole matka woła Gretę – powiedziała, że jest głodna i że chce się napić whisky. Miała męczący dzień, więc zje w salonie; Schmidt także był głodny.

Friedrich zastanawiał się, jak można się zmęczyć na zakupach. Kiedy zabierali go do księgarni albo sklepu z zabawkami, rozpierały go emocje, a po powrocie do domu nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł się pobawić albo poczytać. I wcale nie był zmęczony.

Na dole rozległ się przenikliwy dzwonek telefonu i szybki tupot stóp matki, kiedy biegła odebrać; w jej głos wkradła się dźwięczna nuta, gdy uświadomiła sobie, że to ojciec dzwoni na dobranoc z Monachium.

Telefon. A więc jednak Isaac go naprawił. Friedrich poczuł, że skręca go ze wstydu na myśl o tym, jak paskudnie odezwał się do starszego człowieka. Widział, jak po jego słowach oczy Isaaca posmutniały; takie samo rozczarowanie ujrzał wtedy, gdy ktoś go podpuścił, żeby na ulicy kopnął psa – tamto spojrzenie przeszło go na wylot i napełniło wstydem.

W przeszłości, jeśli pokłócił się z Ottonem, zawsze dawał mu prezent, żeby załagodzić sytuację. Tak samo mógł postąpić z Isaakiem. Mógł mu coś dać, ale co?

Usiadł na brzegu łóżka i rozejrzał się po swoim pokoju. Nie było tu nic, co mogłoby się spodobać Isaacowi – podręczniki, pocztówki, kilka zabawek. Wyjrzał przez okno i zobaczył, że znowu pada, wielkie płatki śniegu zapowiadały zmianę krajobrazu w ciągu nocy, pobielenie szarżyny.

I nagle go oświeciło. Wiedział już, co Isaac mógłby chcieć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ISAAC

Elijah był chory. Przez całą noc rzucał się na pryczy, trawiony gorączką, od której był rozpalony, a za chwilę dygotał z zimna. Isaac nie spał. Obserwując Elijaha, czuł się bezsilny – nie mógł mu nawet podać wody ani położyć zimnego okładu na czoło.

– Do rana umrze – mruknął Jan z dolnej pryczy. – To znaczy, jeśli będzie miał szczęście.

– Może trzeba by kogoś zawiadomić? – szepnął Isaac. – Może powinien trafić do lazaretu?

Z dołu usłyszał westchnienie i odgłosy wstawania z pryczy. Nagle ujrzał przed sobą twarz Jana.

– To twój przyjaciel, prawda?

– Tak.

– Jeśli chcesz mu pomóc, o nic nie proś. Lazaret zabije go szybciej niż spędzenie nocy tutaj.

– Czyli nic nie możemy dla niego zrobić?

– Ty mnie wpędzisz do grobu, Isaacu. Ani chybi – powiedział Jan, odwrócił się od niego i cicho przeszedł między śpiącymi mężczyznami na tył baraku. Wrócił po kilku minutach, przyłożył coś do czoła Elijaha, a ten od razu się uciszył.

– Co zrobiłeś? – Isaac chciał wstać z pryczy.

– Ciii, siedź tam. – Jan odwrócił się, spiorunował go wzrokiem i znowu zajął się Elijahem.

– Co robisz?

– Z tyłu baraku mam tajemnicę, schowek pod obluzowaną deską. Zbieram tam czysty śnieg, w kubkach, żebyśmy mieli trochę dodatkowej wody. Zrobiłem mu tylko okład z tej wody na czoło, to zmniejszy gorączkę.

Wkrótce Jan położył się na swojej pryczy, a Isaac przewrócił się na bok.

– Dziękuję – powiedział.

– Zobaczymy, czy to pomoże. Dałem mu też lekarstwo.

– Lekarstwo?

– Mój ojciec był aptekarzem. Znam się na roślinach, wiem, jakie mają właściwości lecznicze. Będąc w pracy, codziennie zbieram trochę kwiatów, chwastów, cokolwiek, z czego mogę zrobić maść albo środek przeciwbólowy. To, co mu dałem, zbije gorączkę, chyba że jest już za późno. Rano się przekonamy, w jakim jest stanie.

Rano Elijah wciąż był blady, ale oddychał spokojniej. Isaac przyłożył dłoń do jego czoła – chłód skóry najlepiej świadczył o tym, że lekarstwo Jana poskutkowało.

– To działa! – Odwrócił się i uśmiechnął do Jana, który wiązał buty.

Jan wstał, pochylił się nad śpiącym Elijahem, podniósł mu powieki, a potem przyłożył dwa palce z boku szyi, sprawdzając puls.

– Wcale mnie to nie dziwi. Jakbyś nie wiedział, jestem dobry w tym, co robię.

– Też byłeś aptekarzem jak twój ojciec?

Jan pokręcił głową.

– Studiowałem medycynę, miałem być lekarzem. Ale potem wszystko się zmieniło.

Isaac pomyślał o Janie i mężczyźnie o zapadniętej twarzy – o tym, jak obaj go ocenili, że jest jak kapo Adam, jak go zdenerwowali, wręcz wystraszyli, a mimo to teraz Jan troszczył się o Elijah'a jak o noworodka, głaskał jego włosy, wciąż jeszcze mokre od potu, i maczał palec w wodzie, by zwilżyć mu spierzchnięte wargi.

– Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz – odezwał się Isaac.

Jan spojrzał na niego, z namysłem marszcząc czoło, gdy zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Oni tylko każą mi naprawiać różne rzeczy – ciągnął Isaac. – Głównie zegarki. – Rozłożył ręce, otwartymi dłońmi do góry, jakby wznosił modlitwę albo składał obietnicę Bogu.

Zmarszczka na czole Jana się pogłębiła, po czym znikła, gdy wreszcie się odprężył.

– Wierzę ci, Isaacu, naprawdę. Inni są podejrzliwi i nic w tym dziwnego. Ale ja ci wierzę.

– Czy to już rano? – wychrypiał nagle Elijah. Spojrzał na Isaaca i zdobył się na blady uśmiech.

– Jak najbardziej. – Isaac zrewanżował się uśmiechem.

– Przez dzień czy dwa będziesz osłabiony. Pracujemy w jednej ekipie, przy budowie drogi. Dzisiaj będę ci pomagał. – Jan poklepał Elijah'a po ręce. – Wyjdiesz z tego.

– Dziękuję, Janie – powiedział Isaac.

– Tutaj musimy się troszczyć o siebie nawzajem – odparł Jan.

– To prawda – przytaknął Isaac.

Cofnął się, żeby Jan mógł się zająć Elijahem. Na myśl o tym, co inni o nim mówią, żołądek podszedł mu do gardła. Nagle odniósł wrażenie, jak gdyby wszyscy w baraku patrzyli na niego, obserwowali każdy jego ruch i zastanawiali się, kim jest naprawdę.

Po południu trafiła im się gratka – wyszło słońce, rozjaśniając lodowate powietrze; nawet śnieg poddał się jego ciepłu, topniejące płatki migotały w blasku.

– Nadchodzi wiosna – orzekł Levi, przestawiając rzeczy w komórce w poszukiwaniu sekatora.

Isaac cieszył się z jego towarzystwa. Levi dopiero trzeci raz został sprowadzony do domu, najwyraźniej robiono to tylko wtedy, gdy komuś z Becherów nie spodobało się coś w ogrodzie. Isaac lubił go słuchać – zawsze opowiadał o zauważonym ptaku albo o pąku kwiatu usiłującym przebić się przez ziemię. Wtedy Isaac czuł się niemal normalnie – jakby znów był w swoim warsztacie i przyjaciel wpadł na krótkie pogaduszki.

Patrzył, jak Levi szpera koło kanistra stojącego na obluzowanej desce, nad ukrytym pod nią zawiniątkiem. Czy to Levi? – zastanawiał się Isaac, myśląc o napisanych w rogu inicjałach J.A.L.

– A wiesz, ja uwielbiam wiosnę, wydaje się, że wszystko jest całkiem nowe – powiedział Levi.

– Nadal jesteśmy w środku zimy – odparł Isaac.

– Jutro będzie już luty. Miły krótki miesiąc, a potem wkrótce nastanie wiosna.

– Luty?

– Straciłeś rachubę czasu, co? Tutaj to normalne. Pewnie jesteś tu od tygodnia albo i dłużej.

Isaac spojrzał na stojącą przed nim maszynę do pisania, którą miał naprawić, i trzy inne na podłodze u swoich stóp. Najpierw lokomotywa, potem zegar szafkowy, woreczek zegarków należących do innych ludzi, wreszcie telefon. „Od tygodnia albo i dłużej”.

– Mam wrażenie, że dłużej, a zarazem czuję się, jakbym tu był zaledwie jeden dzień. – Pokręcił głową.

– Jak mówiłem, straciłeś rachubę czasu. To normalne. O, jest! – Levi uniósł sekator i wstał. – Jak myślisz, co by zrobili, gdybym uciekł z sekatorem w rękę, gotów do ataku?

– Zastrzeliliby cię – odparł Isaac ze smutkiem.

– Naprawdę? A ja przypuszczam, że miałbym spore szanse. Myślałem o tym, znaczy się o ucieczce. Zwłaszcza stąd. Mogłoby się udać, oni zapominają

o naszej obecności.

– Pomijając wartowników przy bramie i kolejnych strażników dalej na drodze, jesteś tak zmęczony i słaby, że nie uszedłbyś daleko.

Levi uśmiechnął się szeroko.

– Masz rację. Wymyślę coś innego. Szkoda, że nie zostajemy tu na noc. Wtedy moglibyśmy spróbować stąd zwać!

– Mówisz jak dziecko. Jakby to była jakaś przygoda – zganił go Isaac, choć uśmiech cisnął mu się na usta.

– Mówię jak człowiek, który stara się przeżyć. A ty mówisz jak ktoś, kto już złożył broń.

– Jakoś żyję – odparł Isaac.

Spojrzał na swoje dłonie, wysuszone i spierzchnięte; pod bladą skórą pulsowała pajęczyna niebieskich żył.

– Przynajmniej mamy pracę... dobrą pracę. Wiesz, że kiedy mnie tu wzywają, jestem szczęśliwy. Bo inaczej przez cały dzień nic nie robię. – Levi zabrał się do ostrzenia tępych ostrzy sekatora.

– Nic? – zdziwił się Isaac, obserwując go. – Co dzień patrzę, jak inni wychodzą do pracy. – Pomyślał o biednym Elijahu zmuszonym budować obok obozu nową drogę prowadzącą przez kępę drzew donikąd.

– Nic. Na początku była praca... i to ile! Harowaliśmy w dzień i noc. Ale słyszałeś, co się dzieje? Nadchodzą Amerykanie i strażnicy o tym wiedzą. Teraz gonią więc do pracy tylko najbardziej chorych, żeby padli trupem, wykonując jakieś bezsensowne zadania. Jak mówiłem, cieszę się, że mam tę pracę.

Isaacowi przed oczami stanęła twarz Elijaha – jego przyjaciel zaharuje się na śmierć.

– Dobrze się czujesz? – Levi przyglądał mu się, marszcząc brwi, tak jak to robił, kiedy mówił serio.

Isaac skinął głową.

– W porządku. No nic, mam gałęzie do przycięcia. – Levi tradycyjnie dotknął czapki, jakby uchylał kapelusza. – A tobie życzę miłego dnia, Isaacu. Aha, uśmiechaj się i myśl tylko o dobrych rzeczach.

Zostawił Isaca samego, jedynym świadectwem jego obecności była już tylko cicha melodia, którą gwizdał, pracując w ogrodzie. Isaac obracał w palcach narzędzie i idąc za radą Leviego, wyobrażał sobie przybycie Amerykanów, którzy odstawią go do domu, gdzie siedząc w fotelu przy kominku, zapadnie w spokojny, pozbawiony koszmarów sen.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? – doleciał sprzed komórki głos Bechera. Isaac wstał szybko i otworzył drzwi. Becher uśmiechnął się i ruchem ręki przywołał go do siebie. – Chodź, przez chwilę naciesz się słońcem.

Isaac spełnił polecenie i stanął obok Bechera, który obserwował Annę wieszającą na sznurze pranie. Zwrócił uwagę, że nie miała już na sobie pasiaka, tylko prostą brązową sukienkę; zachowała jednak chabrowy czepek.

– Piękny dzień, prawda? – zagadnął Niemiec, nie odrywając oczu od Anny.

– To prawda.

– Jaka szkoda – ciągnął Becher, odwracając się do Isaaca – że Bóg obdarza pewne kobiety cechami, które bardziej pasowałyby innym. Weź taką Annę, ma piękną twarz i ciało smukłe, a zarazem kobiece. Tyle że ona tkwi tutaj, a tymczasem po całym mieście łożą grube, brzydkie Niemki obwieszane klejnotami. Dla dobra Rzeszy to one powinny być tak urodziwe.

Isaac nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Zaciśnął pięści tak mocno, że wbił paznokcie w skórę dłoni; ból sprawił, że jego mózg nie pojął tego, co Becher naprawdę chciał powiedzieć.

– No nic, mam dla ciebie kolejny woreczek. To parę zegarków, bardzo wyjątkowych zegarków kieszonkowych, które dostałem podczas jednej z moich podróży do Monachium. Chcę je podarować kilku towarzyszom, ale najpierw trzeba usunąć grawerunki, wypolerować je i zrobić przegląd.

Podał Isaacowi woreczek; znajdujące się w nim zegarki były wyraźnie cięższe niż poprzednie.

– Czas na mnie – oświadczył Becher, znowu obserwując Annę, która przypinała żabkami ostatnie prześcieradło. – Kazałem służącej, żeby codziennie przynosiła ci kawę i jedzenie, nie mogę dopuścić, żebyś marniał w oczach, prawda? – Roześmiał się.

Isaac przyjął to z wymuszonym uśmiechem; zorientował się, że Becher nie ma pojęcia, że Greta i tak już go dokarmia. Może uda mu się coś schować i zabrać do obozu dla Elijaha?

– Czyń swoje cuda – rzucił Becher i w ślad za Anną ruszył do domu.

Isaac odprowadził go wzrokiem. Przed drzwiami kuchennymi Becher dotknął ramienia Anny, a kiedy się odwróciła, coś do niej powiedział. Uśmiechnęła się, ale po mowie jej ciała Isaac poznał, że jest przerażona.

Becher wybuchnął śmiechem i przecisnął się obok Anny tak, że otarł się ramieniem o jej piersi. Gdy zniknął, spojrzęła na swój biust, wygładziła brązową sukienkę i w ślad za nim weszła do domu.

Isaac odwrócił się i wysypał na stół zawartość woreczka – złote i srebrne zegarki kieszonkowe i grube męskie zegarki naręczne, a wszystkie najwyższej jakości. Niektóre miały grawerunki z wiadomościami od mężów do żon, od dzieci do ojców, a także życzenia urodzinowe i inne wyrazy miłości.

Wyobraził sobie, jak Becher siedzi w towarzystwie kolegów w zadymionym barze w Monachium i jak powadzą handel wymienny swoimi skarbami,

jednocześnie pijąc i rozmawiając – o kobietach, swoim dostatnim życiu i nowym świecie, który budują dla własnych dzieci.

– Co ci dał ojciec?

Isaac podniósł głowę i w drzwiach komórki zobaczył chłopca, który coś trzymał.

– Zegarki. Jeszcze więcej zegarków. – Odwrócił się od Friedricha, od złościwości, którą chłopiec znów mógł mu zadać bólem swoim językiem.

– Przyniosłem ci coś. – Friedrich podszedł i wręczył mu to, co miał w rękach.

Isaac usiadł i obejrzał prezent – parę czarnych wełnianych rękawiczek z uciętymi końcówkami palców.

– Mam krótsze palce niż ty, więc pomyślałem, że jeśli utnę końce, to będą pasowały na ciebie i będziesz mógł w nich naprawiać te rzeczy.

– Dziękuję. – Isaac odwrócił rękawiczki na drugą stronę, a potem oddał je chłopcu. – Niestety nie mogę ich przyjąć.

– Proszę. To ode mnie, jako przeprosiny za to, co wtedy powiedziałem. Chciałem ci dać je wcześniej, ale matka była w domu, ojciec też. Teraz wyjechali, on ją zabiera do opery, więc wróci późno.

– Nie ma sensu, żebym je przyjął, bo jeśli je u mnie zobaczą, i tak mi je odbiorą.

Friedrich usiadł na odwróconym do góry dnem wiadrze.

– To ukryj je tutaj i wkładaj tylko do pracy. Ogrzeją cię. A gdyby ktoś je znalazł, powiem, że zostawiłem je tu podczas zabawy i o nich zapomniałem.

Isaac uśmiechnął się do chłopca i włożył rękawiczki.

– Jesteś cudotwórcą? – spytał chłopiec; siedział z łokciami na kolanach, podpierając brodę dłońmi.

– Słucham?

– Słyszałem, jak ojciec mówił, żebyś czynił cuda. To jak? Jesteś cudotwórcą?

– Nie, nie znam się na cudach.

– Szkoda. Gdybym ja był magikiem, postarałbym się stąd zniknąć.

– I dokąd byś poszedł?

– Pojechałbym się zobaczyć z moim przyjacielem Ottonem. Jego ojciec pozwala mu budować domki na drzewach. A mój nie.

– To wygląda na niezły pomysł. – Isaac podniósł zegarek naręczny z rozbitym szkiełkiem; małe cyferblat też był podrapany i naznaczony bliznami. Wątpił, żeby ten udało mu się naprawić.

– A ty dokąd byś poszedł? – Chłopiec wstał, spojrzął na zegarki, wyciągnął rękę i przesunął palcami po ptakach, statkach i kwiatach wyrytych na ich kopertach.

– Co masz na myśli?

– Gdybyś był magikiem, dokąd chciałbyś się przenieść? Zostałbyś w miasteczku z innymi czy wyjechał?

– Wróciłbym do domu.

– To znaczy gdzie?

Isaac oparł się na krześle i przez chwilę przyglądał się chłopcu. Czy naprawdę mógł z nim rozmawiać, zdradzać mu cokolwiek o sobie?

Zanim zdążył odpowiedzieć, rozległo się wołanie Grety, która wzywała chłopca na obiad.

Friedrich spojrział w kierunku, skąd dobiegał głos, a potem na Isaaca. Z uśmiechem rzucił: „Na razie!” i wybiegł z komórki; poły marynarki trzepotały za nim, jak gdyby miał wzbić się w powietrze i polecieć do Ottona.

Po raz trzeci tego dnia Isaac stwierdził, że się uśmiecha.

Po południu Anna przyszła do komórki i stanęła przed nim z kubkiem kawy w ręce; w drugiej trzymała talerz z chlebem i serem.

– Kazano mi codziennie coś ci przynosić. Herr Becher chce być pewny, że nie głodujesz – powiedziała.

Isaac zrobił trochę miejsca na niewielkim blacie, a Anna postawiła kubek i talerz.

– Masz nową sukienkę – zauważył.

– To pomysł Grety, żebym lepiej wtopiła się w tło.

– A musisz się dopasowywać?

– Frau Becher nie lubi, jak się kręcę po domu. Może dzięki temu nie będzie mnie zauważała.

Isaac pokiwał głową, myśląc o tym, jak inaczej postrzega ją Becher.

– Po południu znów przyniosę kawę. – Anna odwróciła się do drzwi, ale nagle wyciągnęła rękę i dotknęła połamanego zegarka na stole. Podniosła go i położyła na swoim chudym nadgarstku.

– Nigdy nie miałam zegarka – powiedziała. – Ten... ten jest bardzo podobny do zegarka ojca.

Isaac nachylił się i pomógł jej z zapięciem. Bransoletka była o wiele za duża, więc zegarek zsunął się jej do łokcia.

Anna roześmiała się.

– Wyglądam jak dziecko bawiące się rzeczami dorosłych.

– Wątpię, żeby udało się go naprawić. – Isaac obserwował ją bacznie.

– Nie da się? A do kogo należy?

Wzruszył ramionami.

– Nieważne. – Zdjęła zegarek i położyła go na blacie. – Ty chociaż masz taką pracę, która pozwala ci nie myśleć.

– A ty nie? – Trzymał zegarek, który zdjęła. Zauważył, że większe ogniwa bransoletki są przedzielone mniejszymi.

– Sprzątanie i gotowanie nie zajmuje umysłu. Przeciwnie, jest gorzej, myśli błądzą swobodnie, wyobraźnia działa, próbuje się coś zrozumieć. Kiedy byłam młodsza, prowadziłam dziennik i jeśli nie mogłam spać, zapisywałam, czego się boję, a wtedy po przebudzeniu rano było tak, jakby to coś rozpląwało się w mroku nocy.

Uśmiechnęła się blado do Isaaca.

– To głupie, wiem. Ale teraz chciałabym móc pisać taki dziennik.

Wzruszyła ramionami i zostawiła Isaaca, by spokojnie mógł zjeść. Jej oczy, tak podobne do oczu Hannah, wzbudzały w nim instynkt opiekuńczy, miał ochotę otulić ją kocem i kazać wymienić wszystkie rzeczy, których się boi, on zaś by sprawił, że rozpląnęłyby się w mroku nocy.

Nie tknął kawy i jedzenia – myślał o tajemniczym zwiłku papierów pod deską podłogową i zastanawiał się, czy nie ma tam choć jednej czystej kartki; dałby ją Annie, by znowu mogła pisać.

Macał rękami brudną podłogę, aż znalazł obluzowaną deskę i wyjął zawiniątko. Nie zamierzał niczego czytać, chciał tylko znaleźć prezent dla Anny. Jednak pierwsza strona przykuła jego uwagę, zdania wręcz krzyczały, żeby je przeczytać.

„Dzisiaj przypomniałem sobie, jak ojciec zabrał mnie na ryby. Dzień był podobny, na gałęziach pojawiły się rozkwitające pąki, nareszcie zakrywając ich nagość najbardziej delikatnym i kolorowym odzieniem”.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

J.A.L.

Maj 1944

Dzisiaj przypomniałem sobie, jak ojciec zabrał mnie na ryby. Dzień był podobny, na gałęziach pojawiły się rozkwitające pąki, nareszcie zakrywając ich nagość najbardziej delikatnym i kolorowym odzieniem. Gdzie tylko spojrzeć, rodziło się nowe życie – jagniątka i cielęta ssaly swoje matki i brykały z małymi przyjaciółmi po polach pokrytych grubym dywanem zieleni.

O dzisiejszej zmianie, tym nadejściu nadziei, najpierw zawiadomiły mnie ptaki. Gniazdo w drzewie za mną w końcu ożyło, piski oraz skrzeczenie głodnych dziobków sprawiały, że matka kosów miała co robić przez cały dzień. Miło znów słyszeć śpiewające ptaki. W obozie są tylko wrony, krzyczące tak, jakby też zdawały sobie sprawę z tego, co dzieje się na ziemi pod nimi.

Dziś jednak jest dzień wspomnienia. Ojciec po raz pierwszy wziął mnie na ryby. Miałem pięć lub sześć lat, a jednak idąc z wędką na ramieniu, czułem się jak dorosły; zbyt duża czapka nieustannie zsuwała mi się z głowy. Szedłem z ojcem, robiąc trzy, cztery kroczyki na jego jeden wielki krok. Kiedy przemierzaliśmy miasto, ludzie machali do niego rękami, pozdrawiali go, co napawało mnie dumą, że idę razem z nim.

Ojciec rzadko łowił ryby. Nie lubił spędzać czasu na dworze, wołał w zaciszu czterech ścian czytać książki, przygotowywać nowy wykład dla studentów albo zbierać wszystkie dzieci wokół siebie i opowiadać im historie zaczerpnięte z własnych badań, a czasami z głowy.

Nie pamiętam, dlaczego akurat tego dnia wziął mnie na ryby, poza tym, że kiedy się obudziłem, siedział przy stole w jadalni, gdzie czekała już oparta o ścianę mała wędka, kupiona specjalnie dla mnie.

Jestem pewny, że musieliśmy o czymś rozmawiać, idąc ruchliwymi ulicami miasta, obok targu kwiatowego, który ubarwiał szarość okolicznych gotyckich budynków odcieniami czerwieni, żółci i fioletu. Siedzący na trawie przed uniwersytetem studenci czytali, wygrzewali się w wiosennym słońcu i pozdrawiali mojego ojca machaniem rąk. Wkrótce dotarliśmy nad rzekę

ujarzmioną przez miejskie mosty i bruki i szliśmy wzdłuż niej, aż znaleźliśmy się na przedmieściach, gdzie było mniej budynków, a ruch pieszych zamarł.

Za odcinkiem rzeki, który ojciec uznał za idealny cel naszej wyprawy, wznosiła się cętkowana zielono kopuła katedry; ojciec wytłumaczył mi, że usłyszymy dzwony wybijające godziny, a nieczęsto mamy okazję słuchać tego pięknego, czystego dźwięku.

„Co to jest katedra?” – spytałem, siadając na brzegu i uważając, by trzymać stopy z dala od gęstego mułu nad wodą; w głowie miałem wizję utknięcia w nim na zawsze.

„To miejsce, gdzie ludzie się modlą i rozmawiają z Bogiem” – wyjaśnił ojciec. Usiadł nieco za mną, na przyniesionym z domu kocu, i wyjął z torby rzeczy spakowane na piknik oraz słoik robaków, w które miałem wbijać haczyk mojej wędki.

„Tak jak synagoga?” – upewniłem się.

„Dokładnie tak samo”.

„To dlaczego nie nazywamy synagogi katedrą?” – Wziąłem od ojca wijącego się robaka i nadziałem go na haczyk, tak jak robili to moi koledzy.

„Bardzo dobrze. – Ojciec z uznaniem pokiwał głową, patrząc na moje dzieło. – Nie nazywamy jej katedrą, bo jesteśmy żydami, a ci, którzy chodzą do katedry, żydami nie są”.

„Ale mówiłeś, że rozmawiają z Bogiem?”. – Miałem mętlik w głowie, ale i tak próbowałem zarzucić wędkę.

Ojciec wstał, wziął ode mnie wędkę, zamachnął się i haczyk z miłym pluśnięciem wpadł w głębinę. Następnie usiedliśmy i czekaliśmy. Ja ścisnąłem wędkę, a ojciec nalał dwa kubki świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy. Potem zapalił fajkę.

„Wiele osób ci powie, że jestem w błędzie, ale mogę ci przekazać tylko to, w co wierzę. A wierzę, że oni również rozmawiają z naszym Bogiem, że my, żydzi, i oni, chrześcijanie, wcale się tak bardzo nie różnimy”.

„Wobec tego nie ma znaczenia, gdzie rozmawiamy z Bogiem?”. – Przełożyłem wędkę do lewej ręki i wypłem trochę soku.

„Najmniejszego. Ba, jeśli masz ochotę, możesz z Nim rozmawiać choćby tutaj!”.

„Tutaj?”. – Spojrzałem na drugą stronę rzeki i pobliskie zabudowania miasta.

„Tutaj. On jest wszędzie, więc jeśli zechcesz z Nim porozmawiać, po prostu mów, On cię usłyszy. To On wszystko stworzył. Rozejrzyj się, widzisz to nowe życie pojawiające się na wiosnę? W tym najlepiej widać pracę Boga”.

Kiwnąłem głową. Spodobała mi się idea, że gdziekolwiek jestem, mogę sobie uciąć szybką pogawędkę z Bogiem, i przysiągłem sobie, że będę tak robił.

Być może przypomniało mi się to akurat dzisiaj nie z powodu wiosny ani nawet tych piskłat, tylko po to, żebym pamiętał, że nadal mogę rozmawiać z Bogiem i że on wciąż jest tutaj, choć nic na to nie wskazuje.

Trudno uwierzyć w obecność Boga, kiedy wszędzie wokół siebie widzę przyjaciół, swoich towarzyszy z obozu, którzy umierają z głodu albo wskutek chorób trawiących ich ciała; którzy są rozstrzeliwani albo bici, a potem znikają.

Kos wrócił do gniazda i piskłeta cichutko popiskiwały z zadowolenia, że zostaną nakarmione. Być może jeżeli zamknę oczy, będę nasłuchiwał ptaków i udawał, że znowu jestem nad brzegiem rzeki z ojcem, to przypomnę sobie, jak się rozmawia z Bogiem, przypomnę sobie, jak należy się modlić, a także jak nie tracić nadziei.

Paczka, która dziś dotarła, wywołała w domu niemałe poruszenie. Jej Wysokość Liesl Becher obudziła się przed świtem, kiedy pracowałem w ogrodzie – zgarniałem grabiami na kupę resztki zwiędłych liści, by zrobić ognisko.

Zaskoczyła mnie. Dotychczas nie widziałem, by wstawiała tak wcześnie, ale jej twarz co chwila pojawiała się w kolejnych oknach, kiedy wyglądała na podjazd. Wiedziałem, że chodzi o coś ważnego, bo kazała mi przerwać sprzątanie podjazdu i wrócić do komórki, żeby przypadkiem nikt mnie nie zauważył – nie znosiła myśli, że ktoś z gości mógłby na jej terenie zobaczyć więźnia. A ja się cieszę, kiedy chowają mnie w tej wilgotnej komórce – mogę sobie wtedy posiedzieć, popisać, przeciągnąć się.

Przez cały czas nasłuchuję, pilnując, czy ktoś nie nadchodzi, bym mógł udawać, że pracuję. Wokół mnie walają się stare donice i kilka opakowań nasion, więc gdyby ktoś zajrzał, pomyślałby, że coś sadzę, ale wątpię, żeby komuś chciało się mnie sprawdzać.

Słyszac chrzęst opon na podjeździe, przykucnąłem, by wyjrzeć przez okno. Zobaczyłem jednak tylko bok furgonetki, a potem dwóch mężczyzn idących do drzwi kuchennych. Żaden z nich nic nie niósł, po chwili jednak wrócili do furgonetki i wzięli z niej pakunek, który ostrożnie wspólnymi siłami zataszczyli do domu.

Z domu dobiegły mnie krzyki Liesl – zezłościła się, że weszli od kuchni – a potem zapanował spokój, więc uświadomiłem sobie, że w domu na pewno jest Herr Becher, bo tylko on jeden potrafi ją uciszyć.

Z całego serca pragnąłem się dowiedzieć, co jest w tej paczce. Tutaj co dzień mamy jakieś dostawy – zamówionych przez nią strojów, jedzenia, nawet mebli. Zupełnie jakby nie potrafili przeżyć jednego dnia bez nowego nabytku. Teraz jednak było inaczej – z powodu tej dostawy obudziła się przed świtem, a zatem pewnie chodziło o coś ważnego.

Musiałem się zdrzemnąć na jakąś godzinę, nie więcej, i właśnie ta paczka mnie obudziła.

Z początku nie pojmowałem, co to za dźwięki – odgłosy skrobania, potem śpiew kobiety, głośny, później cichnący i wreszcie cisza. Zrozumiałem wtedy, że odebrali gramofon. Wkrótce – jakżeby inaczej? – zabrzmiał Beethoven, jego utwory ryczały w całym domu i niosły się ku mnie w ogrodzie. Potem nastąpiła zmiana muzyki na lżejszą. Wyobrażałem sobie, jak Herr Becher kłóci się z żoną o wybór płyty, ich gusta tak bardzo się różnią. Nic w tym dziwnego, oni różnią się pod każdym względem. Herr Becher we wszystkim, co robi, jest sztywny, jakby kij połknął – i kiedy wydaje rozkazy, i kiedy się rusza. Wydaje się miły, ale to się potrafi zmienić w mgnieniu oka. Przypomina mi starego kocura, którego moja babka trzymała, żeby łapał myszy. Dawał się głaskać, można było posłuchać, jak mruczy, aż tu znienacka gryzł i drapał, po czym odchodził jakby nigdy nic, zostawiając za sobą przelaną krew. Dokładnie taki jest Herr Becher – nie można mu ufać, jego uśmiech i pochwały, którymi z rzadka nagradza mnie za pracę w ogrodzie, są fałszywe. Nie można dać się na nie nabrać.

Liesl łatwiej przejrzeć. Ma co najmniej czterdzieści lat, ale nadal zachowuje się jak rozpaskudzony bachor. Całymi dniami nie robi nic poza tym, że je i śpi. Od czasu do czasu przyjmuje gości, jednak przez większość czasu jest opryskliwa, nieprzyjazna i zmienia się dopiero wtedy, kiedy przyjeżdża jej mąż. Do kolacji z nim przebiera się niczym na wyjście do opery, stroi się w jedwabne i aksamitne suknie balowe, błyszczące włosy upina szpilkami z masy perłowej, usta ma umalowane, a oczy lśniące i ożywione.

Widuję ją, ale ona rzadko kiedy mnie widzi. Nie może się powstrzymać, by nie zerkać co chwila na swoje odbicie w szybie. Jeżeli mąż się spóźnia, stoi, nerwowo skubiąc sznur pereł na szyi, jakby walczył właśnie w jakichś dalekich krajach, a nie jechał zrytą koleinami drogą prowadzącą do obozu.

Jakiś czas temu próbowałem wyjść z komórki, ale kucharka kazała mi zostać w środku. Wkrótce zaczną przybywać goście, a nie mogą mnie przecież zobaczyć. Spytałem, kiedy mam wyjść i wrócić do obozu, ale pokręciła tylko głową i zamknęła mnie tu na klucz do rana. Nie powiem, żeby spędzenie tu nocy mi wadziło – mam małą latarkę, zawiniątko z jedzeniem i trochę wody, którą miła kucharka dała mi na noc, a z leżących tu starych koców i rozmaitych śmieci zrobiłem sobie poślanie. Poza tym w dachu komórki są szczeliny, więc kiedy się kładę na wznak, widzę przez nie gwiazdy, słyszę muzykę dobiegającą z jadalni i udaję, że jestem gdzieś indziej.

Tej nocy powinienem porozmawiać z Bogiem, jestem pewny, że stąd mnie usłyszy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ANNA

Luty 1945

Przez obóz przetoczyła się fala tyfusu. Annie przypomniało to porywiste wiatry podczas letnich burz, które łamały gałęzie drzew, pozostawiając po sobie pobożowisko. Wyglądało na to, że ta fala ograniczyła się do tylko jednego baraku – tego, w którym Anna, Joanna i Nina codziennie rano sprawdzały, czy u śpiących wyczuwa się puls i czy oddychają; zwłoki tych, które wyzionęły ducha, wynoszono i wrzucano do dołu za barakiem, jedno na drugie, po czym podkładano ogień, tak że ubiór i ciało Anny były przesiąknięte odorem palącej się ludzkiej skóry i włosów.

Nina podkraǳła z pralni strzępy materiału, z których zrobiła im maski – wkładały je do przenoszenia zwłok, a potem jeszcze raz, podczas zapalania stosów pogrzebowych.

Anna taszczyła pierwsze zwłoki tego dnia, kobietę z innego baraku, która zmarła w nocy; kobiety stamtąd nie mogły jej pomóc, bo były za słabe. Chwyliła zmarłą pod pachy, a Nina złapała ją za nogi w kostkach. W oczach Anny Nina wyglądała nie lepiej od tamtych – oczy miała wytrzeszczone, skórę na całym ciele napiętą, jakby miała pęknąć, a żebra sterczały jej jak u tych krów, których tusze Anna widziała wiszące w witrynie u rzeźnika.

Na początku, po przeniesieniu zwłok trzech kobiet w ciągu pierwszych dni, Anna wymiotowała gryzącą żółcią, od której drapało ją w gardle i łzawiły jej oczy. Nocami po cichu wypłakiwała się w poduszkę, szeptem odmawiając modlitwę za każdą ze zmarłych. Teraz, dwa tygodnie później, wymioty się skończyły, nocami roniła raptem kilka łez, ale nadal się za nie modliła.

W rozmowach z nią Nina nie chciała poruszać tematu otaczającej je śmierci. Woliała opowiadać o swoich urodzinach, które jako dziecko spędzała z rodziną, o ojcu, którego uwielbiała, o przeczytanych książkach, o wszystkim, byle nie o tym, co je czekało każdego dnia.

Wrzuciły kobietę do dołu, na stertę leżących już tam ciał; patrząc na jej zwłoki, nienaturalnie wygięte ręce i nogi, Anna poczuła, że żołądek podchodzi

jej do gardła, i ucieszyła się. Cieszyło ją, że jeszcze nie zubożyła do cna, nie stała się niewrażliwa na ten koszmar – chciała go czuć całą sobą.

– Właśnie wspominałam dzień, kiedy ojciec kupił nam psa. – Wracając do baraku, Nina szła kilka kroków przed Anną. – Uwielbiałam tego psiaka. A ty miałaś kiedyś jakieś zwierzę?

Anna pokręciła głową. Czy ta kobieta, którą właśnie wrzuciły do dołu, miała jakieś zwierzątko? Na przykład kotkę, śnieżnobiałą i jedwabistą, która siedziała gdzieś na parapecie, czekając na swoją panią?

– Zagracie? – spytała Joanna, gdy tylko weszły do baraku, i pomachała do nich talią kart zrobioną z tektury, którą kupiła za kawałek chleba.

Nina usiadła na zakurzonej podłodze. Za stolik do gry służyło im odwrócone do góry dnem pudło. Anna stała, patrząc, jak Joanna rozdaje karty – dla siebie, dla Niny, dla kobiety o imieniu Ami oraz dla niej. Usiadła obok Niny, skrzyżowała nogi i zdjawszy maskę, wdychała wilgotne powietrze. Dookoła kobiety spały na pryczach, zakryte kocami tak szczelnie, że widać było tylko kosmyki włosów na poduszkach. Inne siedziały w grupkach i rozmawiały – jedna z nich miała książkę, którą dostała w prezencie od strażnika. Joanna przestrzegła Annę i Ninę, żeby nigdy jej nie pytały, co musiała zrobić w zamian za taki prezent.

Patrząc na niestaranne obrazki narysowane przez Joannę, Anna przypomniała sobie, jak kiedyś grała w karty z Piotrem, a on przez cały czas próbował oszukiwać, tak że w końcu oboje pękali ze śmiechu jak dzieci.

– Co cię tak rozbawiło? – spytała Joanna, podnosząc ciemne oczy znad swoich kart.

– Wspomnienie – odparła Anna, przekładając karty w poszukiwaniu sekwensu, by móc się go szybko pozbyć. Nie znalazła go, więc dobrała kartę ze stosu.

– Nic innego nam nie zostało – skwitowała Joanna. – A skoro już o tym mowa... – Pogrzebała w kieszeni, wyjęła cztery papierosy i położyła je obok kart.

– Skąd je wytrzasnęłaś? – Nina wzięła papierosa i przyglądała mu się, jakby nigdy czegoś takiego nie widziała.

– Od strażniczki – odparła Joanna półgębkiem, próbując przypalić papierosa cienką zapalką z malutkiego pudełeczka. – To też dostałam. – Wydmuchała dym i rzuciła zapalki Ninie.

– Ale jak? – spytała Anna, odkładając karty, by wziąć papierosa.

– Ta gruba strażniczka... Jak jej tam, Elsa? No w każdym razie przynosi to i owo w zamian za benzynę i kawałki metalu z komórek i z magazynu broni. Mówi, że na zewnątrz dostaje za nie całkiem niezłą cenę. Dlatego płaci mi tym.

– Joanna wydmuchała długą strużkę dymu, zamknęła oczy i uśmiechnęła się, delektując się tytoniem.

Anna w zasadzie nie paliła. Czasami zaciągnęła się papierosem Piotra albo popalała, pijąc wino, a kiedyś wyżebrała jednego od brata.

– Nie chcesz? – Joanna ruchem głowy wskazała papierosa w rękę Anny.

– Chcę. – Anna włożyła go do ust i nachyliła się, by Nina mogła jej przypalić. Pierwsze zaciągnięcie się wywołało u niej atak kaszlu i rżenia, co inne kobiety skwitowały śmiechem. Ale gdy zaciągnęła się jeszcze kilka razy, poczuła zawrót głowy i uznała, że jej się to podoba. – Nie wpadniesz przez to w kłopoty? – spytała.

– Może. Ale twierdzą, że to jest warte ryzyka. Zresztą wątpię, żeby strażniczka chwaliła się przed innymi tym, co robi.

Anna zagrała trzy ósemki, a Nina dwie czwórki.

– A wiecie, że tyfus już przeszedł? – powiedziała Joanna, zaciągając się po raz ostatni; papieros zatrzęszczał i zgasł. – Teraz ludzie umierają z głodu.

Anna pokręciła głową – widziała, jak słabe były te kobiety, jak kaszlały i się pociły.

– Mówię wam. Nie ma żywności. I oni o tym wiedzą. Trzymają nas w zamknięciu, bo w ten sposób łatwiej nas kontrolować bez jedzenia, niech najsłabsze kopną w kalendarz.

Na wzmiankę o jedzeniu Annie zaburczało w brzuchu. Położyła na nim rękę, czując, jak żołądek skurczył się jeszcze bardziej, sflaczał, zostało w nim tylko powietrze.

– Lange! – krzyknęła jakaś kobieta, wbiegając do baraku.

Joanna szybko zebrała karty i schowała na piersi. Anna, Nina i Ami zgasiły papierosy.

– Ty! – huknęła Lange od progu, wskazując palcem Annę. – Chodź ze mną.

Przerażona Anna odwróciła się do Joanny i Niny. Co takiego zrobiła? Czyżby Lange zauważyła karty, papierosy? Czyżby sądziła, że to jej sprawka?

Podeszła do Lange i razem wyszły na zewnątrz.

– Potrzebują cię w domu – wyjaśniła Lange i dodała pogardliwie: – Nie mogą się bez ciebie obejść, co?

– A nie jesteśmy na kwarantannie? – Ledwo Anna zadała to pytanie, pożałowała, że nie może go cofnąć.

– Wątpisz w moje słowa? – Lange zmrużyła oczy i zmierzyła ją wzrokiem, sięgając po pałkę.

– Nie. Nie. Ja tylko nie chcę ich zarazić.

Lange wymierzyła Annie siarczysty policzek, a potem spojrzała na swoją rękę i uśmiechnęła się szeroko.

– Na mój gust nic ci nie dolega. – Roześmiała się, zostawiając na twarzy Anny czerwony odcisk dłoni.

W drodze do bramy Anna myślała o tym, co powiedziała Joanna – że tyfus już się skończył. A trzymają je w izolacji i głodzą po to, by nikt nie pozostał przy życiu.

– Jak dobrze cię widzieć. – Gdy tylko weszła, Greta od razu ją uściskała; jej ciało było ciepłe i podnosiło na duchu.

– Ciebie też – odparła Anna, uwalniając się z objęć.

– Idź się przebrać. Twoja sukienka jest w tamtej szufladzie.

Anna przebrała się szybko, niemal szczęśliwa, że znowu może włożyć brązową sukienkę; dawało jej to poczucie, że jest kimś więcej niż tylko więźniarką w obozie, że znowu jest niemal człowiekiem.

– Zanieś to Isaacowi, dobrze? – Greta podała jej kubek kawy. – I przekaż mu, że Herr Becher chce mieć naprawione maszyny do pisania najpóźniej do jutra rana.

Anna kiwnęła głową i poszła do komórki, zapraszającej ją blaskiem lampy.

– Wróciłaś. – Gdy stanęła w progu, Isaac spojrział na nią i wyciągnął rękę po ciepły kubek.

– Wróciłam. – Uśmiechnęła się do niego. – Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu.

– Nie byłem na kwarantannie, jakimś cudem zaraza ominęła męskie baraki.

– Ale i tak się cieszę, że jesteś zdrowy – odparła i odwróciła się do wyjścia, by nie przeszkadzać mu w pracy.

– Naprawdę?

Obejrzała się na niego. Twarz miał bardziej wychudzoną, niż kiedy go widziała ostatnio, a jego ręce trzymające kubek drżały.

– Oczywiście.

– Czy mogłabyś...

– Czy mogłabym co?

Pokręcił głową.

– Przepraszam... wygłupiłem się.

– O co mnie chciałeś zapytać?

– Czy posiedzisz tu chwilkę? Dopóki tego nie wypiję?

Przytaknęła ruchem głowy i usiadła na odwróconym do góry dnem wiadrze, najwyraźniej służącym jako krzesło dla gości.

– Przez cały dzień prawie nie mam się do kogo odezwać – powiedział między łyżkami.

– Ale w obozie masz przyjaciół?

Skinął głową.

– Jednego. Elijaha. Przez jakiś czas chorował, a potem się zbratał z innymi.

– A ty z nimi nie trzymasz?

– Przez tę pracę. – Isaac spojrział na maleńkie śrubki na swoim stole, na taśmy z maszyn do pisania i małą puszkę oleju, którym smarował kółka zębate. – Oni nie uważają mnie za swojego. Zupełnie jakbym przyjaźnił się z Herr Becherem albo cieszył się specjalnymi przywilejami.

Anna kiwnęła głową. Potrafiła się wczuć w jego sytuację. Pomijając Ninę i Joannę, sama również uważała się za wykluczoną – widziała, jak patrzą na nią inne kobiety, słyszała, jak szepczą, kiedy je mijała – i często się zastanawiała, co tak naprawdę inni o niej myślą.

– Na pewno masz mnie za starego głupca – rzekł Isaac, przerywając jej rozmyślenia.

– Chyba cię rozumiem. I wcale nie jesteś stary.

Odstawił kubek; ręka tak mu drżała, że wylał trochę kawy na blat. Wytarł go rękawem. Podniósł wzrok i zobaczył, że Anna mu się przygląda.

– Coraz gorzej z nimi – powiedział, patrząc na swoje ręce tak, jakby należały do kogoś innego.

– To z głodu i ze zmęczenia – zapewniła go. – Mnie z kolei, jeśli stoję za długo, nogi trzęsą się, jakby lada chwila miały odmówić posłuszeństwa.

– U mnie to kwestia wieku, moja droga. W ostatnich tygodniach bardzo się postarzałem. Zupełnie jakby mi przybyło dziesięć lat.

– Polepszy ci się, kiedy będziesz mógł stąd odejść, wrócić do domu.

– Gdzie jest twój dom, Anno?

– W niewielkim miasteczku na północ od Baden-Baden.

– Są tam lasy?

Kiwnęła głową i uśmiechnęła się szeroko na myśl o sosnach, bukach i wiązach kilometrami porastających okoliczne tereny – bo tak zapamiętała dom. Z jej ust popłynął potok słów, marzyła o nich jak o chłodnym strumyku latem.

– Kiedy wiatr nie chciał się z nami bawić i nie mogliśmy puszczać latawców, bawiliśmy się w lesie. Ziemia jest tam zawsze usłana zwiędłymi liśćmi i gałązkami, które skrzypią i trzaskają pod stopami. Uwielbiałam ten dźwięk. A potem – pochyliła się – potem było słycać krakanie kruka albo stukot dzięcioła wykuwającego nową dziuplę. Pewnego dnia natknęliśmy się na samicę dzika, która rodziła młode. Siedząc w gąszczu paproci, czekaliśmy i patrzyliśmy, jak stękała z wysiłku, a jej brzuch falował, gdy młode szukały drogi na zewnątrz. Rozpadało się, ale pod baldachimem z liści było nam sucho, słyszeliśmy tylko bębnienie kropli spadających na korony drzew nad nami. Brat mnie zapytał, czy maciora umrze. Na to wyglądało. Nie mogła się ruszyć, oddychała z trudem. Brat

powiedział, że chce iść do domu po starą strzelbę ojca, żeby skrócić jej męki. Ale zanim zdążyłam go zrugać, rozległ się nowy dźwięk, jakiś pisk, i na dywanie z liści leżał maleńki różowy warchlak. Nie minęła minuta, jak pojawił się kolejny, a potem jeszcze jeden. W końcu matka dźwignęła się z trudem na nogi, by spotkać się z dziećmi. Umyła je i trąciła każde nosem, później położyła się z powrotem, a każdy warchlak dopadł sutka i zaczął ssać.

Anna zamilkła i poczuła, że się czerwieni.

– Przepraszam – bąknęła. – Nie wiem, dlaczego ci to opowiedziałam. Pewnie uważasz, że jestem głupia.

– Ależ skąd. Dla mnie to brzmiało jak coś magicznego.

– Bo takie właśnie było. Przed tym wszystkim – rozwarła dłonie i uniosła ręce – ten świat wydawał się idealny, nawet jeżeli taki nie był, nawet jeśli zdarzały się złe rzeczy. Mimo to był magiczny, ale w końcu na tym polegają wspomnienia. Na tym, że patrząc wstecz, wszystko widzimy większe, radośniejsze i lepsze niż było w rzeczywistości.

– Mnie wydarzenia z przeszłości zacierają się w pamięci. No ale taki jest umysł starca. – Posłał jej uśmiech i dopił kawę.

– Nie jesteś stary, Isaacu, naprawdę. To przez ten obóz. No nic, muszę wracać. – Anna wstała i wzięła kubek. – Są takie piękne. – Patrzyła na zegarki, które ułożył w równych rzędach w pudełku za plecami.

– Są prawie naprawione. Prawie. Wrócę do nich potem, pierwszeństwo mają maszyny do pisania.

– Do jutra. – Anna zostawiła go zgarbionego nad narzędziami; światło pełzało po ścianach komórki, jakby nie był tam sam, jak gdyby nadzorowały go upiory przeszłości.

Na tę myśl wzdrygnęła się i wróciła do domu. Dotychczas nie wierzyła w duchy, były wymysłem, pochodziły z opowieści przyjaciół albo bajek opowiadanych rodzeństwu w ciemne zimowe wieczory, przy wyciu wiatru i stukaniu sękatych palców drzew w okna; taka sceneria miała przestraszyć słuchaczy, by piszczeli, a potem pękali ze śmiechu.

Jeszcze raz obejrzała się na komórkę, po czym otworzyła kuchenne drzwi, zostawiając zgarbionego zegarmistrza przy pracy. Obserwowała jednak wszystko, co robił.

– Wierzysz w duchy? – spytała Gretę, gdy tylko schroniła się w ciepłe kuchni.

– Tak.

– Jak myślisz, czy są takie złe, jak w bajkach opowiadanych dzieciom?

– Nie, nie są złe. Raczej niespokojne, próbują odnaleźć drogę powrotną do domu. A dlaczego pytasz? Coś zauważyłaś? – Greta spojrzała na Annę, nie

zważając na bulgoczący garnek na kuchni, który lada chwila mógł wykipieć.

– Nie. Chyba nie.

– W razie czego zmów modlitwę i życz duchowi szerokiej drogi, a zostawi cię w spokoju. – Kucharka pokiwała głową.

Anna uśmiechnęła się i nie przeszkadzając jej już w gotowaniu, poszła sprzątnąć stół po rodzinnym śniadaniu.

Kiedy weszła do jadalni, okazało się jednak, że nie wszyscy ją opuścili. Przy stole siedziała Liesl Becher; kominiek za jej plecami wyglądał jak otwarte usta.

– Przepraszam – mruknęła Anna, nie wiedząc, czy powinna wyjść, czy zostać.

Liesl podniosła wzrok. Oczy miała zaczerwienione i podpuchnięte, jak gdyby przepłakała całą noc. Ruchem ręki wskazała stół.

– Posprzątaj.

Anna kiwnęła głową i zebrała talerze, kładąc jeden na drugi i uważając na każdy ruch, żeby nie rozsypać okruszków chleba ani nie pozostawić na obrusie plamy z żółtka jajka.

– Wiesz, za czym tu tęsknię?

Zaskoczona Anna spojrzała na Liesl. Zobaczyła wpatrzona w siebie czerwone oczy i postać otuloną różowym szlafrokiem, spod którego wmykał się ogromny biust. Pokręciła głową.

– Tęsknię za tańcami. I za restauracjami. Tego mi tu brakuje. Ale co ty możesz o tym wiedzieć? – Liesl westchnęła i zamieszała kawę tak energicznie, że łyżeczka postukała w filiżankę.

Anna chciała wyjść, ale Liesl mówiła dalej, więc stała w milczeniu, trzymając brudne talerze i wbijając wzrok w kominiek za plecami pani domu.

– Nie lubię gorąca. To znaczy lubię upał, kiedy jesteśmy na wakacjach i mogę się schłodzić w morzu albo w basenie. Ale ten gorąc od rana do wieczora, dzień w dzień...

Anna miała zimne dłonie, a stopy lodowate. O czym ona mówi?

– Co ty tam możesz o tym wiedzieć. – Liesl wstała i podeszła do niej. – Chociaż poniekąd to twoja wina. To, że usycham w tym upale. To, że brakuje mi tańców. Może nie?

– Nie wiem – bąknęła Anna. Talerze brzęczały w jej trzęsących się rękach.

Liesl stanęła naprzeciwko niej, roześmiała się i nagle Anna poczuła siarczyste uderzenie w twarz. Z zaskoczenia upuściła talerze.

Kiedy schyliła się, żeby pozbierać skorupy, Liesl roześmiała się jeszcze raz i wyszła z pokoju.

– Posprzątaj – rzuciła. Wchodząc po schodach, nadal się śmiała.

– Co się stało? – U boku Anny uklękła Greta i pomogła jej zbierać szczątki talerzy.

– Nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia. Mówiła, że tu jest za gorąco. A przecież jest zimno. A potem powiedziała, że to moja wina.

– Idź, przyłóż zimną wodę na policzek. Widzę odcisk jej dłoni.

Anna delikatnie dotknęła twarzy, wróciła do kuchni i ochlapała zimną wodą piekącą skórę. Po raz drugi tego dnia została spoliczkowana.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ISAAC

Wieczorem Isaac ucieszył się, widząc, że będzie wracał do obozu razem z Anną. Na jej widok uśmiechnął się i pożałował, że nie może pokazać Leviemu, jak idąc za jego radą, próbuje znaleźć trochę szczęścia.

I nagle ją zobaczył... zobaczył ją naprawdę! Młodą kobietę, a on taki stary, więc uśmiech niemal zamarł mu na ustach, ale zauważył, że ona odpowiedziała mu uśmiechem, który dostrzegł również w jej oczach.

Ruszyli w tym samym tempie, stykając się ramionami. Kilka kroków za nimi włókł się Schmidt, nucąc tę swoją irytującą melodię i paląc cygaro, zupełnie nieświadomy tego, że narzucając im tak powolne tempo, tylko ucieszył Isaaca, który dłużej mógł przebywać w towarzystwie Anny.

– Jak ci minął dzień? – zapytał takim samym tonem, jakim zadawał to pytanie Hannah po powrocie z pracy.

Spojrzała na niego i zagryzła wargę, jakby się miała rozpłakać.

– Coś się stało?

– Po prostu chcę do domu – odparła i po policzku spłynęła jej łza.

Odruchowo ujął jej dłoń, tylko na chwilę, i ścisnął ją tak, jakby ścisnął Annę z całej siły.

Zaskoczona spojrzała na swoją dłoń.

– Wybacz – szepnęła i odsunął się od niej.

Dalej szli w milczeniu, słychać było tylko chrzęst ich kroków na ścieżce oraz szelest liści i poszycia – nocni drapieżcy wypuścili się na łowy.

Nagle zbliżyła dłoń do jego ręki i musnęła czubki jego palców gestem tak przelotnym, że zastanawiał się, czy wyobraźnia nie splątała mu figla.

Gdy dotarli do bramy, powiedziała cicho: „Dziękuję” i odeszła w stronę baraku kobiet, po drodze oświetlana reflektorami z wieży strażniczej.

Dotarłszy do swojego baraku, Isaac zobaczył, że trzy prycze są puste. Należały do braci w wieku od osiemnastu do dwudziestu dwóch lat.

– Gdzie oni są? – zapytał Jana, myjąc twarz.

– A jak ci się zdaje? – burknął Jan, przeciskając się do swojej pryczy.

Isaac ruszył za nim. W całym baraku słyhać było kaszel i ciche szepty.

– Gdzie?

– Naprawdę mnie o to pytasz? Nie widzisz kominów, nie czujesz spalenizny?

– Pracuję w domu – odparł Isaac niezbyt rozsądnie.

– A tak, rzeczywiście. W domu. Ty to masz szczęście.

– Nie prosiłem się o to. Oni mnie tam ściągnęli.

– Tak czy owak, kiedy ty siedzisz sobie tam w domu, strażnicy codziennie po uważaniu wysyłają ludzi do tych budynków z kominami. A wiesz, co tam się dzieje? Zamykają ich w jednym pomieszczeniu, żeby ich zagazować, i potem palą zwłoki.

– Skąd wiesz? – Isaacowi zaschło w gardle.

– Jak mógłbym nie wiedzieć? Przecież to nas zmuszają do palenia tych ciał. A niektórym każą odprowadzać tamtych do komór, w których umierają. Wmawiamy im, że idą pod prysznic.

Isaacowi zrobiło się zimno, przypomniał sobie prysznic z pierwszego dnia w obozie, kiedy lodowata woda obmywała jego ciało, a dookoła tłoczyli się przerażeni mężczyźni. Czy tak się to odbywało?

– Ja... ja nie miałem o tym pojęcia.

– Jak mówiłem, masz szczęście. – Jan położył się i odwrócił do Isaaca plecami. Nagle uniósł głowę. – Wcześniej mówiłeś Elijahowi, że się stąd wydostaniesz, że uratują nas Amerykanie i Brytyjczycy. Nie uwierzyłem ci wtedy, ale teraz już wierzę. Oni nadchodzą, widać to po twarzach strażników. Stale o czymś zapominają, szepczą między sobą. Ale coraz więcej z nas umiera, więc w mojej ocenie mamy pięćdziesiąt procent szans, że z tego wyjdziemy. Ty chyba więcej, skoro przez cały dzień jesteś w tamtym domu.

– Myślisz, że przeżyjemy?

– Mówię ci o tym, żebyś postarał się przeżyć. Nie wychylaj się, nie pakuj w kłopoty.

– Dziękuję – powiedział Isaac.

– Na to jeszcze za wcześnie.

Nazajutrz od rana Isaac pracował szybko. Zdjął malutki cyferblat damskiego zegarka i zostawił tylko skórzany pasek, znoszony i podarty. Wskazówki były nieruchome, za to takiego wzoru jeszcze nie widział na żadnym cyferblacie. Zamiast cyfr były maleńkie obrazki. Na dwunastce – całujące się ptaki, ich figurki przypominały tę liczbę. Jedynekę oznaczała malutka wierzba płacząca, dwójkę łabędź, a trójkę jedząca wiewiórka. Można by pomyśleć, że to coś w sam raz dla dziecka, a jednak te malutkie obrazki były dziełami sztuki – jedynie dorosły mógł docenić ich kunszt. Gdy zobaczył ten cyferblat pośród innych,

natychmiast przyszła mu na myśl Anna ze swoimi opowieściami o drzewach, lasach i zamieszkujących je istotach. Wiedział, że ten zegarek jest stworzony dla niej, on zaś sprawi, że będzie jeszcze bardziej wyjątkowy.

Ukląkł i umieścił zegarek w dziurze, w której leżał plik papierów, razem z maleńkimi elementami wymontowanymi kilka tygodni wcześniej z męskiego zegarka. Krok po kroku stworzy z nich coś nowego, pięknego, co znowu będzie działało i żyło – coś dla Anny, by mógł ujrzeć wyraz jej twarzy, gdy prezentuje jej swoje dzieło. Chciał zobaczyć uśmiech w jej oczach, taki sam jak w oczach Hannah.

– Ja żyję! – rozległ się za nim głos Lewiego.

Isaac czym prędzej zerwał się na nogi.

– Jesteś wreszcie! Gdzieś ty się podziewał? Chorowałeś? – pytał, ściskając dłoń Lewiego; uśmiechali się do siebie szeroko, jak przyjaciele, którzy przed laty stracili ze sobą kontakt.

Levi usiadł na odwróconym do góry dnem wiadrze, wyciągając przed siebie długie nogi, jeszcze chudsze niż przedtem. Wyglądał jak szkielet.

– Chorowałem. Coś mi dolegało w piersi i tyle. Trwało to trochę, ale dałem radę. Wiedziałem, że z tego wyjdę.

– Widziałeś? Skąd?

– Bo nie czułem zapachu cytryn – odparł Levi, zawiązując sznurowadło.

– Cytryn?

– Tak, cytryn.

– Musisz mi to wyjaśnić.

Levi usiadł prosto.

– Cytryny. Umierający czują ich zapach.

– Kto ci powiedział coś takiego?

– Mój dziadek i moja babka czuli zapach cytryn. – Levi zaczął odliczać na palcach. – Poza tym mój kuzyn i mój pies. On nie mógł mi o tym mówić, ale i tak wiedziałem.

– Czyli powinienem sobie zapamiętać: jeśli poczuję cytryny, to znaczy, że jestem na skraju śmierci.

– Hm. – Levi zastanowił się. – Wiesz, gdybyś przypadkiem znalazł się obok drzewa cytrynowego, na logikę rzecz biorąc, czułbyś prawdziwą cytrynę, a nie śmierć.

– Dzięki za wyjaśnienie. – Isaac usiadł i dolał nafty do lampy.

– Muszę iść do pracy. – Levi wstał. – Obiecuj, że jeśli pod moją nieobecność poczujesz cytryny, będziesz z tym walczył.

– Obiecuję. Co ci wyznaczyle na dzisiaj?

– Chcą mieć z tyłu ogrodu ceglany mur zamiast drucianej siatki.

– Może się obawiają, że w końcu znajdziesz drogę ucieczki – skwitował Isaac z uśmiechem.

– Kto wie? Ale moim zdaniem bardziej martwią się o to, kto może się dostać do środka.

Levi udał, że uchyla kapelusza, i wyszedł.

Gdy Isaac został sam, spojrzał na zegarki. Przyglądały mu się w milczeniu, czekając, aż sprawi, że czas znowu zacznie biec.

Każdy naprawiany zegarek opowiadał Isaacowi jakąś historię. Ślady zużycia, sposób, w jaki doznały uszczerbku, wszystko to traktował niczym detektyw na miejscu zbrodni – pęknięcie szkła w połączeniu z brakującym elementem mówiło mu o zajęтым, roztargnionym mężu, zapewne bardzo bogatym, który nie dbał o to, co stanie się z jego czasomierzem. Isaac wyobrażał sobie, że ten mężczyzna codziennie po powrocie do domu zdejmował zegarek, rzucał go mniej więcej w kierunku stołu, nie trafiał, ale nie przejmował się, gdy ten spadał na podłogę.

Jego uwagę przykuła złota dewizka zegarka kieszonkowego. Brakowało koperty, został tylko cyferblat i działający mechanizm. Nie był połamany. Isaac przyłożył go do ucha, nasłuchując cichego tykania podczas odmierzenia sekund. Ten zegarek niczym się nie wyróżniał, był prosty, pozbawiony ozdób i grawerunków, a jednak wizja mechanizmu kół zębatych, zatrzymujących się, by mógł się rozleć ten dźwięk, i balansu poruszającego się ruchem wahadłowym tam i z powrotem, by odliczać czas, była dla niego czymś magicznym; nagle stwierdził, że się śmieje.

– Z czego się tak cieszysz? – Przed nim pojawiła się Anna. Od jak dawna tam stała?

– Z tego. Zobacz. – Podał jej mechanizm.

Postawiła na biurku kubek kawy i wzięła zegarek do ręki.

– Bardzo ładny – przyznała i spojrzała na niego pytająco, unosząc brwi.

– Nie, nie o to chodzi, przyłóż go do ucha.

Wykonała polecenie, a Isaac obserwował ją i czekał. Po kilku sekundach zamknęła oczy, jakby miała zasnąć na stojąco.

– Jak cichutko tyka – powiedział. – Zupełnie jakby chciał utrzymać to tykanie w tajemnicy. Niektóre zegarki tak odmierzają czas, że można niemal poczuć ich puls. Twórca tego wykonał go niezwykle pieczołowicie, wnętrzości pracują przepięknie.

Otworzyła oczy.

– Wnętrzości? Mówisz o zegarkach, jakby to byli ludzie!

Uśmiech zamarł mu na ustach; wyciągnął rękę po zegarek.

– Przepraszam – powiedziała, siadając. – Nie zamierzałam się z ciebie śmiać. Podoba mi się, że mówisz o nich z takim uczuciem.

– To wszystko, co mam – odparł, muskając kciukiem przejrzyste szkło.

– Czy zawsze byłeś zegarmistrzem, Isaacu? – spytała. Oparła łokcie na kolanach i objęła twarz dłońmi jak małe dziecko. Patrząc na nią, rozpogodził się; jako mały chłopiec siadał dokładnie tak samo, gdy ojciec opowiadał, jak mu minął dzień.

– Tak.

– Nie założyłeś rodziny?

– Założyłem, jeden raz. – Isaac upił łyk kawy. – Ożeniłem się. Ona miała dwadzieścia lat, a ja dwadzieścia dwa, ale znałem ją w zasadzie od zawsze. Jej rodzice mieli gospodarstwo i po raz pierwszy zobaczyłem ją, kiedy się urodziły szczeniaki.

– Szczeniaki?

– To infantylna historia... Na pewno chcesz jej posłuchać?

– Koniecznie.

– No dobrze. – Usiadł wygodniej, trzymając kubek oburącz. – W gospodarstwie mieli psa, sukę. Była czarno-biała, miała czarną łatkę nad jednym okiem, więc nazwałem ją Piratem. Nie nadawała się do pracy, nie zaganiała owiec i nie broniła domu przed obcymi, tylko się do nich łąsiła, kładła łeb na miękkiej wełnie owiec, a nieznanomych lizała po rękach. Codziennie zachodziła do wioski i właśnie tam ją spotkałem, na rogu ulicy. Miałem dwanaście lat, siedziałem na poboczu drogi i próbowałem rzucać kamieniami tak daleko, żeby lądowały po drugiej stronie.

Rok wcześniej miałem wypadek, bawiąc się z kolegami, wpadłem do zamarzniętego jeziora. Łód rozorał mi udo do kości, przeciął ścięgna i mięśnie, tak że do końca życia zostanie mi blizna, utykanie i ból. Rok po tym wypadku nie miałem nic lepszego do roboty niż rzucanie kamieniami, więc fajnie było mieć towarzystwo Pirata, który trącał mnie nosem i lizał po twarzy, jeśli się złościłem, bo nie wyszedł mi rzut.

Minął tydzień albo i więcej, i go nie spotkałem. Spytałem ojca, który poradził, żebym się przeszedł do tego gospodarstwa, powiedział, że mojej nodze dobrze to zrobi. Nie chciałem iść. Zdawałem sobie sprawę, jak wyglądam, i widziałem, że ludzie na ulicy ze współczuciem zerkają na mnie, biednego kalekę. Ale ojciec każdego potrafił przekonać do wszystkiego, jeśli uważał, że wyjdzie mu to na dobre, więc dodał mi otuchy i wysłał na przechadzkę.

Na drodze prowadzącej do gospodarstwa zwolniłem, rozboleła mnie noga. Za ogrodzeniem krowy pasły się na trawie, obserwując mnie smutnymi oczami, a słońce grzało mi plecy. Lubiłem tę drogę, kwiaty polne kiwały główkami na

wietrze, a na polach dookoła pełno było owiec, krów i koni – przypominały mi figurki, którymi się bawiłem w domu.

Byłem już chyba w połowie drogi do celu, w oddali widziałem wielkie stodoły, gdy naraz obok mnie przebiegła jakaś dziewczynka, krzyząc, że nadchodzą.

Oczywiście nie miałem pojęcia, o co jej chodzi, więc zawołałem do niej, ale nie odpowiedziała mi, tylko zatrzymała się i spytała, co mi się stało w nogę.

„Zraniłem się”, odpowiedziałem głupio. Ona spojrzała na stodołę, na zabudowania gospodarcze, a potem znów na mnie, jak gdyby podejmowała decyzję. „Pójdę z tobą”, powiedziała i zawróciła do mnie.

Kiedy szliśmy w kierunku gospodarstwa, wyjaśniła mi z przejęciem, że jej pies, ten, którego nazwałem Piratem, to tak naprawdę suka i że lada chwila będzie rodzić młode. Powiedziałem jej, żeby pobiegła przodem, bo się spóźni na to wydarzenie, a ona kazała mi obiecać, że na zawsze zostaniemy przyjaciółmi. Umowa została przypieczętowana. Od tamtej pory aż do dnia jej śmierci byliśmy najlepszymi przyjaciółmi.

Isaac zakończył opowieść i spojrzał na Annę – siedziała z zamkniętymi oczami.

– To piękne – odezwała się. – Opisałeś to tak, że mam wrażenie, jakbym tam była i też ją poznała.

– Rzadko wspominam tamten dzień, ale kiedy to zrobiłem, poczułem się tak, jakby to było wczoraj – odparł.

Anna otworzyła oczy.

– Próbuję sobie wyobrazić, jak wyglądałeś jako chłopiec i jako młody mężczyzna w dniu ślubu.

– Na pewno lepiej niż teraz! – Roześmiał się i przejechał ręką po siwej szczecinie na brodzie i pod nosem.

– A ja cię widzę wciąż takiego samego – rzuciła i się zaczerwieniła.

Isaac spojrzał na swój kubek kawy i upił łyk.

– Mówiłaś, że masz narzeczonego? – ośmielił się zapytać.

Anna milczała. Spojrzał na nią i zobaczył, że płacze.

– Wybacz, nie chciałem, żebyś przeze mnie płakała.

– Nie szkodzi. Jak można nie płakać? – Uśmiechnęła się blado.

Dopił kawę, nie wracając już do tematu.

– Jutro? – zapytał.

Wstała i wzięła od niego kubek.

– Jutro.

Włożył cicho tykający zegarek do zawiniątka, które trzymał pod podłogą komórki. Powie Becherowi, że kilku sztuk nie udało mu się naprawić. Za

wszelką cenę chciał obejrzeć ten cichy mechanizm zegarka i użyć go w tym, który konstruował dla Anny.

Chowając go, namacał zwitek papierów. Wyciągnął je, przesunął się do tyłu i oparł plecami o ścianę, po czym wyprostował nogi. Powoli odszukał miejsce, w którym skończył lekturę poprzedniego dnia; pragnął usłyszeć jakiś wewnętrzny głos, pragnął posłuchać cudzej historii, żeby się pozbyć wspomnienia o Hannah.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

J.A.L.

Czerwiec 1944

Kochanie moje,

pamiętasz, jak obiecałem, że do Ciebie napiszę?

Dotrzymałem słowa i oto siedzę teraz w tej wilgotnej komórce, próbując znaleźć stosowne słowa.

To dziwne, że kiedy Cię widzę, przychodzi mi na myśl tyle rzeczy, które chciałbym Ci powiedzieć, ale kiedy moje pióro kreśli teraz słowa na kartce, w głowie mam kompletną pustkę. Być może jest przeładowana tym, co pragnę wyrazić, więc kiedy się do tego zabieram, nie jestem pewny, od czego zacząć.

Dzisiaj cały czas pada, odkąd się obudziłem przed świtem, aż do teraz, a jest późne popołudnie. Leje tak, że nie widzę, co mam przed sobą. Kilka godzin temu Liesl wyszła z domu, pojechała odwiedzić syna, który jest w szkole w Monachium. Becher z nią nie pojechał, a ona też nie paliła się do tego wyjazdu, co poznałem po tym, że co chwila wracała do domu po coś, co mogłoby jej się przydać w podróży.

Powtórzę się – oni sądzą, że ich nie widzę, że nie zauważam, kiedy wchodzą i wychodzą, ale skoro jestem dla nich duchem, niczym, to mnie nie widzą, więc przekonałem się, że bez żadnych przeszkód mogę chodzić po ich ogrodzie i całym terenie.

Gdy tylko wyjechali, kucharka kazała mi iść do komórki i przyniosła mi coś do jedzenia. Powiedziała, żebym tam sobie trochę posiedział, obiecała, że mnie zawoła, jeśli usłyszy samochód. Miła kobieta, właśnie od niej dostałem przybory, żebym mógł do Ciebie pisać – wręczając mi kilka kartek papieru oraz cieknące pióro, powiedziała, że chodzi o to, żebym miał co robić, żebym mógł zająć czymś myśli.

Oczywiście miała rację. Mój umysł pracuje na zwolnionych obrotach, w głowie mam zamęt. Dni zlewają się w jedną wielką bryłę czasu, składającą się głównie z cierpienia i rozpacz. Zwłoki, tak wiele zwłok. Ułożone w wysoki stos, czekają na pochówek albo, jak słyszałem, na ogień – wykopują w ziemi dół, wrzucają do niego ciała zmarłych i ogień trawi wszystko, co z nich zostało.

Nie taki list chciałem do Ciebie napisać.

Zacznę jeszcze raz, skarbie.

Zawsze sądziłem, że w tym wieku będę już profesorem matematyki albo historii, jak mój ojciec. To on mi wyjaśniał zasady logiki, tłumaczył, czym jest fakt i jak należy patrzeć na to, co nam pokazują, by odnaleźć w tym prawdę. A teraz jestem ciekawy, co by powiedział o tym wszystkim.

Mając trzynaście lat, wśliznąłem się na jeden z jego wykładów, mówił o Cesarstwie Rzymskim, o tym, jak Rzymianie przyczynili się do rozwoju, ale też o tym, jakich potworności się dopuszczali. Później, kiedy wyszedłem na dwór i w słabym zimowym świetle ruszyłem do domu, skręcając za róg przy księgarni, poczułem, że ktoś mnie klepie w ramię – to był ojciec. Spodziewałem się, że mnie skarci za to, że się wymknąłem z domu, ale tylko się uśmiechnął i towarzyszył mi przez resztę drogi.

Pamiętam, byłem wtedy zdezorientowany jego zachowaniem, dopiero teraz rozumiem, że cieszył się, iż jestem taki jak on, mam niespokojny umysł i muszę wiedzieć wszystko.

Moja matka mawiała, że umysł ojca to śmietnik – gromadzi każdy strzęp informacji, wszelkie skrawki, których nikt inny nie chce. On jednak potrafił stwarzać z tych fragmentów coś pięknego i pożytecznego.

Jakże chciałbym teraz stworzyć coś pięknego dla Ciebie! Dla Ciebie chciałbym ogarnąć cały ten absurd, wydobyć z niego jakiś sens i dać Ci nadzieję. Niestety, mogę Ci zaoferować jedynie słowa, które znam, powiedzieć, że Cię kocham i że tylko dzięki Tobie udaje mi się znieść to wszystko; to z myśli o Tobie czerpię piękno i nadzieję.

Wyobrażam sobie, że pewnego dnia jesteśmy razem. Pisząc to, słyszę Twój śmiech! Tak, razem. Widzę nas w wiejskim domku na gospodarstwie, gdzie spędzałem letnie wakacje, wieś nazywa się Zakopane. Moglibyśmy się tam osiedlić, ja bym studiował i prowadził badania, a Tobie zostawiłbym nasz ogród i pielęgnowanie kwiatów. Gdyby nie Ty i Twoja znajomość ziemi, chyba nie byłoby mnie już wśród żywych. Kiedy mi każą coś zrobić, używam Twojej wiedzy – sadząc rośliny, wyobrażam sobie Twoje ręce zagłębiające się w glebę, wsypujące nasiona, starannie przyklepujące ziemię nad nimi, a do tego Twój uśmiech na myśl o tym, co przebije się na powierzchnię, gdy nastanie wiosna i lato.

Będziemy mieli psa, może i kota do łapania myszy, ale tylko jeśli będzie przyjazny, a nie taki jak ten potwór, który należał do mojej babki. Codziennie po południu będziemy spacerować, chodzić po wzgórzach i górach, przystawać na szczytach i podziwiać widoki, trzymając się za ręce i śmiejąc się.

Zimą będziemy spędzać wieczory przy kominku, a latem przesiadywać w ogrodzie, popijając coś mocniejszego, jedząc kolację i snując plany na przyszłość.

Wyobrażasz to sobie? Czy leżysz z zamkniętymi oczami i masz przed oczami wizję naszego wspólnego życia?

Deszcz właśnie ustał, widzę, że chmury się rozstępują, więc liczę, że przynajmniej na krótką chwilę wyjdzie słońce, chociaż oderwie mnie to od Ciebie.

Muszę kończyć, napiszę niedługo.

Kocham Cię.

Lipiec 1944

Latem moja matka sprzątała dom, od piwnicy aż po dach. Mawiała, że ludzie przeważnie robią to na wiosnę, szykując się na letnią kanikułę, ale ona lubi ciepło, które przychodzi o tej porze roku.

Otwierała na oścież wszystkie drzwi i okna, wpuszczając do domu chłodny wietrzyk, wyносиła dywany i z naszą pomocą odkurzała je drewnianą trzepaczką.

Pył wzbijał się w powietrze, a ja się zastanawiałem, co się z nim dzieje. Czy opada i z powrotem wdiera się we włókna dywanów? A może przyczepia się do mnie?

Ojciec mówił, że kurz składa się z części nas – z naszej skóry, włosów, z tego, co wnosimy z zewnątrz na podeszwach butów. Kiedy powiedziałem o tym matce, skrzywiła się z niesmakiem.

„Wobec tego tym bardziej należy je czyścić” – oświadczyła.

Nie podobała mi się myśl, że matka pozbywa się nas z tego ostatniego roku. W swojej dziecięcej głowie wyobrażałem sobie, że to kurz jest mną, bawi się i toczy walki z kolegami nad rzeką, a ziemia i sadza, które znosiłem do domu na butach, na zawsze zostają częścią naszego życia.

Dzisiaj w powietrzu unosi się kurz.

Pojawił się krótko po moim przybyciu do domu, a ja słyszę trzaski, czuję spaleniznę i widzę kłęby dymu unoszącego się w powietrze i przesłaniającego niebo. Kurz – właśnie tym jesteśmy, tym się stajemy, wzbijając się w niebo i z powrotem wracając do świata.

Sam fakt, że postrzegam to w ten sposób, jest makabryczny. A jednak czuję swoistą radość na myśl, że ciała palone dzisiaj na stosie pogrzebowym znajdują drogę powrotną do swoich ukochanych, że wczepią się w ich ubrania, włosy, meble w domach i nie zechcą już ich opuścić.

Obiecałem sobie, że jeśli kiedyś uda mi się stąd wydostać, już nigdy nie wytrzępię dywanu ani nie zetnę otaczającego mnie kurzu; niech sobie osiada, niech żyje wokół mnie, by ci, którzy umarli, znowu mogli tu wrócić.

Sierpień 1944

Nastrój w obozie się zmienia.

Strażnicy sprawiają wrażenie, jakby upał ich rozzuchwalał. Przypominają mi się słowa Shakespeare'a: „Bo w tak gorące dni krew się gotuje”¹.

Krew gotuje się w ich żyłach, co widzę, kiedy przeliczają nas co rano – w stojącym wysoko palącym słońcu ich czerwone twarze ociekają potem. Nozdrza rozdymają im się niczym bykom gotowym rzucić się na nas w każdej chwili, za jakiś błąd, który według nich popełniliśmy.

Dziś rano umarł młody więzień. Pokonał go upał, zmęczenie po kopaniu dołów oraz brak jedzenia i wody. Nogi ugięły się pod nim, jakby usunięto z nich kości. A kiedy leżał nieprzytomny, strażnik zaczął po nim skakać, kopać go i już po chwili dołączył do niego drugi, a potem kolejny. Odgłos ich butów uderzających w jego ciało przyprawiał o mdłości. Po każdym kopniaku więzień podrygiwał niczym wyrzucona z wody ryba, a mimo to nie wydał nawet najcichszego dźwięku.

W końcu przestali, a on leżał nieruchomo. Kazali komuś wynieść jego ciało. Nikt nie sprawdził, czy może jeszcze żyje; ja miałem nadzieję, że umarł, ponieważ stopy pogrzebowe płonęły już od wielu dni i myśl, że może być przytomny, kiedy spowijają go płomienie, była nie do zniesienia.

Wśród nas krążą słuchy, że wojna wkrótce się skończy. Powiadają, że nadchodzą Amerykanie, zbliżają się dzień w dzień. I rzeczywiście, samoloty latają nad nami coraz częściej, w powietrzu nieustannie słychać buczenie ich silników, czasami dolatuje też świst spadającej bomby i huk jej wybuchu na ziemi.

Czy nadejdą?

Dlaczego te stopy pogrzebowe palą się coraz dłużej? Dlaczego strażnicy wykazują większy sadyzm niż zazwyczaj? Dlaczego tak się emocjonują, kiedy nad głową widzą samoloty? Każdy z nich spogląda w górę, w ich oczach widać ten sam strach, który nam towarzyszy od tak dawna. Czy możliwe, że to się dzieje naprawdę?

Moje dni trwają teraz tak długo, jak długo słońce łaskawie świeci. Mam zrobić nowy kwietnik dla Liesl i wykarczować młode drzewa, które jej się nie podobają. Mam narąbać drewna do ich kominka na zimę, mam pracować dopóty, dopóki będę w stanie się ruszać. Mimo to nie mam prawa narzekać, bo dużo

gorsze byłoby kopanie dołów i roboty budowlane w obozie albo na drogach, gorzej by było tkwić w ciasnej, dusznej fabryce przy produkcji amunicji, to byłoby gorsze.

Kochanie moje,

kolejny list do Ciebie. Śniłem o Tobie w nocy, był to sen szalony, a jednak wydawał się na tyle realny, że po przebudzeniu nie od razu wiedziałem, gdzie jestem.

Pojechaliśmy z wizytą do moich rodziców, więc byłem zdenerwowany. Kiedy staliśmy przed drzwiami wejściowymi, wziąłem Cię za rękę, na policzku poczułem Twój pocałunek i słuchałem, jak mnie zapewniasz, że wszystko będzie dobrze.

Drzwi otworzył mój ojciec, spojrzał na nas i się uśmiechnął.

Właśnie tego mi było trzeba – ten uśmiech oznaczał, że pochwała mój wybór i że nam pobłogosławi. Ale nagle Cię nie było koło mnie. Spojrzałem na moją rękę, ale Twojej dłoni w niej nie było. Stałem na ulicy sam, frontowe drzwi znów były zamknięte, a ojciec skrył się w środku.

Jak myślisz, co to oznacza? Czy Twoim zdaniem sny w ogóle coś znaczą?

Kiedyś usłyszałem od Ciebie, że śnimy tam, gdzie możemy być wolni, gdzie nasze losy mogą się spleść ze sobą. A jednak ten sen wywołał we mnie poczucie osamotnienia, jakbyśmy stracili siebie na zawsze. Chciałbym, żeby śniły mi się miłsze rzeczy, życie z daleka stąd. A z drugiej strony odnoszę wrażenie, że mój mózg stopniowo godzi się z rzeczywistością i sny już nie pozwalają mi uciekać – bo stąd nie ma ucieczki.

Wiem, to zakrawa na szaleństwo, ale powoli tracę rozum. Upał, głód, koszmar, w jakim żyjemy... czasami łapię się na tym, że w dzień zamykam oczy i zmuszam się, by się obudzić.

Żałuję, że nie mogę Ci pisać takich listów, jakie bym chciał. Listów pełnych szczęścia i naszych wspomnień, ale dzisiaj tego nie ma. Jest tylko moje szaleństwo i te słowa, które mogę przelać na papier.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

FRIEDRICH

Kłótnie jego rodziców nie ustawały. Po rozbiciu telefonu przez dzień czy dwa panował spokój, aż kiedyś ojciec wrócił z pracy, przy kolacji z nikim nie chciał rozmawiać, zabrał posiłek do swojego gabinetu i zamknął drzwi na klucz. Kładąc się do łóżka, Friedrich słyszał krzyki matki i cichy, groźny głos ojca.

Dopiero pod koniec lutego ojciec odezwał się do niego po raz pierwszy od tygodni.

– Już prawie wiosna – zwrócił się do syna i spojrzał na niego oczami pełnymi zdumienia, jak gdyby właśnie przed chwilą zauważył, że jest cieplej, a na gałęziach drzew pojawiają się pąki.

Friedrich zamarł z ręką trzymającą grzanekę w pół drogi do ust, nie wiedząc, czy powinien kontynuować śniadanie, czy odpowiedzieć ojcu.

– Mów! – Głos matki był wyjątkowo piskliwy. – Mów coś! Nie dość, że jesteś głuchy, to w dodatku niemowa?

Friedrich odłożył grzanekę na porcelanowy talerz ozdobiony na brzegach splątanymi różami.

– To prawda – wyjąkał.

– Nie lubisz słońca, co, Fried? – Widząc wpatrzony w siebie oczy ojca, chłopak się wystraszył. Zresztą niepokoił się zawsze, gdy ojciec zwracał się do niego tym zdrobnieniem. – Pamiętasz, jak pojechaliśmy na wybrzeże? Bawiłeś się na piasku. Pamiętasz?

Chłopiec pokręcił głową.

– No tak, możesz nie pamiętać. Byłeś mały. Ale bardzo ci się podobało. Całymi dniami byłeś na dworze, pływałeś.

– Peter! – krzyknęła matka. – Przestań!

– Co mam przestać? Friedrich lubi słońce i upał, prawda?

– Chyba tak – mruknął chłopiec, zerkając na grzanekę, która tymczasem wystygła.

– Pozwól chłopakowi mówić! – Ojciec odwrócił się do matki. – To twoje wieczne marudzenie jest nie do wytrzymania! Masz ty pojęcie, z czym ja muszę się zmagać dzień w dzień? Nie wiesz, co nam grozi?

Matka się rozpląkała, tym razem naprawdę pociekły jej łzy, a ramiona unosiły się i opadały.

Friedrich czekał, aż ojciec ją uspokoi, ale tego nie zrobił, wbił tylko zęby w grzanekę, odgryzł kawałek i przeżuwał w milczeniu; przy każdym ruchu w jego policzku drgał niewielki mięsień.

– Czy mogę wstać od stołu? – zapytał Friedrich.

Nikt mu nie odpowiedział, nikt nawet na niego nie spojrział. Zaszurał więc krzesłem, odsuwając je, i zaczął czekać, aż skrzyczą go za takie zachowanie, a skoro nikt się nie odezwał, wstał od stołu i poszedł do swojego pokoju.

Siedząc na brzegu łóżka, próbował zrozumieć, co się stało, czemu ojciec pytał go o upał i dlaczego matka się rozpląkała.

Miał zimne dłonie. Wsunął je pod pachy, a potem przypomniał sobie o rękawiczkach, które dał Isaacowi. Isaac... czy on wciąż tam jest? Na pewno. Bo Anna wróciła, ogrodnik też.

Tyle razy próbował się wymknąć na dwór, ale zawsze łapał go na tym Schmidt, którego obecność w domu dawało się odczuć na każdym kroku. Albo siedział w salonie i pod nieobecność ojca zabawiał matkę – zamiast, jak należy, urzędować w gabinecie – albo myszkował po korytarzach, szukając czegoś, za co mógłby zrugać Gretę bądź Friedricha.

Friedrich nienawidził Schmidta. Nie znosił smrodu tytoniu z papierosów, które Schmidt sam sobie skręcał, i nie mógł patrzeć, jak strzepuje popiół po całym domu i meblach, jakby był u siebie. Nie cierpiał tego, że potrafił doprowadzić matkę do śmiechu ani że jadał z nią kolację, kiedy ojciec był w pracy albo wyjeżdżał.

Schmidt bez trudu potrafił go uwięzić w domu – zamykając drzwi od kuchni i od frontu – ale Friedrich uznał, że tego dnia przechytry leniwego grubasa. Pójdzie porozmawiać z Isaakiem i ewentualnie z Anną, może oni poprawią mu nastrój.

Podjąwszy decyzję, zaczął czekać na trzaśnięcie drzwi frontowych – znak, że ojciec wyszedł do pracy – a potem na powolne kroki matki udającej się do sypialni.

Usłyszawszy, że zamknęła za sobą drzwi, wstał z łóżka i poszedł do łazienki rodziców, gdzie na ścianie obok lustra wisiała szafka; wiedział, co się w niej znajduje.

Musiał podskoczyć, żeby dosięgnąć butelki, o którą mu chodziło – w brązowym flakoniku zagrzechotały maleńkie białe pastylki. Wytrząsnął dwie, potem trzecią, a wreszcie pomyślał o grubym cielsku Schmidta – może przydadzą się jednak cztery? Zastanawiał się przez chwilę. Matka już po jednej

pigułce przesypiała cały dzień, chyba tylko po kłótni z ojcem zażywała dwie, ale wtedy wieczorem schodziła na kolację półprzytomna i nie była sobą.

Dwie. Tyle wystarczy. Wrzucił pozostałe dwie z powrotem do buteleczki i zszedł na parter do kuchni.

– Mogę prosić o gorącą czekoladę? – zwrócił się do Anny, która zmywała naczynia, wyglądając przez okno. Gdy się odezwał, podskoczyła i odwróciła się do niego.

– Mogę? Proszę – powtórzył, próbując zdobyć się na jak najsłodszy uśmiech.

– Powinna to zrobić Greta. – Anna zerknęła na drzwi kuchenne, jakby ktoś miał przez nie wejść.

– Gdzie ona jest? – zapytał Friedrich.

– Twoja matka wysłała ją na targ.

– Wobec tego sama musisz się tym zająć. Proszę.

– Nie wolno mi – odparła szeptem. Zobaczył, że jej oczy zaszkły łzami.

– Nie denerwuj się. – Podszedł do niej tak, jak zbliżyłby się do matki, gdyby mu na to pozwoliła. Objął ją w talii i uściskał szybko. – Czym się tak denerwujesz? Nie potrafisz zrobić gorącej czekolady? Ja umiem, jeśli chcesz, mogę cię nauczyć.

Odsunął się i zobaczył, że Anna się do niego uśmiecha.

– Potrafię – odparła. – Zaczekaj w salonie, przyniosę ci.

– Nie ma potrzeby. – Usiadł przy kuchennym stole. – Zaczekam tutaj.

Patrzył, jak Anna wlewa zimne mleko do garnuszka, stawia go na ogniu, a potem wsypuje łyżeczką sproszkowaną czekoladę i ją miesza.

– Nie widziałem cię od wieków – powiedział. – Gdzie byłaś?

Zawahała się.

– Trochę ludzi zachorowało, więc twoja matka uznała, że lepiej, żeby nie przychodziła do domu, bo mogłabym cię zarazić.

– Słyszałem, jak ojciec mówił, że ludzie umierają. Czy to w tym samym miasteczku, w którym mieszka Isaac?

Przytaknęła ruchem głowy.

– Ale on nie zachorował?

– Nie.

– Wiedziałem, że tu jesteś. Słyszałem twoje kroki, różnią się od kroków mojej matki, są takie leciutkie jak myszki albo ducha. Ale kiedy próbowałem cię znaleźć, zawsze gdzieś znikaaś!

– Bo może jestem duchem. – Nalała czekoladę do zielonego kubka i mu go podała.

– Ale nie udało mi się wyjść na dwór i poszukać Isaaca, więc cieszę się, że on też już wrócił.

– Chcesz, żebym na nią podmuchała? – Ruchem głowy wskazała kubek, którego jeszcze nie tknęła.

Chętnie posiedziałyby dłużej w ciepłej kuchni pachnącej stojącą na piecu świeżo ugotowaną zupą jarzynową i pieczonym na drożdżach chlebem, wiedział jednak, że ma zadanie do wykonania.

– Dziękuję, sam podmucharę. Pójdę do salonu. Czy widziałaś dzisiaj Schmidta?

– Kiedy ostatnio widziałam Herr Schmidta, niósł dwa pudła papierów do gabinetu twojego ojca. Pewnie jest tam do tej pory. Czy chcesz, żebym go zawołała?

– Nie! W razie czego sam go znajdę. – Uśmiechnął się do niej. – Dziękuję, Anno.

W korytarzu Friedrich ostrożnie trzymał kubek w jednej ręce, a drugą zapukał do drzwi gabinetu.

– Kto tam? – zabrzmiał donośny głos Schmidta i chłopak od razu się zezłościł: to on jest u siebie, a gabinet należy do jego ojca, jak ten grubas śmie pytać?

Przełknął gniew i odparł:

– Friedrich. Przyniosłem panu gorącą czekoladę.

Otworzyły się drzwi, Schmidt wystawił głowę – jego twarz była bardziej czerwona niż zwykle, a czoło złane potem – i wlepił świńskie oczka w kubek.

– Co pan robi? – Friedrich zauważył ogień palący się w kominku za plecami Schmidta, w powietrzu unosił się swąd palonego papieru.

– Nie twój interes. Dawaj ten kubek. – Schmidt szybko wyciągnął rękę po napój. Chłopak powstrzymał uśmiech, wiedział, że grubas nie oprze się pokusie. – To ja powinienem cię zapytać, co robisz – rzekł, kiedy już wypił pierwszy łyk. Na górnej wardze został mu ślad z czekolady, której nie stał.

– Nic. Bawię się kolejką.

– Dobrze. Grzeczny chłopak. – Schmidt poklepał go po głowie. – Nie wychodź z pokoju. Twoja matka źle się czuje, a ja mam mnóstwo pracy, więc nie hałasuj.

– Tak jest. – Odchodząc, Friedrich usłyszał za sobą dźwięk zamykanych drzwi do gabinetu i zgrzyt przekręcanego w zamku klucza.

Odczekał w salonie godzinę, by mieć pewność, że tabletki, które wsypał do napoju dla Schmidta, zadziałały.

Rzadko wpuszczano go do salonu, było to królestwo rodziców – zarówno po kolacji, jak i po południu, kiedy siadali tu i słuchali muzyki z gramofonu albo czytali książki.

Gramofon fascynował Friedricha. Uwielbiał dźwięki płynące z głośnika przypominającego wielką muszlę z brązu. Zajrzał do niego, rzucił: „Cześć!” i słuchał, jak jego głos odbija się echem w tubie. Chciałby położyć płytę na obracającym się talerzu, umieścić igłę w rowku, tak jak to robili jego rodzice, i poczekać na poprzedzające muzykę trzaski i szum. Wiedział jednak, co by było, gdyby obudził matkę, więc nie uległ pokusie, tylko odszedł od urządzenia.

Gdy tylko zegar szafkowy w korytarzu wybił kolejną godzinę, Friedrich pobiegł do gabinetu i zapukał głośno. Bez odpowiedzi. Zapukał więc ponownie, i jeszcze raz, i czekał. W końcu, upewniwszy się, że Schmidt śpi twardym snem, na palcach przeszedł do kuchni. Przed drzwiami się zatrzymał, nasłuchując, czy nikogo tam nie ma, ale panowała cisza.

Szybko przebiegł przez kuchnię do tylnych drzwi, otworzył je i popędził w kierunku komórki. Czuł, jak chłodny wiatr omiata jego skórę.

– Cześć! – Gwałtownie otworzył drzwi komórki.

Zaskoczony Isaac upuścił coś, po czym ukląkł i zaczął zbierać to z podłogi.

– Przepraszam. – Friedrich schylił się, by mu pomóc, ale Isaac odprawił go ruchem ręki, złożył papiery, które wypadły mu z rąk, i schował je do kieszeni.

– Od jakiegoś czasu się nie pokazywałeś – powiedział.

– Wiem. Ale zabronili mi wychodzić z domu, nawet zamykali drzwi na klucz!

– A dzisiaj je otworzyli?

Friedrich przestąpił z nogi na nogę.

– Tak jakby.

Stary człowiek spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Czy wolno ci wychodzić na dwór?

– No... nikt o tym nie wie, więc przyszedłem.

Friedrich zdziwił się, gdy Isaac wybuchnął śmiechem.

– Powiedziałem coś śmiesznego?

– Jeszcze jak! Chociaż sam nie wiem, dlaczego to takie śmieszne. Może dlatego, że jesteś jeszcze taki młody, a może dlatego, że zaprowadzasz własne porządki.

– Mogę tu trochę posiedzieć i popatrzeć, jak pracujesz? Obiecuję, że będę cicho, po prostu nie chcę wciąż być sam.

– Możesz. – Isaac wskazał mu odwrócone do góry dnem wiadro.

Chłopak podszedł do wiadra i usiadł.

– Ojciec mówi, że już jest wiosna.

– Prawie.

Friedrich patrzył, jak Isaac podważa tylną pokrywę zegarka i zagląda do środka.

– Lubię wiosnę. Lubię, kiedy słońce później kładzie się spać, za to ptaki wstają wcześniej. Gdybym mógł postawić na swoim, zbudowałbym domek na drzewie, żeby był gotowy na lato, kiedy Otto przyjdzie mnie odwiedzić.

– A więc twój przyjaciel cię odwiedzi?

Friedrich pokręcił głową.

– Możliwe. Jeśli ojciec się zgodzi, ale jego ostatnio prawie nie ma w domu, a matka przez cały czas histeryzuje. Nic z tego nie rozumiem.

– Z czego? – Isaac przerwał pracę i zerknął na chłopca.

– Sam nie wiem. Wszystko to jest jakieś dziwne. Te telefony po nocy i to zdenerwowanie matki, kiedy ojciec mnie spytał, czy lubię upały. Poza tym oni stale się kłócą. Matka chce wychodzić i spotykać się z przyjaciółkami, ale ojciec jej nie pozwala, co ją doprowadza do szału. Żyjemy tak, jakbyśmy... bo ja wiem, byli zamknięci w więzieniu.

– W więzieniu, powiadasz? Przecież karmią cię dobrze, masz własne łóżko i możesz się bawić swoimi zabawkami? – Isaac spojrzał na chłopca i uniósł brwi, skłaniając go, żeby sam znalazł prawidłową odpowiedź, tak jak to robili jego nauczyciele.

– No, niby tak.

– Czyli nie żyjesz jak w więzieniu. W więzieniu trzeba pracować, nie wolno się bawić, nie można się najeść i stale jest zimno.

– Byłeś kiedyś w więzieniu? – spytał Friedrich. – To prawda, że jesteś złodziejem biżuterii?

Isaac uśmiechnął się do niego szeroko.

– Nie, nie jestem złodziejem biżuterii. A szkoda. Ale tak, siedziałem w więzieniu.

– A co takiego zrobiłeś? Zamordowałeś kogoś?

Isaac pokręcił głową.

– Nie musisz się mnie bać. Nie zrobiłem nic złego.

Chłopak znowu miał mętlik w głowie. Przez cały dzień był skołowany. Skoro Isaac nie zrobił nic złego, dlaczego trafił do więzienia?

I nagle spojrzał na pasiak Isaaca, na jego zapadnięte policzki i skórę tak cienką, że widać było pod nią niebieskie żyły.

– To miasteczko wcale nie jest miasteczkiem, prawda? – spytał w końcu.

Isaac pokręcił głową.

– I to mój ojciec cię tam wpakował? Do więzienia?

Isaac skinął głową.

– Sprawa jest dużo bardziej skomplikowana. Trwa wojna. Wszyscy są przeciwko mnie. Nie tylko twój ojciec.

Friedrich poczuł się głupio. Jak niemądry chłopczyk, który bawi się swoimi zabawkami i wierzy we wszystko, co słyszy z ust rodziców. Miasteczko, w którym tamci żyją szczęśliwie. I dzięki temu on i jego rodzice są bezpieczni. Wiedział, że nie powinien lubić Żydów. W ogóle nie powinien lubić ludzi z innych krajów, ani czarnych, ani Cyganów. W szkole codziennie rano ślubował wierność Führerowi, czytał też o tym, jak Żydzi i obcokrajowcy szkodzą jego ojczyźnie, a jednak nie czuł do nich nienawiści, z drugiej strony nie miał po temu powodu – prawie ich nie spotykał.

A teraz siedział tu z Żydem i był dla niego miły, chociaż nie powinien. Sam nie wiedział, co o tym myśleć.

– Chcesz mi pomóc z tym zegarkiem? – cichy głos Isaaca wyrwał go z tych skomplikowanych rozmyślań.

Friedrich wstał.

– Chcę – odparł.

Przysunął sobie wiadro bliżej blatu i słuchał, jak Isaac opowiada mu o magii czasu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ANNA

Było późno. Zegar w korytarzu wybił jedenastą, a Anna wciąż siedziała w kuchni i doglądała potraw czekających w piecu na powrót pana.

Greta wyszła do domu wcześniej – przez jakiś czas próbowała ukrywać chrapliwy kaszel, ale w końcu zaczęła płuć flegmą i zwijać się z bólu.

Anna miała zaczekać na powrót Herr Bechera i podać mu kolację, a potem pod eskortą strażnika iść do obozu. A gdyby nie wrócił, miała się przespać na zimnych kafelkach kuchennej posadzki.

W końcu usłyszała warkot silnika samochodu na podjeździe i wstała, lecz zaraz usiadła z powrotem. Czy powinna wyjść mu na powitanie? Czy zaczekać tutaj?

Jego kroki na lakierowanym drewnie odbijały się echem, gdy szedł korytarzem, tupiąc ciężkimi butami. Usłyszała, jak woła Schmidta, a potem dobiegło ją trzaśnięcie drzwi jego gabinetu. Schmidt nadal był w domu? Nie widziała go przez cały dzień. Liesl nie opuszczała swojego pokoju, a chłopiec cichutko bawił się sam i przyszedł tylko po kolację, którą zabrał ze sobą na górę.

Drzwi do gabinetu po raz drugi otworzyły się i zamknęły z hukiem. Rozległ się tupot kroków, który wkrótce ucichł i zapadła cisza. Potem Anna usłyszała muzykę – cichą, kuszącą, a zatem był w salonie. Wstała, przez ścierkę wyjęła ciepły talerz z pieca i postawiła go na srebrnej tacy, położyła sztućce i serwetkę.

Szybko zastukała do drzwi salonu i usłyszała, że ma wejść.

– Anna – rzucił, zaskoczony jej widokiem.

Postawiła przed nim tacę na niskim stoliku. Rozparł się wygodnie na poduchach sofy. Koszulę miał rozpiętą pod szyją, w ręce trzymał szklaneczkę, a na podręcznym stoliku stała na wpeł opróżniona kryształowa karafka z whisky.

– Greta zachorowała – powiedziała ze skruczą. – Ale jutro przyjdzie.

Alkohol sprawił, że jego oczy były już przekrwione i szkliste.

– Czy aby na pewno?

– Powinam już iść. Mam poprosić Herr Schmidta, żeby mnie odprowadził?

– A, Schmidt. – Nalał sobie do szklanki kolejną porcję whisky, wychylił ją duszkiem i powtórzył to jeszcze raz. – Schmidt. Schmidt śpi, Anno. Śpi jak suseł

na kanapie w moim gabinecie. Pracy, którą mu zleciłem, nie dokończył. Moja żona też śpi. A mój syn... on również może śpi, kto to wie?

Anna nie bardzo wiedziała, co powiedzieć czy zrobić. Omiotła wzrokiem pokój i zatrzymała spojrzenie na podobiznie Liesl, wiszącej nad kominkiem.

– Była piękna, prawda? – Ruchem głowy wskazał portret olejny swojej żony.

– Wciąż jest bardzo piękna.

– Już nie – szepnął, po czym się roześmiał. – Usiądź, Anno. – Poklepał poduszkę sofy obok siebie.

Skubnęła zadarty paznokieć i spojrzała na sofę. Becher znów poklepał poduchę. Nie była w stanie zmusić nóg, by się ruszyły.

– Anno? – Poklepał sofę jeszcze mocniej, tak że pyłki kurzu wzbiły się w powietrze i wirowały w świetle lampy.

Mimo że nogi jej drżały, podeszła, usiadła i splotła ręce na podołku jak pensjonarka, która boi się, że zrobiła coś złego.

– Podoba ci się ta muzyka, Anno?

– Jest bardzo ładna.

– To Chopin. Znasz Chopina?

Pokręciła głową.

Oparł się na sofie i udając, że dyryguje nieistniejącą orkiestrą, rozlał whisky ze szklanki.

– Stara ta muzyka. Tak bardzo stara. – Nagle usiadł prosto i odwrócił się do Anny, która wbrew sobie spojrzała na niego. – Powiedz, Anno, czy to nie zabawne, jak przeszłość nas dopada? Że choćby nie wiadomo co, powraca do nas, nawet jeśli tego nie chcemy?

– Ja... ja nie bardzo wiem, o czym pan mówi, Herr Becher – bąknęła.

– Oczywiście, że tego nie rozumiesz. – Westchnął. – Skąd mogłabyś to wiedzieć?

– Chyba powinnam już iść.

– Tak. Pewnie masz rację. Każę któremuś ze strażników na bramie odprowadzić cię do obozu.

Wstała i nagle poczuła coś na nodze. Spojrzała w dół i zobaczyła, że ręka Bechera gładzi jej kolano i wsuwa się pod rąbek sukienki.

– Ładna ta twoja sukienka, Anno. Bardzo ładna. – Uśmiechnął się do niej, błyskając mokrymi od whisky zębami.

Kiwnęła głową i odeszła, czując mrowienie skóry po jego dotyku. Zamykając drzwi, zobaczyła, że znowu dyryguje orkiestrą. Ale teraz już się nie uśmiechał, twarz miał jak wykutą z kamienia.

– Nino – szepnęła Anna. – Nino, śpisz?

Staneła jedną stopą na dolnej pryczy i nachyliła się do twarzy Niny, która spała głęboko; sądząc po drganiu powiek, coś jej się śniło.

– Nino – powtórzyła, na co przyjaciółka otworzyła oczy.

– Coś się stało?

– Ciii! – Anna wdrapała się na pryczę i skuliła obok niej.

– Co się stało? – powtórzyła pytanie Nina.

– Dziś wieczorem. Sama nie wiem. Wydarzyło się coś dziwnego.

– Co takiego?

– Herr Becher. On... – Próbowwała znaleźć stosowne słowa. – Sama nie wiem. Chciał ze mną rozmawiać, a kiedy wychodziłam, położył rękę na mojej nodze.

– Czy on... – Nina nie dokończyła.

– Nie. Nic z tych rzeczy. Ale się boję. Nie chcę tam wracać. Co zrobić, żeby nie musiała już tam chodzić?

Nina głąskała ją po głowie, tak samo jak Anna głąskała ją, gdy Nina się czegoś bała albo martwiła o Kubę.

– Będzie dobrze – pocieszyła ją. – Obyś nie musiała pracować tutaj. Tam się wszystko ułoży. Wystarczy, że będziesz mu schodziła z oczu, a wszystko się ułoży.

Ręka Niny głaszcząca ją po głowie przypominała Annie, że tak samo robił jej ojciec, kiedy była mała. Uspokojona po chwili zasnęła.

Nazajutrz rano Isaac powitał ją szerokim uśmiechem, wyciągając do niej rękę po kawę niczym dziecko, które po raz pierwszy dostaje prezent.

– Czymś się gryziesz – powiedział między łykami.

– Nic takiego. Po prostu się nie wyspałam.

– Kłamiesz – powiedział.

Pokręciła głową i przysiadła na wiadrze, czekając, aż dopije kawę.

– Jak ci idzie z zegarkami?

– Nie zmieniaj tematu. Co się stało?

– Nic, naprawdę. Po prostu myślałam o rodzinie, zdenerwowałam się i tyle. Słowo.

– Opowiedz mi coś radosnego o swojej rodzinie – poprosił Isaac. – Wierz mi, od razu poczujesz się lepiej, tak jak ja, kiedy ci opowiedziałem o Hannah.

– Chyba nic mi nie przychodzi do głowy. – Próbowwała coś sobie przypomnieć, ale szum w uszach po bezsennej nocy nie pozwalał jej się skupić.

– To opowiedz mi jeszcze raz o zabawach z bratem. Mówiłaś, że jeśli wiał wiatr, puszczałiście latawce... opowiedz mi o tym.

Przez chwilę zbierała myśli, a następnie zamknęła oczy, próbując przywołać wizję, jak biegnie na wietrze i śmieje się, gdy latawiec, złapawszy podmuch,

wzbił się w niebo.

– Kiedy miałam dziewięć lat, umarł mój ojciec – zagała. – Rzadko bywał w domu, więc po jego śmierci miałam wyrzuty sumienia, że nie oplakuję go jak należy. Mój brat bardzo za nim tęsknił, ale sądzę, że jego tęsknotę wywoływała raczej myśl o nim, myśl, że mógłby mieć takiego samego ojca jak koledzy. Brat był młodszy ode mnie o dwa lata, ale trzymaliśmy się razem, bo mieliśmy tylko siebie.

– A twoja matka?

– Po śmierci ojca już nigdy nie była taka sama. Zupełnie jakbyśmy za bardzo jej go przypominali, a może życie, jakie wiedliśmy. Łatwiej było jej spędzać czas ze znajomymi albo organizować imprezy, cokolwiek, byleby nie musiała myśleć o nas. Nie miałam jej tego za złe. Kiedy była w domu, kochała nas, to oczywiste, ale w jej oczach widziałam wieczny smutek, więc cieszyłam się, kiedy kazała nam się zajmować sobą przez cały dzień albo oznajmiała, że ciotka przyjeżdża z wizytą.

Latawce... Brat je uwielbiał, więc zbudowaliśmy ich kilka, w różnych kolorach, i codziennie siadaliśmy przy oknie, czekając, aż zerwie się taki wiatr, by można było pobiegać w parku; brat biegł przede mną z latawcem, próbując złapać podmuch, a ja za nim, trzymając sznurek. Puszczanie latawców zawsze miało w sobie coś pasjonującego, niemal niebezpiecznego. Były uwiązane tylko na cienkim sznurku, więc w każdej chwili mogły się zerwać. Gdybym nie popuszczą sznurka ile trzeba, latawiec nie frunąłby jak należy, wpadłby na drzewo i się rozdarł. A gdybym go wypuściła za daleko, poleciałaby za wysoko, złapał silniejszy wiatr i próbował się zerwać, więc dłonie piekłyby mnie od trzymania sznurka.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Isaac siedzi oparty łokciami o stół przed sobą, z kubkiem w dłoniach, i słucha, jakby zdradzała mu, jak zniknąć bez śladu, a nie opowiadała banalną historyjkę z dzieciństwa.

– Widzę to – powiedział. – Widzę, jak biegniesz, jak próbujesz panować nad swoim latawcem. Jest z tobą brat. Zupełnie jakby to było moje własne wspomnienie.

– Nie miałeś dzieci?

– Miałem – odparł. – Syna. Na imię miał Haim, co znaczy „życie”. Tak długo się o niego staraliśmy, że kiedy się w końcu urodził, uznaliśmy to za jeden wielki uśmiech losu.

– Gdzie jest teraz? – spytała, choć wolałaby nie usłyszeć odpowiedzi.

Isaac uśmiechnął się do niej blado, jego oczy zwilgotniały.

– Umarł. W dniu swoich dziesiątych urodzin. Był chorowity... Tamtego dnia, w jego urodziny, zrobiłem dla niego ten prezent... podejdź tu, zobacz. – Ruchem

ręki dał jej znak, żeby się zbliżyła.

Wstała i zrobiła kilka kroków ku niemu. Wyjmował po kolei narzędzia ze swojego woreczka, aż w końcu podał jej coś, co wyglądało na małe nożyk.

– Widzisz, tutaj, na końcu, pod moim inicjałem – powiedział.

Przysunęła narzędzie do słabego światła, ale zanim ujrzała grawerunek, wyczuła pod kciukiem H.S.

Bez słowa oddała mu narzędzie i znów usiadła na odwróconym do góry dnem wiadrze, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– Dowiedziałem się od Hannah. Przybiegła do mnie, tak jak to robiła w dzieciństwie, wzbijając tumany kurzu. Ale takiego krzyku nigdy wcześniej nie słyszałem. Nie krzyczała z radości czy emocji, tylko jak złapane w pułapkę zwierzę, cierpiące z bólu i niepotrafiące znaleźć drogi ucieczki. Gdy tylko ją ujrzałem, gdy tylko usłyszałem jej krzyk, wiedziałem, co się stało. Wiedziałem, że mój syn nie żyje.

Isaac rozplakał się, nie wydając żadnego dźwięku. Wlepił w nią wzrok, nie przejmując się, że z oczu płyną mu łzy. Poczula, że serce podchodzi jej do gardła, ogarnął ją smutek nie tylko z powodu Isaaca, lecz także krzyku jego żony... Sama też kiedyś tak krzyczała.

– Pytałeś mnie kiedyś o narzeczonego – powiedziała. – W dniu, kiedy się dowiedziałam o jego śmierci, krzyczałam tak samo jak twoja żona. Pamiętam, że padłam na podłogę, szarpałam rąbek sukienki, a potem naciągnęłam ją na głowę, jak gdybym mogła to od siebie odsunąć... jakbym mogła od tego uciec.

Isaac wstał i podszedł do niej. Ujął jej dłonie i ścisnął łagodnie, tak jak wtedy, kiedy wieczorem wracali razem do obozu.

Nagle odwrócił się od niej i na kolanach zaczął szukać czegoś obok starego kanistra.

– Co robisz? – spytała, grzbietem dłoni ocierając twarz.

– Poczekaj. Nie ruszaj się.

Po dłuższej chwili zajrzał pod deskę w podłodze i wyprostował się z plikiem papierów w ręce.

– Co to jest? – Wstała, patrząc na trzymane przez niego kartki, zapisane starannym charakterem pisma.

– Znalazłem je – oświadczył z dumą.

– Gdzie?

– Tutaj, w komórce, pod deską podłogi.

– Co to jest?

– Listy, pamiętnik, są nawet rysunki... Spójrz. – Wskazał piękny rysunek trzmiela wachającego różę. – Usiądź, siadaj. – Ruchem ręki wskazał odwrócone

wiadro. – Czytałem je. Niewiele. Może poczytajmy razem? Dzięki temu nie będziemy musieli rozpamiętywać własnych wspomnień, poczytamy o cudzych.

Anna usiadła, serce waliło jej w piersi, jakby odkryli tajne przejście umożliwiające ucieczkę z obozu, i czekała, aż Isaac zacznie czytać.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

J.A.L.

Sierpień 1944

*Miłość to igraszka Czasu: niech kwitnące
Róże wdzięków podcina sierpem zdrajca blady –
Miłości nie odmieniają chwile, dni, miesiące:
Ona trwa – i trwać będzie po sam skraj zagłady².*

Dzisiaj znowu zaczynam od Shakespeare'a. Tym razem od słów miłości, bo własnych znaleźć nie potrafię.

Miłość trwa wiecznie. Czy właśnie to Shakespeare chciał powiedzieć? Mam nadzieję, że to prawda, że miłość potrafi przetrwać nawet taką zagładę, jaka nas teraz dotknęła.

Miłość.

Poznałem znaczenie tego słowa, kiedy byłem mały – najpierw, co znaczy miłość do rodziców i rodzeństwa, a potem także do mojego psa. Jednak każda miłość jest inna, ta do rodziców jest głupio wykorzystywana, jakby mieli mnie kochać na zawsze, a ja ich. Miłość do rodzeństwa była podobna, choć miałem świadomość, że czasami potrafimy się nienawidzić, jeśli uznamy, że któreś z nich nas obraziło.

Miłość do mojego psa Bernarda była całkiem inna. Tak kocha się najlepszego przyjaciela i było to uczucie, o które musiałem dbać. Czasami byłem ciekawy, czy rodzice podchodzą do mnie tak samo.

Bernard rzeczywiście był moim najlepszym przyjacielem na całym świecie. Siostra była o niego zazdrosna, o łączącą nas więź, ale wiem, że ona też go kochała, czasami drzemała z nim, obejmując go za szyję w obawie, że mógłby sobie pójść.

W dzieciństwie nie miałem wielu przyjaciół, nie lubiłem grać w to, w co grywali chłopcy w szkole. Wolałem siedzieć z nosem w książce i wyobrażać sobie opisywane światy, wyobrażać sobie, jak by to było wieść takie życie.

Nikt jednak nie pisał o takim życiu, jakie jest teraz. Nikt nie uprzedzał, że w ogóle istnieje taka możliwość. A nawet kiedy to się zaczęło, kiedy rodzina i przyjaciele znikali w środku nocy, kiedy ojciec stracił pracę i zmuszono nas do noszenia żółtych gwiazd – nawet wtedy wydawało się niemożliwe, byśmy skończyli w taki właśnie sposób.

Kiedy niemieckie wojska wkroczyły do naszego miasteczka na granicy polsko-niemieckiej, przeprowadziliśmy się – najpierw do jakiejś ciotki na wsi, a potem do przyjaciela ojca, także naukowca, który obiecał, że może nas ukryć i zapewnić nam bezpieczeństwo.

Znajomość zarówno niemieckiego, jak i polskiego trochę się przydała. Oznaczała, że nie jesteśmy związani z jednym krajem i że możemy się podawać za kogoś innego.

„Pojedziemy do Francji” – oświadczył któregoś wieczoru mój ojciec, gdy siedzieliśmy w piwnicy jego przyjaciela, od ponad roku stanowiącej nasz dom.

Miał gorączkę, bo przeziębił się od wilgoci na ścianach, pleśni w szczelinach między cegłami i kapiącej wody, która zimą zamarzała.

„Bądź cicho!” – zganiła go matka, przykładając mu do czoła zwilżoną chłodną szmatkę.

On jednak ani myślał przestać. Siedział na łóżku, które dzielił z matką, pochylony nad papierami. Wyrysował na nich mapy, zaopatrzone w daty i godziny kursowania pociągów, które dostał od swojego przyjaciela.

Ja siedziałem z siostrą i młodszym bratem. We trójkę kuliliśmy się na wąskim łóżku, na którym nauczyliśmy się spać pospołu – a że żadne z nas nie śmiało się poruszyć przez sen, wyglądaliśmy niczym mumie w sarkofagu, leżące nieruchomo na wznak, ze splecionymi na piersiach rękami.

Patrzyłem na bazgrzącego szybko ojca; jego długa broda całkiem już osiwiiała, mrużył oczy w okularach w drucianych oprawkach. Przez ostatni rok bardzo się postarzał. Miał dużo więcej zmarszczek na czole i wychudłej twarzy.

„Myślisz, że tata zwariował?” – spytał mnie mój brat Szymon. Jadł tak jak zwykle, wkładał do ust małe kawałki chleba i przeżuwał je powoli.

„Dlaczego nie zjesz tego za jednym zamachem?”. – Siostra wyciągnęła rękę i go szturchnęła.

„Dlatego, że jedząc w ten sposób, mam co robić” – odparł z uśmiechem.

Uwielbiali takie potyczki, choć moja siostra Katarzyna miała prawie dziewiętnaście lat, a Szymon szesnaście. Ja, jako najstarszy, zawsze starałem się ich uciszyć.

„Nie kłóćcie się – powiedziałem. – Wam tylko zabawa w głowie. Jakbyście nie zdawali sobie sprawy z naszego położenia”.

„Ja to wiem – odparł Szymon. – Ale mam pewną teorię”.

„Teorię? Masz mózg wielkości groszku. Wątpię, żeby zmieściła się w nim jakaś teoria” – docięła mu Katarzyna ze śmiechem.

„A żebyście wiedzieli, nie tylko wy macie rozum. Może nie rozumiem matematyki czy filozofii...”.

„Ty nic nie rozumiesz” – wtrąciła Katarzyna.

„Ale – nie ustępował Szymon – mam teorię, że jeśli zachowujesz się jak człowiek szczęśliwy, nawet kiedy jest źle, jeśli nie stracisz poczucia humoru, to przeżyjesz. Bo co zyskamy na tym, że stale będziemy poważni i wystraszeni?”. – Wrzucił do ust kolejny okruszek chleba z taką miną, jakby delectował się wyborną czekoladą.

„Oboje jesteście stuknięci” – orzekłem, kręcąc głową, i znów spojrzałem na ojca, który szepnął coś do matki, a ta się uśmiechnęła.

„Jedziemy do Anglii!”. – Ojciec nagle usiadł prosto i spróbował wstać z łóżka; jego chude nogi wyglądały jak ołówki w spodniach. Chwiejąc się, stanął w szlafroku narzuconym na koszulę, sweter i spodnie i z jarmużką na głowie.

Szymon trącił mnie łokciem i zachichotał.

„Mówiłem ci, zwariował” – szepnął.

„Słuchajcie, posłuchajcie mnie wszyscy. Pojedziemy do Francji, a stamtąd do Anglii. Wszystko już rozpracowałem. Każdy szczegół”. – Pomachał do nas papierami.

Wziąłem od niego jedną kartkę i ujrzałem wielkie koło z wychodzącymi z niego i wchodzącymi kreskami; tu i tam na marginesie widniały nabazgrane notatki. Spojrzałem na matkę, której oczy napełniły się łzami.

Szymon wziął ode mnie kartkę, ale nie zażartował, tylko przestraszony spojrzał na mnie i Katarzynę.

„Tak, tato, właśnie tak zrobimy” – powiedziałem. Wstałem z posłania, zaprowadziłem ojca do jego łóżka, położyłem i nakryłem kocami. Na czole położyłem mu wilgotną szmatkę i potakiwałem, kiedy coś mamrotał w malignie.

Wkrótce zapadł w sen.

Matka siedziała obok niego na jednym z dwóch drewnianych krzeseł, śpiewała modlitwy, po twarzy cicho płynęły jej łzy, a on spał.

„Źle z nim, prawda?”. – Katarzyna zwinęła się w kłębek na brzegu naszego łóżka, a Szymon przestał skubać chleb.

Skinąłem głową.

„Czyli nie pojedziemy do Francji?” – zapytał Szymon.

„Nie”.

„Tutaj będziemy bezpieczni. – Katarzyna przysunęła się do niego i objęła go. – Dotychczas nic złego nas nie spotkało i tak pozostanie”.

Pamiętam, że siedząc na drugim krześle, przenosiłem wzrok z brata na siostrę, a potem na rodziców. Musiałem znaleźć dla nas jakieś wyjście z tej sytuacji, musiałem zapewnić nam bezpieczeństwo.

Ale jak?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ISAAC

Isaac przestał czytać. Na twarzy Anny odbijały się emocje, które i on czuł – strach, smutek.

– Co było dalej? – spytała Anna.

– Dalszy ciąg będziemy czytać jutro – odparł.

– Co złego w tym, że chcę przeczytać więcej? Ten twój głos, te słowa... sama nie wiem...

Pokiwał głową.

– Wiem, o czym mówisz. Mamy wrażenie, że to jest nasza historia, że wszystko to sami chcielibyśmy wyrazić.

Anna wzięła pusty kubek ze stołu.

– Jutro?

– Jutro – obiecał i odprowadził ją wzrokiem, gdy szła ścieżką do domu, gdzie pierwsze światła rozjaśniły ciemne wnętrza, w których Becherowie czekali na śniadanie, kawę i rozpalenie w kominkach.

Odłożył papiery do kryjówki i wyjął części z zegarków, które schował, by stworzyć swoje arcydzieło.

Nie zwracając uwagi na woreczek z biżuterią, nad którą miał pracować – usunąć grawerunki, naprawić bransoletki i kolczyki – wrócił do pracy nad zegarkiem dla Anny. Chciał, żeby miała na własność coś pięknego, coś, co zawsze będzie należało do niej.

Wieczorem Isaac wrócił do obozu dosyć zadowolony z dokonań tego dnia. Składanie zegarka szło mu całkiem sprawnie. Zwłaszcza paska, którego części łączył klejnotami i złotymi ogniwami, tak żeby przy ruchu nadgarstka w dowolną stronę zawsze łapał światło.

Siedział z Elijahem w baraku, gdzie zmęczeni, wygłodniali ludzie czekali na wieczorny posiłek. Dzisiaj znów była zupa. Wodnista, z warzywami smakującymi zgnilizną. Po jednej chochli do każdej blaszanej miski i kawałka chleba, którego połowę należało zostawić sobie na śniadanie na następny dzień; do tego dostawali kubek słabej kawy albo wody.

– Nie zniosę tego dłużej. – Elijah rozplakał się nad swoją zupą. – Nie mogę się nawet zmusić, żeby ją zjeść.

– Jesteś chory? – spytał Isaac.

Elijah pokręcił głową.

– Chcę ją zjeść, ale jeśli to zrobię, to zniknie, a ja będę głodny i wściekły, że już jej nie ma.

Isaac spojrział na swoją miskę. W ciągu dnia zjadł trochę chleba, który przyniosła mu Greta – wychudzona i wyniszczona jak on sam, wstrząsana co chwila atakami kaszlu.

– Zjedz swoją, a potem zjesz moją – powiedział.

– Naprawdę? – Elijah otarł twarz rękawem. – Mówisz poważnie?

– Tak. Zjadaj.

Isaac patrzył, jak przyjaciel łapczywie pochłania pierwszą miskę zupy, a potem bierze jego porcję i je już wolniej, jakby siedział w domu przy rodzinnej kolacji, kulturalnie zanurzając łyżkę w płynie.

– Gdzie jest Jan? – spytał Isaac, bo rozglądając się, nigdzie nie zauważył jego surowej twarzy.

– Po południu zabrali go z pracy... że niby mają dla niego jakieś zajęcie czy coś w tym rodzaju – odparł Elijah pomiędzy łykami. – Ale nie wrócił.

Nagle Isaacowi zaschło w ustach.

– Czy innych też z nim zabrano?

Elijah pokiwał głową.

– Kilku. Powiedzieli, że mają dla nich szczególne zadanie.

Godzinę po kolacji prycza Jana wciąż była pusta. Isaac rozejrzał się, jakby mógł go znaleźć gdzieś indziej, jak gdyby Jan grał z nim w jakąś grę.

– Już po nim – powiedział cicho.

Elijah, zbyt zmęczony, by odpowiedzieć, wdrapał się na swoją pryczę i po kilku sekundach już spał. Isaac nie wiedział, co robić. Pytał innych, czy nie widzieli Jana, czy wiedzą, dokąd go zabrano, ale nikt się nie przejmował jego pytaniami. Obchodziła ich nowa plotka – ktoś podobno słyszał, jak strażnicy mówili o Amerykanach, że są coraz bliżej, że na całe Niemcy spadają bomby i że wkrótce zostaną uwolnieni.

Chociaż ze strachu żołądek podchodził mu do gardła, Isaac słuchał, jak żarliwie rozprawiali o wyzwoleniu.

– To prawda, nie może być inaczej. Znacie tego strażnika, tego z blizną nad okiem? – zapytał ktoś.

– Znam go – odparł ktoś inny. – To anioł śmierci. Lubi brać więźniów na tortury, dręczy ich osobiście. Wiem coś o tym, możecie mi wierzyć.

Zadarł kurtkę, odsłaniając grube, pomarszczone blizny.

– Poza tym śmierdział alkoholem, czułem to. Chwiał się, miał szklisty wzrok i nawet mnie nie zauważył, kiedy go mijalem. Gadał akurat z innym strażnikiem, tym młodym blondynem, i mówił, że nadszedł czas, że to się wydarzy niedługo, a wtedy co się z nimi stanie? Niektóre obozy zostały już wyzwolone. Tu też tak będzie, przysięgam wam!

– Chyba że nas wcześniej zabiją – odezwał się ktoś z tyłu i wszyscy umilkli. To był Jan.

Powoli przeszedł przez barak; wyglądał jak duch – zamiast oczodołów miał czarne dziury, a jego twarz była bielsza niż świeży śnieg.

– Nie są w stanie palić zwłok dostatecznie szybko. Pociągi, którymi nas tu zwieźli, są pełne – poinformował ich.

– Pełne czego? – zapytał ktoś.

– Zwłok. Wagony towarowe też są pełne. Kilka dzisiaj przestawialiśmy. Przez cały dzień. Podstawialiśmy je pod piece. Jedzenia też już nie ma. Nie ma co jeść.

Jan podszedł bliżej, czoło miał zlane potem. Isaac usadził go i zaczął mu masować plecy, jak dziecku

– Mówili, że zostało mało czasu. Amerykanie nadchodzą. Ale nie wiem, czy dożyjemy tej chwili.

Zapadła cisza, wszyscy patrzyli na swoje ręce, z których zostały skóra i kości.

– Co jeszcze mówili? – wyszeptał ktoś w końcu. – Może uda nam się uciec?

Jan pokręcił głową.

– Można by spróbować. Ale jak daleko zaszlibyśmy w takim stanie? Jesteśmy ledwo żywi. Równie dobrze to oni mogą skrócić nasze życie. – Wstał i dał się Isaacowi zaprowadzić do łóżka. Położył się i wbił wzrok w pryczę Isaaca nad sobą.

– Jutro muszę robić to samo. Isaacu, nie masz pojęcia, ile ich tam jest. Całe mnóstwo. Zwłoki są zwalone na jedną kupę, tak że nie wiadomo, do kogo należą ręce albo nogi. Mówię ci, jedna wielka płatanina ciał.

Isaac usiadł na skraju pryczy Jana. Zabrakło mu słów. Nie było nic, co mógłby powiedzieć, nic, czym dałoby się zatrzeć to wspomnienie.

Siedział więc, dopóki Jan nie zasnął, a potem siedział dalej, czekając na świt; w głowie kotłowały mu się własne wspomnienia – o synu i Hannah – i nagle zaczął sobie wyobrażać przyszłe wspomnienia, które będzie miał, jeżeli uda mu się przeżyć.

W kolejnych tygodniach umarło ich więcej. Z głodu, na skutek tortur, od ran postrzałowych przy próbie ucieczki. Na terenie obozu zwłoki rzucano na wysokie stosy, wokół których nieustannie brzęczały muchy. Nie polecano im ich

przenosić, w ogóle nic im nie kazano. Zupełnie jak gdyby zawsze tak było i mieli się z tym pogodzić.

Isaac nie wrócił do domu – nie przysłano po niego strażnika ani nie usłyszał, że wyznaczono mu inną rolę. W ogóle nie wysyłano ich do pracy, więc całymi dniami wałęsali się po obozie, czekając, aż coś się wydarzy, a tymczasem jedzenie rzucano im z furmanek. Kto miał szczęście i coś złapał, ten jadł; komu się nie udało, ten głodował.

Strażnicy też się błakali. Niczym wataha zgłodniałych, zagubionych wilków. Z palcami na spuście, gotowi do strzału, tylko patrzyli, kogo by tu pobić.

Isaac w miarę możliwości starał się nie wychodzić z baraku. Rozmawiał z Elijahem, rozmawiał z Janem. Żeby pobudzić umysł, wymyślali różne gry i odliczali upływ czasu, choć dni wlokły się niemiłosiernie. Często myślał o Annie i zastanawiał się, czy jest teraz w domu, czy może i ją zamknięto w obozie. A gdy nie mieli w co grać ani czego opowiadać, kładł się na pryczy i śnił na jawie o życiu poza obozem. W tych marzeniach był nieco młodszy i miał obok siebie Annę, a z drugiej strony chłopca – mniej więcej w wieku Friedricha – który chciał naprawiać zegarki lub, jeśli wiał silny wiatr, biegać i puszczać latawce.

W końcu wybijał sobie te głupoty z głowy i skupiał się na prawdziwych wspomnieniach z przeszłości – o tym, jakim był człowiekiem, o dniach, kiedy nosił syna na rękach, a kiedy czuł się dostatecznie dobrze, o spacerowaniu z synem po łąkach, o tym, jak uczył go mówić, jak uczył go nazw drzew i ptaków.

Szczerze mówiąc, zawsze zdawał sobie sprawę, że jego syn nie nadaje się do tego świata. Od urodzenia był wątkły, miał słabowite, patykowate ręce i nogi, a płakał tak cichutko jak nowo narodzone kocię.

Zarazem jednak był pełen życia – bez przerwy zadawał pytania, jego oczy błędziły po wszystkim, chciał wiedzieć więcej, widzieć więcej. Kiedy Isaac poznał Friedricha i chłopiec też stale o coś go pytał, pragnął mieć rozmówcę i chciał wiedzieć, co dzieje się na świecie, przypominał mu jego syna. To zaś obudziło w nim tę część jego natury, która chciała kogoś kochać, móc się kimś opiekować, tę część, której po śmierci syna i Hannah się wyrzekł.

I chociaż wspomnienie komórki, zegarków i Becherów bladło z każdym dniem, to jednak wciąż myślał o Friedrichu. Martwił się o niego, chciałby móc z nim porozmawiać i zapewnić go, że wszystko będzie dobrze.

Któregoś dnia po południu Isaac siedział na trawie i patrzył, jak tuż za ogrodzeniem obozu drzewa kołyszą się na wietrze. Były tak blisko, blisko,

a zarazem daleko. Zaniósł się kaszlem nabrzmiewającym mu w piersi i poczuł, że przy każdym ruchu bolą go żebra. Było z nim coraz gorzej.

– Schüller? – Stanął nad nim jakiś strażnik. – Chodź ze mną.

Isaac wstał. Musiał odczekać chwilę, aż krew zacznie mu krążyć w ciele, a powietrze wpadnie do płuc. Powlókł się za strażnikiem, który zaprowadził go do domu Becherów, przez cały czas celując mu w plecy, jakby Isaac w każdej chwili mógł uciec.

Na podjeździe stały dwa samochody – czarna limuzyna oraz starsze auto, ciemnoczerwone.

– A, Isaac. – Becher podszedł do niego i ruchem ręki odprawił strażnika. – Wybacz, przez jakiś czas nie byłeś mi potrzebny, aż do teraz. Powiedziałaś mi kiedyś, że potrafisz naprawić wszystko, zgadza się?

– Tak, chyba tak.

– Świetnie. Oto dwa samochody. Kupiłem je dla siebie i chcę, żeby się sprawowały bez zarzutu. Nie są fabrycznie nowe, tylko od przyjaciela. Chcę więc, żebyś zerknął na silniki i wszystko posprawdzał, tak żeby mogły przejechać setki kilometrów bez żadnych niespodzianek.

Isaac spojrział na samochody, a potem na Bechera, który tradycyjnie się uśmiechał; koszulę miał rozpiętą pod szyją, a krawat przekrzywiony.

– A więc załatwione? – Niemiec poklepał go po plecach, co wywołało u Isaaca kolejny atak kaszlu.

Becher cofnął się o krok, zapalił papierosa i wydmuchał dym prosto w twarz Isaaca.

– Nie zawiedziesz mnie, co? Mojego poprzedniego mechanika, cóż... już go tu nie ma, ale to musi zostać między nami, rozumiemy się? Strażnicy byliby zazdrośni, gdyby się dowiedzieli, że kupiłem samochody, od razu by chcieli zarabiać więcej! – Roześmiał się sztucznie.

Isaac doszedł do siebie i otarł łzy wywołane kaszlem.

– Nie jestem mechanikiem – powiedział zwięźle.

– Ale potrafisz naprawiać rzeczy. – Becher zrobił krok w jego stronę, celując w niego papierosem. – Mówiłeś, że wszystko potrafisz naprawić.

Isaac pokiwał głową.

– Ale rzadko naprawiałem samochody.

– Rzadko? Czyli już to robiłeś?

Isaac przypomniał sobie, że kiedyś naprawił traktor, a poza tym pomógł sąsiadowi z samochodem, w którym zatkał się przewód paliwowy.

– Tylko dwa razy.

– Trudno, tyle musi wystarczyć. Jak mówiłem, obejrzyj je. Powiedz mi, czego ci będzie trzeba. Weź części do komórki, wyczyść je i napraw. – Becher machnął

ręką. – Zrób wszystko, co będzie konieczne. Bylebym miał pewność, że mogę im ufać, czy to jasne?

Isaac skinął głową, a Becher wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Wiedziałem, że mogę na tobie polegać. No dobrze, otworzę ci maski. Przyjrzyj im się i bierz się szybko do roboty, tak szybko, jak to możliwe.

Przekręcił kluczyki w stacyjkach. Isaac patrzył, jak silniki ożywają z rykiem. Wydawało się, że w czarnym samochodzie co trzydzieści sekund silnik brzęczy i szczeka, jakby coś o niego uderzało. Policzył czas upływający między tymi dźwiękami – tak, trzydzieści sekund.

Czerwony samochód pracował ciszej, ale słyhać było taki dźwięk, jakby coś szorowało o jakąś część.

Becher zgasił silniki.

– No i?

– Muszę im się przyjrzeć, to zajmie chwilę.

– Tak. No to cię zostawiam – powiedział Becher, ale nie ruszył się z miejsca. Isaac zwrócił uwagę na jego rozbiegane oczy. Omiotły ogrodzenie, bramę i w końcu znów spoczęły na samochodach. – Tak, zostawiam cię – powtórzył Becher i poszedł do domu.

Isaac przez kilka godzin oglądał silniki, próbując pojąć zasadę ich działania. Jego umysł, otepiały z głodu, nie był zbyt sprawny, więc zrozumienie podstaw zajęło mu więcej czasu niż zwykle. Co właściwie powinien zrobić? Przeczyścić gaźnik? Oczyszczyć przewody paliwowe, sprawdzić poziom oleju? Nic więcej nie dostrzegął. Wytarł w płaszczy utyłane smarem ręce i ruszył w stronę komórki. Musiał pomyśleć.

– Dokąd idziesz? Czego ci trzeba? – Becher biegł za nim.

– Muszę się zastanowić nad tymi silnikami – odparł spokojnie Isaac. – Jak z tym zegarem szafkowym. Muszę pomyśleć.

– Tak! Masz rację. Przyniosę ci papier i ołówek, tak jak wtedy, a ty zrobisz te swoje wykresy i wszystko rozpracujesz, tak?

Zanim Isaac zdążył odpowiedzieć, Becher odszedł, a po chwili wrócił, niosąc papier.

– Pamiętaj, masz przyjść do mnie, wyłącznie do mnie, i powiedzieć, czego ci trzeba, jasne?

Isaac skinął głową, wziął papier i ołówek i ruszył do komórki, której nie widział od tygodni.

Chwilę po tym, jak wszedł do środka, wpadła tam Anna i go uściskała.

– Myślałam, że nie żyjesz – powiedziała; jej dolna warga drżała.
– Jeszcze tu jestem. – Zaniósł się kaszlem, więc pomogła mu usiąść.
– Zaczekaj, zaraz wrócę. – Wybiegła z komórki, a tymczasem Isaac próbował wyrównać oddech. – Masz. – Wróciła, w jednej ręce niosąc kubek gorącej kawy, a w drugiej kawałek chleba i sera. – Weź, zjedz i się napij. Wydajesz się bardzo słaby.

Isaac pochłoniął chleb tak szybko, że nawet nie poczuł smaku, usiadł i dopiero gdy popijał kawę, zaczął się nią delectować.

– Jesteś chory – orzekła Anna, marszcząc czoło.

– A ty jeszcze bardziej schudłaś – odparł.

Kiwnęła głową.

– Ale sytuacja się zmienia, nadchodzą Amerykanie – powiedziała z przejęciem. Pomimo ciemnych sińców pod oczami była weselsza niż kiedyś, jak gdyby myśl o Amerykanach napełniła ją nadzieją.

Isaaca korciło, żeby jej wyjaśnić, że mogą nie doczekać ich nadejścia, bo całkiem możliwe, że wcześniej wszyscy umrą z głodu, ale nie chciał jej tej nadziei odbierać.

– To prawda – przyznał krótko.

– Isaacu, tylko pomyśl, że wkrótce nas stąd zabiorą! Odnajdziemy nasze rodziny, pójdziemy tam, dokąd będziemy mieli ochotę.

– A ty dokąd pójdziesz, Anno?

– Byle dalej od Niemiec. Może popłynę do Ameryki. Zabrałabym moją przyjaciółkę Ninę, jej brata i każdego, kto zechce jechać z nami. Będziemy żyli w słońcu, nad morzem, wszystko tam będzie jasne i kolorowe.

Marzenie Anny zdjęło mu ciężar z pleców, więc na chwilę odprężył się i wyobraził ją sobie roześmianą, w czerwonej sukience, z zaokrąglonymi policzkami i pełnym żołądkiem.

– Muszę wracać. – Anna spojrzała na dom. – Frau Becher znów wpadła w histerię, co chwila domaga się czegoś nowego i na wszystkich się wydziera. Wrócę później, dobrze?

Przytaknął ruchem głowy. Gdy wyszła, spojrzał na puste kartki przed sobą i stwierdził, że to nie są papiery, które chciałby teraz zobaczyć.

Wydobycie na czworakach zawiniątka z zapiskami J.A.L. zajęło mu ponad pięć minut. Potem musiał usiąść i uspokoić oddech. Ale gdy dotarł do końca pierwszej strony, pożałował, że w ogóle zaczął czytać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

J.A.L.

Sierpień 1944

Sytuacja znowu się zmieniła. Cóż za paradoks, że tutaj cokolwiek się zmienia – nawet ja, choć całe dni spędzam w pracy, a noce przesypiam, jestem tym zaskoczony.

Wczoraj poproszono mnie o pomoc w kostnicy. Było to niezwykle, więc gdy tylko wyczytano mój numer do tego zadania, zdjął mnie strach. Chciałem wyjaśnić strażnikom, że nie tam jest moje miejsce, że powinienem być teraz w ogrodzie Herr Bechera, przycinać rośliny i kosić ich trawnik.

Mnie i dwóch innych zaprowadzono na tył kostnicy, gdzie na trawie leżało nagie ciało nastoletniego chłopca, który miał sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a obok leżało ciało mniejszego chłopca, mające niecały metr.

„Dziwolągi – rzucił strażnik i kopnął stopę wyższego chłopca. – Obaj mieli po piętnaście lat. Wyobrażacie sobie piętnastolatka, który rośnie pod samo niebo, i drugiego w tym samym wieku, który nie odrósł od ziemi?”

Zapałił papierosa i wydmuchał taką chmurę dymu, że przez mgnienie oka oba ciała spowiła mgiełka, jakby to był tylko sen, a raczej senny koszmar.

„Widzicie tamte beczki? – Wskazał dwie wielkie kadzie, z których buchała para. – Wsadźcie ich do nich, a potem usiądźcie i zaczekajcie, aż całe ciało oddzieli się od kości. Wtedy wyciągnijcie ich i połóżcie na ziemi. Tylko pilnujcie, żeby woda wciąż się gotowała, dorzucajcie węgla, żeby ogień nie zgasł. Nie macie pojęcia, ile czasu zajęło mi rozpalenie go dziś rano”.

Poczułem wymiociny podchodzące do ust, poranna kawa i chleb utkwily mi w gardle, kiedy próbowałem je przełknąć z powrotem.

Jeden z dwóch pozostałych nie wytrzymał i zwymiotował na swoje buty. Strażnik z odrazą splunął na ziemię.

„Jutro przyjdą zabrać szkielety, więc musimy się z tym uporać dzisiaj”.

„Dokąd one trafią?” – spytałem, zaskakując samego siebie. Czekałem na nieuchronny cios jego pięścią albo pałką.

Ale strażnik najwyraźniej miał ochotę pogadać, jego oczy zdradzały, jaki jest przejęty.

„Do muzeum Führera! Gdzieżby indziej? Będzie miał szkielety każdego żydowskiego dziwadła, jakie się narodziło! Macie pojęcie? Całe muzeum pokazujące prawdę! Kiedy je skończymy, będzie na co popatrzeć”.

Co rzekłszy, cisnął niedopałek papierosa na ziemię i przydeptał go czarnym butem.

„Będę tam. – Wskazał na wieżę strażniczą. – A jakby mnie nie było, to będzie ktoś inny”.

Wiedzieliśmy o tym, więc tylko pokiwaliśmy głowami. Zawsze ktoś nas pilnował, ktoś z karabinem w rękę, pod byle pretekstem gotów pociągnąć za spust.

„On mówił poważnie?” – spytał mnie ten, który nie zwymiotował.

„Nie wyobrażam sobie, żeby mógł żartować” – odparłem. Jeszcze raz zerknąłem na nagie ciała chłopców. Ich kości łonowe sterczały, wokół napiętej skóry na żebrach krążyły już muchy.

„Nie dam rady” – wyjąkał ten drugi.

„Nie mamy wyboru” – powiedziałem.

We trzech wspólnymi siłami podnieśliśmy ciało wysokiego chłopaka i zataszczyliśmy je pod kadzie z gorącą wodą. Zostawiliśmy je tam i to samo powtórzyliśmy z jego mniejszym kolegą, tak lekkim, że pewnie sam dałbym radę go przenieść.

„Powinniśmy im nadać imiona” – zasugerowałem.

„To odrażające. Po coś powiedział coś takiego?” – rzekł ten, który wymiotował.

„Zasługują, żeby mieć imiona, zanim ich tam włożymy. Zasługują, żeby myśleć o nich jak o ludziach”.

„Niech ci będzie – rzekł ten odporniejszy. – Wysokiemu możemy dać moje imię, Alexander”.

„A temu małemu możemy dać moje – powiedział drugi. – Jeremiah”.

Skinąłem głową i zmówiłem krótką modlitwę za nich dwóch. A potem wspólnie wsadziliśmy zwłoki do kadzi z wrzącą wodą.

„Nie zmieścili się całkiem” – zauważył Alexander. Zajrzałem do kadzi i zobaczyłem, że głowa jego imiennika wystaje ponad wodę.

„Musimy ich czymś obciążyć” – powiedziałem.

Wyciągnęliśmy zwłoki z powrotem, czując ciepłość ich skóry, jak gdyby w wodzie ożyli na nowo. Z trudem przymocowaliśmy do ich stóp kamienie i znów włożyliśmy ich do kadzi. Tym razem obaj poszli pod wodę.

„I co teraz? – zapytał Jeremiah. – Będziemy patrzyli, jak się gotują?”.

„Chyba tak”. – Usiadłem obok kadzi i przegrzebałem palenisko kijem, który nam zostawili razem ze stertą węgla i kilkoma kawałkami drewna na podpałkę.

Próbowałem nie myśleć o chłopcach w wodzie. Próbowałem nie myśleć o ich rodzicach, którzy będą zachodzili w głowę, co się stało z ich synami.

„Myślisz, że w jaki sposób umarli?” – zapytał Alexander.

„Wolę się nie domyślać” – odparłem.

„Przeprowadzali na nich eksperymenty”. – Z nas trzech Jeremiaś siedział najdalej od kadzi i rozglądał się po obozie.

„Eksperymenty?” – zdziwił się Alexander.

„Jest tu lekarz. To znaczy były lekarz. Kazali mu pracować w jednym z budynków tutaj. Opowiadał, że przeprowadzają eksperymenty na kobietach, mężczyznach i dzieciach. Mówił, że lubią bliźnięta, zwłaszcza te identyczne. Sam widział, jak bliźniaczkom codziennie dawali zastrzyki, po których dziewczynki płakały za swoją matką. Ten widok nie dawał mu potem spać. Chciał je uratować, ale nic nie mógł zrobić, nikt z nas nic nie może na to poradzić”.

„Nie wiedziałem” – mruknąłem. Czułem się głupi, bezużyteczny... jak mogłem o tym nie wiedzieć? Czy byłem ślepy, czy raczej wolałem nie widzieć?

„Podobno pracujesz w domu?” – spytał Alexander, próbując zmienić temat.

Skinąłem głową.

„Jako ogrodnik”.

„Przedtem byłeś ogrodnikiem?”.

„Studentem. I jeszcze wrócę na studia”. – A potem spojrzałem na kadzie i zdałem sobie sprawę, że prawdopodobnie już nigdy nie będę tym samym człowiekiem.

Pozwolili nam zjeść obiad. Cienką zupę w kantynie, a przez ten czas dwaj inni pilnowali gotujących się ciał.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy nie mogłem nic przełknąć. Jeremiaś i Alexander też nie. Mój brzuch burczał i jęczał z głodu, nawet moja ślina nie przejmowała się tym, co widziałem, tylko napływała mi do ust, czując zapach jedzenia. Jednakże między moim głodem a sercem wystąpiła blokada. Nie mogłem – i nie będę – dziś jeść. Przynajmniej tyle mogłem zrobić dla tych chłopców w wodzie.

Kiedy wróciliśmy do kadzi...

Chyba nie jestem w stanie tego opisać.

Ale wiem, że muszę. Muszę o tym napisać. Muszę wyjaśnić, co się tutaj dzieje... ale widok, dobry Boże, ten widok, który zastaliśmy po powrocie...

Dwóm ludziom, którym kazano pilnować wody, żeby nie wystygła, nie wyjaśniono, co znajduje się w kadziach. Teraz żałuję, że im nie powiedziałem, że próbowałem uchronić ich od tej wiedzy.

Obaj jedli. Jedli kawałki mięsa, które odpadły od kości i unosiły się na powierzchni wody.

Tym razem zwymiotowałem. Alexander popędził do nich, wymachując rękami. Nie słyszałem, co im powiedział, być może ostrzegł ich, że napytają sobie kłopotów. Tak czy owak, gdy tamci dwaj mnie mijali, nie wyglądali na takich, którzy wiedzą, co zrobili. Ale w nas to wspomnienie zostało na zawsze.

Ostatni wpis zrobiłem tydzień temu. Ale mam wrażenie, że minęło dużo więcej czasu.

Po tym, co wydarzyło się w ubiegłym tygodniu, nie potrafiłem znaleźć słów, ani w mowie, ani na piśmie. Zupełnie jakby kotłujące mi się w głowie obrazy sprawiły, że oniemiałem.

Kiepsko sypiałem. W moich snach stale pojawiała się woda, a czasami też lekarz, który nachyla się nade mną i próbuje zrobić mi zastrzyk.

Alexander i Jeremiah też nie mogą spać. Widzę, jak krążą po obozie niczym żywe trupy, jak gdyby tamtego dnia w każdym z nas coś umarło.

Nie pojmuję tylko, że nadal słyszać brzęczenie pszczoł, świergot ptaków i widać kolory kwiatów. Jak to możliwe, że wszystko toczy się swoim biegiem, jak gdyby wokół nas nie rozgrywał się istny koszmar?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ANNA

Marzec 1945

Od tygodni nie czuła się tak lekko na duszy. Ponowne spotkanie z Isaakiem, pogłoski o zbliżaniu się Amerykanów – wszystko to przepełniło ją szczęściem, którego nie potrafiła ukrywać. Greta poczuła się trochę lepiej, wróciła do pracy na pół dnia i znowu zaczęła jej matkować, pilnować, żeby jadła i piła.

Anna nie bała się już Liesl, wykrzykującej coraz to nowe żądania, nie przejmowała się też, że Herr Becher coraz częściej jest w domu i zamyka się w swoim gabinecie, zawsze cuchnąc alkoholem, a kominki palą się tak, jakby ktoś stale dorzucał do ognia, choć nigdy tego nie widziała.

Zaskoczyło ją przybycie samochodów. Żaden nie był nowy i błyszczący jak te, które mieli wcześniej – oba były trochę zużyte, obtłuczone i przeciętne.

Ale to dzięki nim Isaac wrócił, powiedziano mu, że ma je naprawić. Miał spowodować, że będą sprawowały się bez zarzutu. Dlatego teraz nie leżały przed nim zegarki, tylko części samochodowe; drżące dłonie miał wiecznie ubrudzone smarem, a paznokcie czarne.

Anna zaparzyła kawę dla Liesl i zniosła jej do pokoju. Zapukała cicho do drzwi, ale nie liczyła na reakcję, myślała, że zostawi tacę przed drzwiami. A tymczasem usłyszała zza drzwi słabe, błagalne: „Proszę”.

Nacisnęła klamkę. Liesl nie leżała w łóżku, stała ubrana. Jej piersi rozsadały jedwabną sukienkę, a rozczochrane włosy opadały splątanymi lokami na kark.

Nie odwróciła się, nie spojrzała na Annę, tylko przeglądała się w lustrze; wokół wały się sukienki i spódnice, jak gdyby przymierzała całą garderobę, ale nic nie przypadło jej do gustu.

– Przyniosłam kawę. – Anna postawiła filiżankę na nocnym stoliku i chciała wyjść.

– Spójrz na mnie. – Liesl się odwróciła. Oczy miała zapuchnięte i czerwone, a policzki usmarowane szminką, którą próbowała zetrzeć grzbietem dłoni.

Anna wykonała polecenie. Ramiona Liesl, pulchne u góry, zwężyły się aż do miejsca, w którym nadgarstki łączyły się z drobnymi jak u dziecka dłońmi. Skórę na udach miała pofałdowaną, a na kolanie widniał siniak.

– Co ja mam zrobić? – spytała. – Popatrz na mnie. Czy tak wygląda kobieta, która może to przeżyć?

– Myślę, że potrafimy przeżyć niejedno – zaryzykowała Anna.

– Ty potrafisz – syknęła Liesl i znowu przejrzała się w lustrze.

– Nie będę pani przeszkadzała w ubieraniu się. – Anna wycofywała się tyłem, szukając ręką klamki za plecami.

– Kiedy byłam młodsza... zaraz, ile ty masz lat?

– Dwadzieścia dziewięć – odparła Anna.

– Tak, kiedy byłam mniej więcej w twoim wieku, miałam wszystko. Mężczyźni mnie pragnęli, każdy z nich, a ja nie śpieszyłam się z wyborem. To nie to samo co wybieranie sukienki, szminki czy nawet biżuterii, to coś więcej, trzeba mieć pewność. Ale nie przeczę, podobały mi się ich zaloty. – Liesl uśmiechnęła się do siebie, usiadła na krześle przed toaletką, otworzyła niewielką złotą papierośnicę, wyjęła długiego, cienkiego papierosa i przypaliła go drżącą ręką.

Anna nigdy nie widziała jej palącej i jej mina najwyraźniej zdradzała zaskoczenie.

– A to... – Liesl machnęła papierosem. – Kiedyś paliłam, za młodu. Ale potem rzuciłam, bo mąż powiedział, że to prostackie. – Znów się uśmiechnęła, prezentując plamę ze szminki na zębach, po czym zaciągnęła się głęboko i wypuściła chmurę dymu.

– Może ma pani ochotę coś zjeść? – spytała Anna. Namacała już klamkę i tylko czekała, żeby ją nacisnąć i wyjść.

– Wszyscy mnie pożądali. – Liesl zapatrzyła się na dym, jakby kryły się w nim jej wspomnienia. – Wszyscy. Prawnicy, arystokraci, mężczyźni bogaci i wpływowi. No, ale się zakochałam. Kochałaś kiedyś kogoś?

Anna nie odpowiedziała.

– Tylko spójrz na siebie! – Liesl odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. – Te rączki jak patyczki, piersi płaskie jak u dziecka. A ja, ja byłam olśniewająca. Owszem, byłam smukła, ale nie za chuda. – Strząsnęła popiół na podłogę i roztarła go dużym palcem u nogi; czerwony lakier na paznokciu już dawno podpryskiwał. – Uwielbiał mnie taką, jaka byłam, nigdy nie miał mnie dość. Na szczęście właśnie wtedy doszedł do władzy Führer i zrobił z niego wschodzącą gwiazdę! Bo wcześniej on był nikim, ale wkrótce stał się zaufanym człowiekiem, a ja poleciałam na to jak słońce przyciągany przez słońce. No ale to co dobre, ma swój kres. Friedrich wszystko zmienił... On już nigdy nie patrzył na mnie tak jak wcześniej, przez rok od porodu nawet mnie nie dotknął. Wiesz, byłam matką, straciłam status nowej żony. Zostałam tylko matką.

– Friedrich panią kocha – zauważyła Anna, przekonana, że powinna coś powiedzieć o chłopcu.

– Coś takiego? – Liesl wyglądała na zdziwioną; zgasiła papierosa na blacie toaletki. – Nie znoszę, jak tak patrzy na mnie tymi swoimi smutnymi oczami. Zupełnie jakby stale czegoś ode mnie chciał. Nosiałam go w swoim ciele, dałam mu życie. Czy to nie wystarczy?

Liesl wstała i znów podeszła do lustra, przesuując rękami po biodrach i przekrzywiając głowę na bok.

– Muszę znaleźć coś do ubrania – mruknęła.

Anna odebrała to jako sygnał do odejścia, więc wyszła szybko; gdy tylko znalazła się na zewnątrz, jej oddech przyśpieszył. Postanowiła, że kolejną kawę dla Liesl zanieśie Greta, bo ona drugi raz tego nie wytrzyma.

Po południu Anna stwierdziła, że jej myśli biegną do Piotra, ale oczami wyobraźni widziała jego twarz razem z twarzą Isaaca; jego głos również był głosem Isaaca. Usiłowała się skupić na myciu okna w jadalni i tylko co jakiś czas wyglądała do ogrodu. Zobaczyła wtedy przeskakującego z gałęzi na gałąź rudzika, śpiewającego z dumnie wypiętą czerwoną pierśią. Przełknęła ślinę, uchyliła odrobinę okno i zawołała ptaka. Podleciał bliżej i usiadł na brzegu kamiennej donicy, trzepocząc skrzydłami, i patrzył na nią maleńkimi czarnymi oczkami.

– Piotrze? – szepnęła.

Ptak jeszcze raz zamachał skrzydełkami, a potem pożegnał ją szybkim trelem i odleciał w gęstwinę drzew.

Zamknąwszy okiennicę, usiadła na ławce pod oknem. Było jej głupio, że rozmawiała z ptakiem – ulubionym gatunkiem Piotra. Gdyby była tu jej matka, powiedziałyby, że to znak: Piotr przyleciał, by pokazać jej, że jest cały i zdrowy i że to dobrze, że w myślach zastępuje jego twarz twarzą kogoś innego.

W piersi Anny narastał gniew – coś, czego nie potrafiła zdławić. Piotr ją opuścił, by działać w ruchu oporu, w rezultacie zginął w łapance, a ona została bez niego, sama jak palec. Nagle zobaczyła, że w ogrodzie ktoś jest. To Isaac powoli wyszedł zza komórki. Przystanął przy kępie żonkili, by dotknąć ich płatków, po czym wrócił do komórki, Anna zaś nie czuła się już tak całkiem samotna.

Wieczorem w obozie panowała niezwykła cisza. Annę prowadzono do baraku w ciemności, bo część reflektorów zgaszono. Potknęła się. Sądziła, że to kamień albo gałąź, ale kiedy spojrzała pod nogi, zobaczyła, że to biała stopa wystająca ze sterty ciał rzuconych jedno na drugie.

Nina nie spała, czekała na nią, i od razu przeniosła się na jej pryczę.

– Nadchodzą. – Nawet w ciemności Anna dojrzała błysk jej uśmiechu. – To dlatego pogasili światła. Przez cały dzień słyszeliśmy spadające bomby. Oni naprawdę nadchodzą, Anno.

Anna poczuła, że nadzieja częściowo ją opuszcza, gdy uświadomiła sobie ich faktyczną sytuację – zwłoki na zewnątrz i to, że nadal są zamknięte w baraku, padając z głodu i zmęczenia.

– Tylko pomyśl, możemy już robić plany. Jak to będzie, kiedy stąd wyjdziemy? Pamiętasz, jak ci mówiłam, że zostanę tancerką? – paplała dalej Nina.

Anna przytaknęła ruchem głowy. Pamiętała. Tylko to im zostało. Wspominały przeszłość, próbowały ją ignorować, próbowały jakoś przetrwać kolejny dzień. Teraz jednak czuła strach zamiast nadziei, którą emanowała Nina.

– Jak to się mówi? – mruknęła. – Cisza przed burzą.

– Co masz na myśli?

– O tym, że oby nie było gorzej, zanim się polepszy.

– Jak może być jeszcze gorzej? Wieczorem nawet nas nie przeliczono, masz pojęcie? Oni się poddają, Anno, to widać. Niedługo znajdziemy Kubę, a ty... – Nina zamilkła.

– Ja też kogoś sobie znajdę – powiedziała Anna, myśląc o Isaacu.

– Nie byle kogo. – Nina objęła ją i przytuliła. – Masz mnie, zawsze będziemy miały siebie nawzajem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

FRIEDRICH

Friedrich wiedział, że matka zachowuje się dziwnie. Na początku był wystraszony, widząc, jak siada do kolacji niekompletnie ubrana albo jak błąka się po korytarzach z papierosem w rękę, w krzywo zapiętej koszuli nocnej. Ale teraz już niemal się z tego cieszył. Kiedy była w takim stanie, wcale nie krzyczała na niego, w zasadzie go nie dostrzegała.

Dlatego kiedy poprosił ją, żeby otworzyła drzwi sypialni położonej naprzeciwko jego pokoju, tej z oknami wychodzącymi na ogród, po prostu dała mu klucz; jej szklany wzrok zdradzał, że w ogóle jej to nie obchodzi.

Nie wierząc we własne szczęście, spojrzął na klucz w dłoni. Nareszcie mógł zobaczyć to miejsce, dokąd co wieczór odprowadzano Isaaca – wreszcie mógł się przekonać, co rodzice próbowali przed nim ukrywać.

Nie tracąc czasu, pobiegł do pierwszych drzwi, ale nie ustąpiły. Jednak klucz pasował do zamka w drugich drzwiach, a kiedy je otworzył, zobaczył pusty pokój z wysokimi oknami, zakurzonymi i brudnymi.

Napluł na rękaw swetra, naciągnął go na dłoń i starł z szyby szary brud.

Najpierw zobaczył komórkę Isaaca. Z okna nie padało światło, ale drzwi były otwarte i zobaczył, że Isaac siedzi w środku na stołku i coś czyści.

Później przeniósł wzrok na szereg drzew za komórką. A potem jeszcze dalej – i dostrzegł drut kolczasty. Pędem wrócił do swojej sypialni po lornetkę, którą przed dwoma laty dostał od ojca na Gwiazdkę. Przy oknie przyłożył ją do oczu i wyregulował ostrość, by móc zobaczyć, co się znajduje za drutem.

Byli tam jacyś ludzie, poruszali się powoli, a wszyscy mieli na sobie takie same pasiaki jak Isaac i Anna. Zobaczył stojących na wieży strażników z karabinami w rękach.

Popatrzył na lewo, potem na prawo – tam zobaczył siedzące na piachu i grające w coś dzieci; wszystkie były chude jak szkielety, a ich twarze nie różniły się od siebie.

Opuścił lornetkę.

Wypadł z pokoju, zbiegł schodami na parter i popędził do ogrodu na tyłach domu. Minął Isaaca, który patrzył na niego zaskoczony, gdy gnał do drzew na końcu ogrodu i próbował znaleźć jakieś przejście. Nie myślał o tym, co robi,

kiedy już się tam dostanie – wiedział tylko, że musi zobaczyć to z bliska, przekonać się, co się tam dzieje.

Krzaki były jednak zbyt gęste i jego sweter zaczepił o gałąź. Próbując się uwolnić, podrapał sobie całe ciało, po policzkach płynął mu strumień gorących łez.

Nagle poczuł uścisk czyichś rąk, rąk, które go oswobodziły i zaraz potem przytuliły.

Płakał na piersi Isaaca. Ten się nie odzywał, nie pytał chłopca, co tu robi. Pozwolił mu płakać tak długo, aż ten w końcu szlochał wolniej, słabiej i czkając żałościwie, zdołał się uspokoić.

Isaac objął Friedricha ramieniem i zaprowadził przez ogród do komórki, a tam posadził go na swoim krześle i okrył mu kolana kocem.

Friedrich nie wiedział, co powiedzieć. W głowie kotłowały mu się różne pytania, próbował poskładać to w jakąś całość. Isaac znów go nie popędzał, nie pytał, co właściwie się stało, tylko spokojnie czekał.

– Widziałem – odezwał się w końcu Friedrich, spoglądając na Isaaca.

– Wiem.

– Tam są dzieci. Takie jak ja.

– Wiem.

– Ojciec... to on je tam wsadził. Mówił, że są złe, że wy wszyscy to samo zło... i że jesteście niebezpieczni.

Isaac uśmiechnął się do chłopca.

– Ale sam widzisz, że tacy nie jesteśmy.

Friedrich skinął głową i wytarł nos w rękaw.

– Moi rodzice się mylą. Muszę im powiedzieć, że nie mają racji. – Wstał, ale poczuł, jak Isaac kładzie ręce na jego ramionach i popycha go z powrotem na krzesło.

– Nie możesz. To nic nie da, nic a nic. Tu nie chodzi tylko o twoich rodziców, tak myśli mnóstwo ludzi. Gdybyś im powiedział i gdyby się wydało, że jesteśmy przyjaciółmi, byłbym w niebezpieczeństwie.

– A jesteśmy przyjaciółmi? – zapytał Friedrich.

– Oczywiście, że tak!

Na te słowa chłopiec się uśmiechnął.

– Do tej pory miałem tylko jednego przyjaciela, Ottona. A teraz mam dwóch.

– Tak. Masz dwóch przyjaciół.

Od strony domu doleciała ich cicha muzyka.

– Ojciec cały czas puszcza płyty – wyjaśnił Friedrich. – Bez przerwy. Zamyka się na klucz i puszcza muzykę. Greta stawia mu pod drzwiami butelki whisky, a kiedy przechodzę tamtędy kilka minut później, już ich nie ma.

– Idą zmiany – rzekł Isaac.

– Co to znaczy?

– Sam nie wiem. Może tyle, że niedługo będę mógł wrócić do domu. A twój ojciec może będzie musiał poszukać sobie innej pracy.

– Odjedziesz? A myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi?

– Bo jesteśmy. – Isaac kucnął i oburącz ujął dłonie chłopca. – Jesteśmy przyjaciółmi. A kiedyś, kiedy podrośniesz i przyjdiesz do mojego warsztatu, nauczę cię, jak się naprawia zegarki, i będziesz w tym tak dobry jak ja. Potem będziemy spacerowali razem po łąkach, oglądali polne kwiaty, a wieczorem będziemy przesiadywali w moim ogrodzie.

– Będziemy słuchali muzyki, ale nie tej, której słucha ojciec – dodał Friedrich.

– Musiałbym sobie sprawić gramofon, ale tak, będziemy słuchali muzyki.

Friedrich patrzył, jak Isaac wstaje i z grymasem bólu na twarzy chwytą się za udo. Staruszek usiadł na wiadrze i wyprostował nogę przed sobą.

– To nic takiego – powiedział. – Po prostu jestem stary.

– Boli cię tak cały czas?

– Owszem, prawie zawsze.

– Bo tak sobie myślałem... Myślałem o muzyce i o szkole, a tam czasami w radiu grała muzyka i wtedy z Ottonem tańczyliśmy w sali. Ale to była frajda! Więc pomyślałem, że może ty też lubisz tańczyć?

– Ja nie tańczę. – Isaac pokręcił głową.

– Z powodu nogi?

– Dlatego, że nie chciało mi się nauczyć.

– Nie tańczyłeś nawet z kobietą?

– Tylko raz, na własnym ślubie. Ale nie poszło mi najlepiej.

Friedrich zastanawiał się przez chwilę, aż w końcu wpadł na pomysł.

– Myślisz, że Anna potrafi tańczyć? – spytał.

– Nie mam pojęcia. Podejrzewam, że tak, ale to ją musisz zapytać – odparł Isaac.

– Jest twoją przyjaciółką, prawda?

– Jest.

– A myślisz, że ze mną też mogłaby się zaprzyjaźnić? Wtedy mogłaby przychodzić, kiedy będziesz mnie uczył o zegarkach.

Isaac spuścił wzrok na dłonie, nie odpowiedział.

– To nie jest dobry pomysł? – zaniepokoił się Friedrich.

Isaac spojrział na chłopca.

– Jest najlepszy, od wielu lat nie słyszałem równie dobrego.

Friedrich wstał.

- Mam coś ważnego do załatwienia – oświadczył. – Niedługo wrócę.
 - Dokąd idziesz? – zawołał za nim Isaac, ale chłopiec biegł już do domu.
- Friedrich odwrócił się z uśmiechem i pomachał mu; realizował swój plan.

Friedrich wiedział, że ten wieczór matka i ojciec spędzają w mieście – musiał więc tylko uporać się ze Schmidtem. Ale skoro raz już mu się udało, to i teraz sobie poradzi.

Po południu zastał Annę w kuchni i przerwał jej krojenie warzyw na kolację. Greta mieszała coś w garnku na piecu.

– Anno, umiesz tańczyć?

– Wolno ci tu przychodzić? – spytała Greta i obejrzała się przez ramię, jak gdyby jego rodzice stali jej za plecami.

– Greto, ojciec prosi cię do gabinetu, ma ci coś do przekazania.

Powoli poszła w stronę drzwi; na jej twarzy malował się ten sam ból co na twarzy Isaaca, kiedy poruszył nogą.

Friedrich odczekał, aż kucharka, powłócząc nogami, wyjdzie, i wtedy powtórzył pytanie:

– Anno, umiesz tańczyć?

– Kiedyś umiałam.

– A lubisz tańczyć z mężczyzną, kiedy wiruje z tobą po całym pokoju? Lubisz takie tańce?

Roześmiała się.

– Tak, chyba tak. Dlaczego pytasz?

– A tak sobie! – Friedrich wybiegł z kuchni i popędził schodami do łazienki rodziców. Musiał działać szybko.

Kiedy wrócił, Greta rozmawiała z Anną. Zatrzymał się w progu kuchni, żeby im nie przerywać.

– Do Monachium, dziś wieczorem? – spytała Anna.

– Tak powiedział. Jedzie z żoną. Wrócą jutro.

– A co z Friedrichem?

– Schmidt zostanie na noc, żeby go pilnować.

– Dziwnie się czuję w jego obecności. Gapi się na mnie i na wszystko, co jest w tym domu, jakby się zastanawiał, czy chce to mieć, czy nie – powiedziała Anna.

– O, Friedrich. – Greta zauważyła chłopca. – Czego potrzebujesz?

– Jestem głodny – odparł. – Czy mogę dostać kawałek tego ciasta, które upiekłaś wczoraj? Proszę.

– Teraz? – Spojrzała na zegar. – Niedługo będzie podwieczorek.

– Ale matka i ojciec wychodzą. Pewnie nie zostaną na podwieczorku, więc może zjadłbym ciasto już teraz?

Greta pokręciła głową, a chłopiec wstrzymał oddech – musiał zdobyć to ciasto.

– Dobrze, masz. – Ukroiła kawałek sycącego ciasta z owocami i podała mu go na małym talerzyku.

Czmychnął z kuchni do salonu i czekał. Zaatakuje, gdy tylko rodzice wyjdą z domu.

O czwartej rodzice stanęli w progu salonu i oznajmili, że wracają nazajutrz.

– Tylko nie denerwuj Schmidta – przykazał ojciec.

Matka ledwo rzuciła na niego okiem, wpatrzona w drzwi frontowe nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła uciec. Friedrich zauważył, że udało jej się ubrać jak należy, w idealnie dobraną sukienkę, która jednak zupełnie nie pasowała do rozczochranych włosów i zbolątej twarzy.

– Tak. Tak, bądź grzeczny. Peter, jedziemy.

Chłopiec patrzył, jak samochód z szoferem oddala się podjazdem i skręca na szosę. A wtedy zerwał się z miejsca.

Wiedział, gdzie jest Schmidt – tam gdzie zawsze, czyli w gabinecie ojca. Zapukał do drzwi, ale tym razem nie czekał na odpowiedź, tylko zostawił ciasto przed drzwiami; wolał nie ryzykować, że grubas skojarzy swoje poprzednie zmęczenie z prezentem od niego, a tak to pewnie pomyśli, że przyniosła je Anna albo Greta.

Znowu zaczekał w salonie, a kiedy usłyszał dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi gabinetu, na palcach wrócił na górę – talerzyk zniknął.

Greta przyniosła mu kanapkę, którą zjadł przy stole w jadalni, jakby był panem tego domu.

– Greto – odezwał się do niej, gdy odchodziła. – Ojciec kazał powiedzieć ci, żebyś poszła do domu, bo marnie się czujesz. Dodał, że Anna poda mi kolację, a potem Schmidt ją odprowadzi do obozu.

– Tak powiedział, naprawdę? – Spojrzała na niego zdziwiona. – Jesteś pewny?

– Jeszcze jak. Tuż przed wyjściem kazał mi, żebym ci to przekazał. Powiedział, że sam mam to załatwić, bo on nie ma czasu zajmować się moimi sprawami.

Chyba mu uwierzyła, bo kiwnęła głową i wróciła do kuchni. Wkrótce zobaczył ją przez okno jadalni, jak szła w zapiętym pod szyję płaszczu i w kapeluszu na głowie.

Gramofon był ciężki, więc sporo czasu zajęło mu przeniesienie go z salonu do jadalni, której okna wychodziły na ogród i która sąsiadowała z kuchnią. Kiedy już go ustawił, wrócił biegiem i spoconymi rękami wybrał płytę ze zdjęciem kobiety na okładce; pamiętał, że tę muzykę jego matka puszczała przed laty.

Właśnie usiłował umieścić czarną błyszczącą płytę na talerzu, gdy naraz usłyszał, że otwierają się drzwi gabinetu.

Wstrzymał dech, płyta zawisała nad gramofonem. Ale nie rozległy się kroki, nikt też nie krzyknął.

Usłyszał tylko czyjeś chrząknięcie, a potem drzwi gabinetu znów się zamknęły.

Schmidt nie zjadł jeszcze ciasta!

Friedrich odłożył płytę. Musiał się pozbyć Schmidta, ale jak? Był pewny, że grubas zje ciasto, i nie wątpił, że proszki nasenne zadziałają tak jak poprzednio. Musi tylko poczekać.

Nagle z gabinetu doleciał jakiś łomot, jakby z półki z książkami spadł ciężki tom.

Anna przybiegła z kuchni i zobaczyła Friedricha.

– Co się stało?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Coś w gabinecie.

Anna zerknęła na gramofon i wyszła szybko. Friedrich deptał jej po piętach.

Zastukała do drzwi gabinetu raz, dwa razy i trzy, ale bez skutku.

– Może powinniśmy tam zajrzeć? – podsunął chłopiec. – Tak na wszelki wypadek.

Sięgnęła do klamki, ale cofnęła rękę.

– Daj, ja to zrobię. Wejdę pierwszy. W razie czego jeśli się wydrze, to na mnie. Zresztą stale to robi.

Anna kiwnęła głową na znak, że się zgadza, więc energicznie otworzył drzwi. Zobaczył Schmidta leżącego twarzą w dół na dywaniku przed biurkiem ojca; grubas chrapał, z ust ciekła mu ślina.

– Och! – jęknęła Anna za jego plecami. – Coś mu się stało!

– Nie! Nic mu nie jest. – Wypchnął ją z pokoju, zamknął drzwi i zastawił je własnym ciałem, żeby nie mogła wejść. – On tylko śpi. Stale to robi, zwłaszcza kiedy ojca nie ma w domu.

– Śpi? Na podłodze? – Anna wzięła się pod boki.

– Tak. Ojciec zabronił mu spać na kanapie, bo nie jest jego, więc kiedyś widziałem, jak kładzie się na podłodze i śpi. – Miał ochotę roześmiać się na myśl, że potrafi kłamać jak z nut. Żałował, że nie ma Ottona, by mógł docenić jego biegłość w tej materii.

– Jesteś pewny? Może na wszelki wypadek wezwijmy lekarza?

Mimo zatroskanej miny nie ruszyła do telefonu, a Friedrich zdał sobie sprawę, że chciała mu wierzyć.

– Wiesz co, Anno. – Wziął ją za rękę i odprowadził byle dalej od gabinetu. – Dajmy mu pospać. Wiesz, że z niego zrzęda. Jeśli zrobimy z tego aferę i go obudzimy, to wyobraź sobie, jaki będzie wściekły.

Zostawiła go w korytarzu i wróciła do kuchni; chłopiec zauważył, że gdy rodzice wyjechali, a Schmidt nie stanowił już zagrożenia, chodziła z wyżej uniesioną głową.

Podszedł do gramofonu i nastawił płytę. Potem zapalił w pokoju świece, zasunął zasłony i na ile mógł, przesunął wielki stół bliżej ściany, by zrobić więcej miejsca na środku.

Cofnął się i spojrzał na swoje dzieło – uznał, że jest wspaniale, w sam raz dla króla i królowej.

Gdy Friedrich otworzył drzwi komórki, Isaac wciąż majstrował przy gumowym przewodzie, dmuchał do środka i wycierał go czarną szmatą.

– Chodź ze mną – powiedział, na co Isaac spojrzał na niego.

– Dokąd?

– Niespodzianka. Proszę cię, chodź.

– Nie mogę. Muszę to skończyć dla twojego ojca. – Podniósł gumowy przewód. – To od samochodu, tędy płynie paliwo. Był dziurawy.

– Ojciec i matka pojechali do Monachium. Dziś już nie wrócą. Proszę cię, Isaacu. Zrób to dla mnie, a obiecuję, że dopóki będziemy przyjaciółmi, do końca życia o nic już cię nie poproszę. Błagam!

Chłopiec prawie dopiął swego, był już tak blisko. Ale nie przewidział, że Isaac może mu odmówić.

– Chodzi o Annę! – rzucił nagle. – Jesteś jej potrzebny!

– Annie? – Isaac wstał i spojrzał na dom. – A mówiłeś, że to jakaś niespodzianka?

– Bo tak jest. No prawie. Śpieszyłem się, wszystko mi się poplątało. No, ale chodzi o Annę, ona cię potrzebuje. Proszę.

Isaac wolno pokiwał głową i poszedł za chłopcem do domu. Weszli drzwiami od kuchni, gdzie Anna w wielkim zlewie prała pościel; rękawy jej brązowej roboczej sukienki pociemniały od ściekającej po nich wody.

– Co się stało? – Okręciła się na pięcie, chlapiąc wodą na kafelki podłogi.

– Chodźcie ze mną. – Friedrich wyciągnął do nich ręce, a oni posłusznie ujęli jego dłonie i dali się zaprowadzić do jadalni.

Gdy weszli, Annie zaparło dech w piersi.

– To tym się zajmowałeś?

Friedrich puścił ich ręce i ustawił igłę na płycie. Rozległa się spokojna melodia grana na saksofonie, a wkrótce dołączył cichy akompaniament fortepianu.

– Dla was. Do tańca. Matka była szczęśliwa, kiedy ojciec z nią tańczył. A ja tańczyłem to w szkole z Ottonem. Pomyślałem, że wam się spodoba.

Stali jak skamieniali, wpatrując się w niego.

Źle to sobie wykombinował, zupełnie mu nie wyszło. Oni nie chcieli tańczyć, nie spodobała im się jego niespodzianka.

Poczuł napływające do oczu łzy, gdy nagle Anna podeszła, schyliła się i go objęła.

– Dziękuję – szepnęła mu do ucha załamującym się głosem. – Dziękuję. Jest doskonale.

Rozległ się głos kobiety – głęboki, dźwięczny, śpiewający po angielsku, więc Friedrich nie rozumiał słów.

Isaac nadal stał bez ruchu. Friedrich patrzył, jak Anna podchodzi do niego i oburącz ujmuje jego dłonie.

– Można prosić do tańca? – zapytała.

Powoli, powolutku Isaac objął Annę i oboje zaczęli się kołysać w rytm muzyki; poruszali się bezszelestnie, ostrożnie. Friedrich usiadł na krześle i im się przyglądał. W zaciemnionym pokoju migotanie świateł sprawiało, że cienie również tańczyły, jakby w pokoju było więcej tancerzy poruszających się w rytm piosenki Billie Holiday – bo tak według matki nazywała się śpiewaczka, która teraz doprowadziła Annę do łez.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

ISAAC

Kwiecień 1945

Isaacowi śniło się, że jest z Hannah. Tańczyli wiosną na łące, muzyka płynęła z nieba, głęboki i dźwięczny głos kobiety, której akompaniament fortepianu pomagał prowadzić melodię.

Był z nimi ktoś jeszcze – dziecko, chłopiec; trzymał się ich obojga i miał oczy Hannah. Isaac poczuł ciepło i przepełniające go szczęście.

Podczas tańca Hannah się do niego nie odzywała. Obejmowali się mocno.

Po przebudzeniu poczuł się osamotniony. Było mu zimno, miał zdrętwiałe palce i uświadomił sobie, gdzie się znajduje.

– Mamrotałeś coś przez sen – powiedział mu Elijah, schodząc z pryczy.

– I co mówiłem?

– Nie wiem, coś tam bełkotałeś. Pewnie wszyscy to robimy. Ale jeszcze nie słyszałem, żebyś ty mówił przez sen.

Isaac chciał coś powiedzieć, ale dostał ataku kaszlu i poczuł, że Elijah delikatnie klepie go w plecy.

– Coraz gorzej z tobą – ocenił.

Jan wychylił się i położył dłoń na czole Isaaca.

– Ma rację. Jest gorzej.

– Nic mi nie będzie. – Isaac chciał wstać z pryczy. – To tylko zwykłe przeziębienie.

Nie protestował, kiedy Elijah i Jan pomogli mu wstać, ubrać się i wyjść na plac apelowy.

Po drodze zobaczył, jak trzech mężczyzn niosą zwłoki kogoś, kto wydał mu się znajomy, i kładą je na stertę obok kostnicy. Dookoła było tyle śmierci, rzuconej na kupy niczym nawóz do użyźniania ogrodu.

Ogród... Levi...

Isaac uwolnił się z rąk przyjaciół i jak najszybciej pokuśtykał do tych mężczyzn, do zwłok. Zmarły leżał na górze stosu, z wykrzywioną twarzą i szeroko otwartymi ustami, w których siadały już muchy.

– Zmarł kilka dni temu – poinformował go jeden z więźniów, którzy przynieśli zwłoki. – Znałeś go, prawda?

Isaac pogłaskał Leviego po czole, a potem spróbował zamknąć mu powieki. Czuł, że zaraz wyrwie mu się jęk, spróbował go przełknąć, lecz utkwił mu w gardle niczym kawał czerstwego chleba.

– Nie da się. Stężenie pośmiertne.

– Nie możecie go tu tak zostawić – wychrypiał, usiłując powstrzymać się od płaczu.

– Nie ma wyboru. Nikogo nie powinniśmy tu zrzucić, ale gdzie mamy ich kłaść? Strażnicy nie pozwalają ich pochować.

– Stale się uśmiechał – powiedział Isaac. – Stale się uśmiechał i żartował. Miał stąd wyjść... wiedziałem, że on stąd wyjdzie.

Podszedł do niego Eljah.

– Kto wie, komu będzie dane przeżyć, Isaacu? Chodź, będą nas liczyć.

Nie słyszał, jak wywoływano jego numer, ale nie obchodziło go to. Nie mógł się pozbyć widoku twarzy Leviego. Już bez uśmiechu i pogody ducha.

Siedział przed południem w komórcie i nie pamiętał, jak się tam dostał. Tak samo się czuł po śmierci Hannah – w jednej chwili był w swoim warsztacie i majstrował przy popsutym zegarku, by za chwilę znaleźć się w domu, gdzie siedział przed pustym kominkiem, z drewnem w rękach, jakby chciał go rozpalić, ale bez świadomości, w jaki sposób tam trafił.

Zaniósł się kaszlem. Ścisnęło go w piersi, pragnął, by choroba wreszcie go pokonała, zatrzymała jego serce tu i teraz, bo wtedy mógłby połączyć się z Hannah i tańczyć z nią na polu, tak jak w swoim śnie.

Kiedy uspokoił oddech, zdołał wyciągnąć spod obluzowanej deski prezent dla Anny. To był jeszcze w stanie robić, na tym potrafił się skupić. Rozłożył wszystko przed sobą – cyferblat z maleńkimi wzorami, pasek łączący złote sprzączki, malutkie rubiny i szafiry, które wyjął z bransolet droższych damskich zegarków. Pozostawało tylko wyjąć mechanizm cichego zegarka, który tak podziwiała, i przełożyć go do tego.

Choć ręce mu się trzęsły i oddychał ze świstem, godzinami wyjmował swoją delikatną pincetą kółka zębate oraz sprężynki i robił z nich układankę, którą tylko on jeden potrafił złożyć.

– Isaacu?

Znowu spał. W tym śnie słyszał głos Anny. A gdzie się podziała muzyka?

– Isaacu? – powtórzyła, tym razem wyrywając go ze snu i przywracając do zimnej rzeczywistości; gdy wynurzał się na jej powierzchnię, poczuł mdłości. – Spałeś – ciągnęła, stawiając przed nim kubek z gorącą wodą. – Nadal źle się czujesz. Pomyślałam, że od kawy lepsza będzie gorąca woda z odrobiną soku z cytryny, cukrem i miodem.

Wciąż jeszcze półprzytomny, wziął kubek, wypił łyk i poczuł, jak słodycz i ciepło spływają mu do żołądka.

– Dziękuję – wychrypiał; po każdym ataku kaszlu coraz bardziej tracił głos.

– A teraz poszukam ci czegoś do jedzenia. – Odwróciła się, chcąc pobiec z powrotem do kuchni.

– Nie. – Zatrzymał ją i niedbale machnął ręką. – Nie jestem głodny.

– Isaacu, musisz jeść. Musisz.

– Nie mogę. Nie dzisiaj. Proszę.

Anna zawahała się, ale usiadła naprzeciwko niego; na jej twarzy malowała się troska.

– Nie powinnaś się martwić, bo jeszcze ci zostanie taka mina – powiedział.

Uśmiechnęła się do niego.

– Wiedziałałam, że potrafisz się zdobyć na dowcip.

– Pewien mądry człowiek powiedział mi kiedyś, że powinienem się częściej uśmiechać i nawet tutaj próbować znaleźć coś wesołego. Sądziłem, że oszalał. Jednak z czasem uświadomiłem sobie, że miał rację. To jedyne, czego nie mogą nam odebrać, tej części każdego z nas, dzięki której jesteśmy sobą, niepowtarzalni.

– Ja znowu poczułam się sobą, kiedy tańczyliśmy – powiedziała Anna. – Jak gdyby muzyka i ruch przywróciły mnie do życia. Mam przyjaciółkę, Ninę, ona uwielbia tańczyć. Nie opowiedziałam jej jeszcze, jak tańczyłam w jadalni Sturmbannführera Bechera, ale nie mogę się doczekać tej chwili, kiedy to zrobię i zobaczę zaskoczenie i zachwyt w jej oczach – przerwała, zamyśliła się, a potem ruchem głowy wskazała kryjówkę. – Poczytasz mi jeszcze? – spytała.

Pomyślał o tym, co czytał ostatnio – o zwłokach w kadziach z wrzątkiem.

– Nie jestem pewny – odparł.

– Proszę. Przynajmniej skupimy się na czymś innym.

Zanim zdążył zaprotestować, podeszła do obluzowanej deski, podniosła ją i wyjęła papiery.

– Masz. – Podała mu kartki.

Cieszył się, że schował zegarek do kieszeni, by móc jej go dać w każdej chwili, ale kiedy tak siedziała, wolał poczekać, wolał odłożyć to na specjalną chwilę, taką jak ich taniec, kiedy oboje będą szczęśliwi. Spojrzał na kartki w ręce. Wątpił, żeby osiągnął ten cel za sprawą listów J.A.L.

Pominał tę część, którą ostatnio przeczytał sam.
– Niech ci będzie – mruknął i zaczął czytać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

J.A.L.

Wrzesień 1944

Skarbie, od jakiegoś czasu do Ciebie nie pisałem. Nie dlatego, że mi się nie chciało, po prostu nie potrafiłem znaleźć słów, by mówić o miłości albo o pięknych rzeczach czy rysunkach, które pewnie by Cię rozbawiły i zachwyciły.

Dzisiaj jednak trochę rozjaśniło mi się w głowie. Nastąpiła jesień, więc grabiąc liście, podziwiałem rozpościerające się przede mną kolory. Odcienie żółci, złota, czerwieni i brązu, wymieszane, tak odmienne, a zarazem takie same.

Podniosłem liść, ciemnoczerwony, mieniący się złotem, przez które przebijało jego unerwienie. Mam go teraz przy sobie, włożyłem między kartki, by Ci go pokazać. Czy widzisz jego postrzępione brzegi? Nikt ich nie wystrzępił, tak ma być. Te małe nacięcia wzdłuż krawędzi. Pomyślałem sobie, że jestem jak ten liść, i Ty też. Przez to, co nam zrobili, rzecz jasna jesteśmy obszarpani, wystrzępieni, a jednak to się stanie naszą cechą, tak związaną z nami, że każdy uzna, iż to nie przypadek, że tak ma być.

Pewnego dnia znowu Cię zobaczę, od stóp do głów. Codziennie będę się budził z samego rana, nie po to, żeby Ciebie też zbudzić, tylko żeby na Ciebie patrzeć. Czy zrobisz to samo dla mnie?

Liesl Becher tyje. Zauważyłem to dzisiaj. Gdy po raz pierwszy od wielu miesięcy wyszła z domu, by ściąć kilka ostatnich kwiatów, które się jeszcze trzymały, ramiona rozsadały rękawy jej sukienki, a biust wylewał się z dekoltu. Zazdrościłem jej. Dziwnie to brzmi, ale tak było. Zazdrość jej wagi i wyobrażam sobie, jak się musi opychać, żeby się doprowadzić do takiego stanu. Już słyszę, jak mnie rugasz, tłumaczysz, że nie wolno mówić o kobiecie, że jest gruba, i w zasadzie się z Tobą zgadzam, ale co to zmienia? Jest taka opryskliwa i podła, że ani myślę przeproszać. Ba, pisząc to, nawet się śmiałem – obraziłem ją i chociaż nigdy się o tym nie dowie, to jednak mam swoją małą zemstę.

Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadłem porządny posiłek. Wydaje mi się, że było to w piwnicy przyjaciela mojego ojca, w dniu, kiedy tata umarł –

ostatni posiłek z udziałem całej rodziny, kurczak z ziemniakami; nie była to może uczta, ale teraz życzylibym sobie czegoś takiego.

Ojciec się nie poddawał, próbował walczyć z gorączką, narastającą z każdą godziną. Staraliśmy się go uspokajać, bo miał urojenia, i Szymon wpadł na pomysł, by go okłamać, że jesteście już w Anglii, bezpieczni.

Gdy tylko mu to powiedziałem, westchnął głęboko, a na jego ustach pojawił się uśmiech. I odszedł.

Matka z krzykiem zaczęła drzeć na sobie sukienkę, wrywać sobie włosy, więc teraz to ją musieliśmy uspokajać. Katarzyna zapukała we włącz do piwnicy i czekaliśmy. Wkrótce Max, przyjaciel ojca, zszedł po schodkach.

Myślę, że nie wiedział, na co patrzeć. Na podłodze leżała zwinięta w kłębek moja matka, ja próbowałem ją uspokoić, a ojciec nadal leżał na łóżku. Szymon z szeroko otwartymi oczami w milczeniu siedział w kącie, a Katarzyna schowała się za jego plecami, jakby nie chciała zza nich wyjść.

„Czy on...?” – zapytał Max.

„Tak – potwierdziłem. – Ale matka nie daje się uspokoić, już nie wiem, co robić”.

Max wyszedł, tupiąc krótkimi nogami po schodach do piwnicy, a potem nad naszymi głowami. Wrócił szybko, niosąc szklaną fiolkę, pipetę napełnioną do połowy jakimś silnie działającym płynem.

Musiałem przytrzymać głowę matki, gdy Max wkraplał płyn na jej język, a potem tuliłem ją, kiedy szlochała, szybko się jednak uspokoiła.

Wspólnymi siłami przenieśliśmy ją na łóżko, żeby pospała.

„Co się stanie z tatą?” – spytała cicho Katarzyna.

Max w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

„Muszę poczekać do wieczora – oświadczył w końcu i zwrócił się do mnie: – Ty pójdziesz ze mną”.

„Ja też powinnam pójść z wami” – wtrąciła się Katarzyna.

„Nie. Zostaniesz i będziesz pilnować matki i brata” – zarządził Max.

Odzyskała pewność siebie, bo wyszła na środek pokoju.

„Pójdę. Muszę odmówić za niego *El Malei Rachamim*. Normalnie zrobiłaby to matka. Ale w tej sytuacji to moja powinność”.

Max zwrócił się do mnie – jako najstarszy to ja musiałem podjąć decyzję. Spojrzałem na Szymona, licząc, że zgodzi się pójść zamiast Katarzyny, ale wcześniejsza brawura go opuściła i wyglądał na mniej niż swoje szesnaście lat.

„Zostanę z matką” – powiedział, siadając obok niej na łóżku.

Wiedziałem, że nie powinienem pozwolić jej iść z nami, że to bardzo zły pomysł, a z drugiej strony zdawałem sobie sprawę, że ojciec chciałby, żeby to córka zmówiła za niego modlitwę swoim cichym dziecięcym głosem.

„Dobrze – zgodziłem się niechętnie. – Ale we wszystkim będziesz słuchała Maxa. I przez cały czas masz być cicho”.

Katarzyna pokiwała głową, była już gotowa.

Max wrócił do piwnicy dobrze po północy, wręczył Katarzynie i mnie czarne płaszcze i kapelusze i kazał nam je włożyć.

Szymon leżał skulony obok matki, tuląc się do niej i szukając pociechy, tak jak to robił, kiedy był bardzo mały.

„Gdyby się obudziła, daj jej jeszcze kilka kropli, ale niewiele, nie więcej niż połowę tego, co jest w pipecie. Rozumiesz?” – przykazał mu Max.

Szymon skinął głową.

„Chcesz się pożegnać?” – spytałem.

Szymon wstał i podszedł do ojca, po twarzy płynęły mu łzy. Pocałował ojca w czoło, po czym wrócił do matki i znowu skulił się u jej boku.

Z Katarzyną zawinęliśmy ojca w czyste prześcieradło, które dostaliśmy od Maxa, a potem w granatowy koc. We troje wtaszczyliśmy go schodami z piwnicy do salonu. Max szybko zamknął włącznik i przesunął kredens tak, by go zakrył.

Od miesięcy nie wychodziłem na dwór – pewnie z rok albo i dłużej – więc oddychanie świeżym powietrzem z początku wydawało się dziwne. Było niemal gęste jak zupa i nie mogłem się nim nacieszyć.

Max pożyczył od sąsiada małego konia i wóz, na którym umieściliśmy zwłoki, i ruszył szybko ciemnymi brukowanymi uliczkami wioski. Końskie kopyta stukały za głośno, ten dźwięk niósł się echem i odbijał od budynków, więc byłem przekonany, że lada chwila ktoś się zjawi.

A jednak sprzyjało nam szczęście. Noc była jasna, tak jasna, że ja i Katarzyna przez jakiś czas milczeliśmy. Patrzyliśmy w niebo, zdawało się takie ogromne, upstrzone mrugającymi do nas gwiazdami.

„Czy one zawsze tak robią? – spytała w końcu Katarzyna. – Gwiazdy, czy zawsze tak wyglądają?”.

Wiedziałem, co ma na myśli. Odnosiliśmy wrażenie, że niebo, drogę, drzewo widzimy po raz pierwszy w życiu. Jak gdybyśmy wcześniej byli ślepi, a teraz ktoś sprawił, że odzyskaliśmy wzrok.

Max wjechał na niewysokie wzgórze i zatrzymał się przy gęstym lesie; pod nami widać było miasteczko.

„Myślę, że to najlepsze miejsce – powiedział, zsiadając z wozu. – Kiedy to już będzie możliwe, urządzimy mu godny pochówek, a na razie to nam musi wystarczyć”.

Wybraliśmy sosnę, pod którą mieliśmy go pochować, przy trawiastym stoku opadającym ku dolinie.

„Stąd zawsze będzie miał widok na gwiazdy” – powiedziała Katarzyna.

Nagle Max uświadomił sobie, która godzina.

„Muszę oddać wóz, będzie im potrzebny o świcie do rozwożenia towaru”.

Spojrzał na wykopany przez nas dół – ojciec nie był jeszcze pochowany, modlitwa nie została jeszcze zmówiona.

„Jedź” – powiedziałem. Tak wiele dla nas zrobił, nie chciałem przysparzać mu więcej zmartwień, niż to było konieczne.

„Jesteś pewny?”.

„Nikogo tu nie ma. Uwiniemy się migiem, a potem wrócimy do domu pieszo. Zejdzie nam najwyżej godzina”.

Max przygryzł wargę.

„To ryzykowne”.

„Chyba nie bardziej niż wracanie do miasteczka pustym wozem” – odparła Katarzyna.

„Masz rację, tak, masz rację”. – Max wsiadł na wóz, zawrócił konia i pojechał w dół wzgórza, a ja i Katarzyna zostaliśmy sami, by ostatecznie pożegnać się z ojcem.

Właśnie rzuciliśmy na niego ostatnią grudę ziemi, kiedy coś się zaczęło dziać. Katarzyna, z twarzą zalaną łzami, już miała zmówić modlitwę, gdy naraz w dolinę pod nami skręcił samochód i jego reflektory oświetliły zbocze.

Wycofaliśmy się do lasu. Rzuciliśmy łopaty i zagłębialiśmy się coraz bardziej w ciemność.

„Zaraz nas minie” – powiedziałem, czując, jak serce podchodzi mi do gardła i dudni mi w uszach.

Kurczowo ścisnęła moją dłoń, a ja też trzymałem ją mocno, słuchając, jak silnik ciężko pracuje, gdy samochód wjeżdża na grzbiet wzgórza; potem auto zwolniło i obroty silnika spadły.

Rzeczywiście, minął nas powoli, powolutku, więc odetchnąłem z ulgą, ale moja radość była przedwczesna. Samochód się zatrzymał, czerwony blask jego tylnych świateł przenikał przez gałęzie, przypominając groźne ślepie.

„Trzeba uciekać” – szepnęła Katarzyna, ale przyciągnąłem ją do siebie.

„Bezpieczniej będzie siedzieć tu i się nie ruszać. Nie ruszaj się i bądź cicho”.

Z samochodu ktoś wysiadł, pogwizdując. Nie widziałem dokładnie, co tam się dzieje, ale słyszałem sikanie na mokrą glebę lasu, plusk padającego na gałązki i liście moczu.

„Daleko jeszcze?” – rozległ się czyjś głos.

Otworzyły się drugie drzwi samochodu i zaraz zamknęły się z trzaskiem. Doleciał nas zapach dymu z papierosa.

„Niedaleko. Jeszcze godzina”.

„Jadłeś coś przed wyjazdem? – zapytał pierwszy mężczyzna. – Ja umieram z głodu”.

„Nie było kiedy. Wiesz, jak to jest, gdy przysyłają nam świeżą partię, nie ma czasu, żeby pomyśleć, a co dopiero jeść”.

„Trafiło wam się chociaż coś dobrego?”.

„Jeden szczur wypadł z pociągu, ale już i tak ledwo żył. Miał za to kieszeń pełną rzadkich złotych monet. Wysypały się, a ja je pozbierałem, zanim inni zauważyli”.

„Dobra robota. Parszywe Żydki nie zasłużyły, żeby mieć tyle forsy”.

„I dlatego monety wróciły na swoje miejsce”. – Mężczyzna parsknął śmiechem.

„Chcesz się odlać?”.

„Weź mojego peta, spróbuję”.

Drugi mężczyzna zaczął sikać, znacznie wolniej.

Katarzyna kichnęła.

To wystarczyło. Kichnięcie. Jedno głupie kichnięcie.

Mężczyzna przestał sikać. Obaj się uciszeli. Katarzyna się rozplakała.

„Ciii!” – szepnąłem. Jeśli nie będzie hałasowała, to może tamci odjadą.

Ona jednak nie mogła się powstrzymać. Szlochała coraz głośniej, wciąż ściskając moją dłoń.

„Biegnij!” – poleciłem jej.

Rzuciliśmy się do ucieczki, potykając się o leżące gałęzie i wymachując rękami w powietrzu, co tylko nas spowalniało. W ciemności rozległ się strzał, a potem wezwanie do zatrzymania się.

Miałem wrażenie, że to sen, w którym próbuję biec, ale nogi mnie nie słuchają. Wiedziałem, że tamci z pewnością biegną znacznie szybciej.

„O Boże, mój Boże!” – rzuciłem na głos. Już po nas. Wiedziałem, że to koniec.

Najpierw dopadli Katarzynę. Myślę, że może zdołałbym im uciec, ale słysząc jej krzyki i płacz, musiałem wrócić – nie mogłem zostawić jej samej.

Moje ubranie oblepiały liście. Ale nie takie jak te, które zebrałem i trzymam tu dla Ciebie. Tamte liście były wilgotne, przegniłe. Tamte liście umierały.

Ojciec stale mi powtarzał, że w każdym nieszczęściu należy doszukiwać się czegoś dobrego.

„Weź dwie liczby ujemne. Jeśli je dodasz, otrzymasz wynik dodatni i to można przełożyć na swoje życie. Wziąć coś niedobrego albo dwa niekorzystne zdarzenia i na pewno uda się znaleźć w nich jakiś aspekt pozytywny”.

„W prawdziwym życiu to tak nie działa” – powiedziałem mu wtedy.

„Tak? To posłużmy się przykładami”.

Oparł się wygodnie w wysokim fotelu, w którym przesiadywał wieczorami – zimą przy kominku, a latem przy otwartych oknach; wtedy papiery na jego biurku trzepotały jak skrzydła, które pragną się wzbić w powietrze.

„Na początek sięgnijmy do moich doświadczeń – ciągnął. – Twój dziadkowie, a moi rodzice umarli, kiedy byłem młodym człowiekiem. Został mi tylko twój stryj i bez rodziców czułem się zagubiony. Było to więc w moim życiu doświadczenie negatywne, ale to nie koniec. Twój stryj wkrótce zachorował. Mówili, że to jakaś choroba mózgu, ale według mnie była to po prostu rozpacz. Poraziła go tak, jak osłabia nas gorączka, kiedy nie jesteśmy w stanie jeść, ruszać się ani ubrać.

Było z nim coraz gorzej, a ja nie mogłem mu zapewnić należytej opieki. Przyjaciel zaproponował wyjazd do sanatorium nad jeziorami – tam gdzie obaj moglibyśmy wypoczywać, oddychać świeżym powietrzem i spacerując po ogrodach, podziwiać cuda natury. Ma się rozumieć, skorzystałem z tej okazji, w końcu nie pozostawało mi nic innego, jak spróbować, więc pojechaliśmy z twoim stryjem nad jeziora. Leżały na dnie wielkiej doliny, więc kiedy trafiliśmy do domu, w którym mieliśmy się zatrzymać, odnieśliśmy wrażenie, że kłóci się z otaczającą go przyrodą i że my, ludzie, nie jesteśmy tu mile widziani, skoro zbudowaliśmy coś, co odarło ziemię z jej piękna. Uważam, że w owym czasie ja też miałem lekkie schorzenie mózgu, bo dookoła widziałem tylko brzydotę oraz smutek towarzyszący miłości i nie byłem pewny, czy w ogóle nadaję się do życia.

Sanatorium oferowało ciszę i wytchnienie od świata. Każdy z nas dostał osobny pokój, na białych ścianach wisiały małe akwarele – statek na morzu, jakiś pejzaż. Niewątpliwie miały wprowadzić namiastkę spokoju, jednak we mnie wzbudziły strach, którego nie potrafię opisać i którego do dziś nie mogę zrozumieć.

Dni upływały nam na spacerach, pływaniu, przesiadywaniu na wspaniałych trawnikach i czytaniu powieści, o naukowych dysputach nie było nawet mowy! Zachłannie czytałem klasyczne powieści wojenne, romanse, książki przygodowe o piratach i te o arabskich nocach. Czytałem, by zająć czymś umysł, a wieczorami opowiadałem te fabuły bratu, który stopniowo znów zaczął mówić i nawiązał ze mną kontakt.

Jak widzisz, te dwa nieszczęścia stanowiły dla mnie życiową katastrofę. Nie czułem w duszy żadnej radości, ba, nawet moje podręczniki akademickie, a więc obietnica powrotu na stanowisko wykładowcy, nie wystarczały, bym odzyskał nadzieję, że sprawy potoczą się inaczej.

Mniej więcej po trzech tygodniach pobytu w sanatorium uznałem, że zawsze już będę się tak czuł, więc prawdopodobnie przejdę przez życie jako cień samego siebie, aż nadejdzie czas, bym się przeniósł na tamten świat.

I nagle, było to w poniedziałek, wszystko się zmieniło. Dzień był jak zwykle piękny. Od błękitu nieba niemal bolały oczy, płynęły po nim niewielkie chmurki. Ptaki, jak to one, śpiewały, pszczoły bzyczały, liście drzew szeleściły na lekkim wietrze... jednym słowem, było idealnie.

Siedziałem na trawniku sam, ponieważ brat znalazł sobie przyjaciela w osobie innego pensjonariusza, który namówił go, żeby spróbował swoich sił i zaczął malować. Nie chciałem do nich dołączyć, skoro tak się bałem obrazków wiszących w moim pokoju, więc położyłem się na leżaku, nasunąłem kapelusz na czoło, żeby słońce nie raziło mnie w oczy, i zacząłem czytać o człowieku, który chciał się wspinać na góry, by się przekonać, czy uda mu się dotrzeć do nieba i dotknąć ręki Boga.

Nie pamiętam, jak się nazywał bohater tej książki, w każdym razie dotarłem do rozdziału, w którym próbował on namówić krewnego w podeszłym wieku, żeby pożyczył mu pieniądze na jego wyprawy. Zirytował mnie ten fragment, oto ktoś chciał zabrać staremu człowiekowi wszystkie pieniądze i wydać je na własne głupoty.

Ze złości cisnąłem książkę na trawę i widocznie zwołałem na głos: „To egoizm, myślisz wyłącznie o sobie!”, bo w odpowiedzi usłyszałem czyjeś słowa: „Ładnie to tak mówić, skoro mnie nawet nie poznałeś?”.

Uniosłem rondo kapelusza, by zobaczyć, kto to powiedział, i ujrzałem ją na leżaku, półtora metra ode mnie. Ubrana była w letnią kremową sukienkę, na jej kolanach leżał kapelusz, a zebrane w kok z tyłu głowy włosy wymykały się niesfornymi kosmykami. Wyglądała, przynajmniej dla mnie, nie jak realna postać, tylko jak kobieta, którą mógłbym sobie wymarzyć.

„Pani wybaczy”, wymamrotałem niezdarnie i zgañem się w duchu za tak dziecinne zachowanie.

A ona się roześmiała, ale miło, nie kpiła ze mnie, tylko napawała się moim napadem złości i żalonymi przeprosinami. „Wybaczam”, powiedziała.

Przedstawiła mi się jako Ewa i wyciągnęła rękę, więc musiałem wstać, żeby się z nią przywitać. Chyba się lekko ukloniłem, bo znowu się roześmiała.

„Ewa, pierwsza kobieta”, powiedziałem.

„Cóż, nie wiem, czy jestem pierwsza, ale jedno mogę panu zdradzić. – Kiwnęła na mnie palcem, a kiedy się zbliżyłem, szepnęła: – W ogóle nie lubię jabłek”.

Wtedy to ja się roześmiałem, ten śmiech wydobył się z mojego brzucha, ruszył w górę, wybiegł na moją twarz i dotarł do oczu. Nie sądziłem, że jestem

w stanie zdobyć się na taki śmiech.

Kiedy znowu usiadłem, opowiedziała mi o sobie. Przyjechała tam w odwiedziny do ciotki, ale podróż jej się nie podobała, ponieważ musiała jechać sama.

„A kiedy pani wraca do domu?” – spytałem.

„Pojutrze” – odparła.

Miałem tam zostać jeszcze przez ponad tydzień, ale nagle poczułem, że chcę wyjechać od razu.

„Odwiozę panią” – obiecałem.

„Mieszkam w Poznaniu – powiedziała. – A pan skąd jest?”.

„Z Gdańska”.

„Czyli jest panu chyba po drodze”.

„Owszem”.

„Skoro tak, to się zgadzam. Może mnie pan odwieźć do domu”.

I bardzo szybko jej dom stał się moim, a kiedy brat wyzdrowiał, przyjechał do nas, by uczcić nasz ślub”.

„Matka...” – mruknąłem, przerywając mu opowieść, bo uświadomiłem sobie, że słucham historii o tym, jak się poznali.

„Tak, to była twoja matka. Te nieszczęścia wyszły mi więc na dobre, a potem jeszcze trzykrotnie obdarzyła mnie dobrem, które tak wypełniło moje życie, że żadne niemiłe doświadczenie tego nie przekreśli”.

Tę historię o moich rodzicach piszę głównie z myślą o Tobie, bo widzisz, Ty też jesteś tym dobrem, które mnie spotkało w wyniku dwóch nieszczęść – utraty ojca i wywiezienia tutaj. Gdyby nie splot tych dwóch okoliczności, nigdy bym Cię nie poznał i nigdy bym się nie zakochał.

Jak więc widzisz, to pozytywne doświadczenie wpłynie na całe moje życie, życie, w którym czeka mnie więcej wspaniałych rzeczy. Przesłonią one te niemiłe, które znikną niczym senny koszmar. Niosę więc teraz ze sobą ten przekaz, bo nic innego mi nie zostało. To jedyne, czego nie mogą nam odebrać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

ANNA

Przyszła kolej na Herr Bechera, teraz to on szalał. Po pobycie w Monachium jego żona się uspokoiła, a Greta zdradziła Annie, że jej zdaniem mąż jej daje laudanum. „Liesl ma ten sam upiorny wyraz oczu co moja babka, kiedy je zażywała. On ją poi tym świństwem, żeby była spokojna, wspomnisz moje słowa”.

Teraz to Becher grasował po korytarzach jak wygłodniały niedźwiedź, kopał wszystko, co stanęło mu na drodze, i wrzeszczał na syna, jeśli ten ośmielił się wyjść ze swojego pokoju. Greta i Anna, na ile to było możliwe, starały się schodzić mu z drogi.

– Greto! – ryknął Becher pewnego wieczoru z salonu; jego głos szedł o lepsze z grzmiącą z gramofonu muzyką. Anna nigdy nie słyszała, by muzyka klasyczna była tak groźna, nieokiełznana.

– Chce, żebyś to ty mu podała kolację – oznajmiła Greta po powrocie do kuchni, wstrząśnięta i blada.

Anna przypomniała sobie ostatni raz, kiedy znalazła się sam na sam z Becherem, i pożałowała, że nie może odmówić.

– No już, dziewczyno. Idź, zanieś mu to, zanim od jego wrzasku dom nam się zwali na głowy.

Anna wzięła tacę. Niedosmażony befsztyk, który zamówił, pływał we własnej krwi i plamił białe puszyste ziemniaki na różowo.

Najostrożniej jak potrafiła postawiła tacę przed nim w salonie.

– Czy wiesz, kto ruszał gramofon? – zapytał ją, krojąc mięso z taką siłą, że nóż zazgrzytał o talerz.

– Nie, proszę pana – odparła.

– Jakiś tydzień temu zauważyłem, że ktoś z niego korzystał i go przestawił. Ciekawe, czy wiesz coś na ten temat?

Pokręciła głową, starając się stać spokojnie, a nie wiercić się, jakby była winna.

Nagle wybuchnął śmiechem.

– A niby skąd miałabyś wiedzieć, jak go nastawić!

Wepchnął do ust następną kawał mięsa i żując go, rozparł się na sofie.

– Prawdopodobnie to sprawka mojej kochanej żony. Wiedziała, że mnie tym zirytuje.

Nagle wstał i oblizał usta z sosu, którego część zdążyła już spłynąć mu po brodzie. Z uśmiechem podszedł do Anny, która zastygła bez ruchu, żałując, że nie może się stać niewidzialna.

Przewyższał ją co najmniej o głowę, ale zgiął nogi w kolanach, tak by niemal zetknęli się nosami; poczuła, jak jego ręka wędruje pod jej sukienkę, brutalnie łapie ją za wewnętrzną stronę uda i posuwa się w górę. Cofnęła się, ale drugą ręką złapał ją w talii i przyciągnął do siebie.

– No już, Anno, spokojnie, jesteś moja. Przecież wiesz. Wy, *Juden*, wszyscy należycie do mnie. Masz robić, co ci każę.

Poczuła jego palce obok bielizny i zamknęła oczy. Jego oddech cuchnął alkoholem i mięsem, gdy dotknął ustami jej policzka, a potem szyi.

Jęknął z rozkoszy, jaką mu sprawiło dotykanie jej ciała. Otworzyła oczy i wbiła wzrok w wiszący za nim olejny portret jego żony.

– Ojczy? – Zza pleców doleciał ją głos Friedricha i Becher natychmiast ją puścił.

Wybiegając z pokoju, słyszała, jak ojciec sztorcuje syna za to, że mu przeszkodził i zepsuł cały wieczór.

Kiedy wbiegła do kuchni, Grecie wystarczył jeden rzut oka na jej twarz, by wypchnąć ją na dwór.

– Idź do komórki. Leć teraz do Isaaca, a ja pójdę po Schmidta i powiem mu, żeby jak najszybciej odstawił was do obozu.

– Ale Becher jeszcze nie pozwolił nam wracać. – Anna się rozpląkała.

– Zostaw go mnie, dobrze? Idź już.

Anna posłuchała i pobięła przez ogród do komórki. Zastała Isaaca pochylonego nad kolejną częścią do samochodu; jego ręce drżały, gdy starał się ją oczyścić.

Kiedy stanęła w progu, spojrzął na nią zatroskany.

– Co się stało?

– Jak myślisz, Isaacu, kiedy oni nadejdą? – spytała błagalnie. – Proszę cię, powiedz mi, że Amerykanie zjawią się tu niedługo, powiedz, proszę, że to się zaraz skończy.

– Chodź tu. – Rozłożył ramiona.

Podeszła do niego, przysiadła na jego kolanie i pozwoliła, żeby ją objął, a on pocieszał ją, aż nieco się uspokoiła.

– Już lepiej? – zapytał.

Pociągnęła nosem i kiwnęła głową, po czym przesiadła się z jego kolan na odwrócone do góry dnem wiadro i objęła się ramionami – nagle zrobiło jej się

zimno.

Isaac podał jej koc i powiedział:

– Anno, zamknij oczy.

Otarła twarz brzegiem koca, a potem zrobiła, o co prosił.

Cicho, kojąco Isaac zaczął śpiewać po angielsku piosenkę, którą Friedrich puścił im z płyty. Miał zaskakująco dobry głos, więc otworzyła oczy, by mu się przyjrzeć.

– Jeszcze nie, zamknij je i słuchaj.

Anna spełniła polecenie.

– Ja będę śpiewał, a ty wyobraź sobie tymczasem coś cudownego, wyobraź sobie jakieś szczęśliwe miejsce – jego głos unosił się i opadał, a ręka wybijała rytm na blacie.

Wyobraziała sobie, że jest lato. Była w wielkim domu, szklane drzwi w salonie wychodziły na rozległy trawnik ciągnący się aż nad brzeg jeziora.

Z gramofonu dobiegał śpiew Billie Holiday, a ona stała w otwartych drzwiach i popijając koktajl, spoglądała na ogród. Nagle na trawie zaroilo się od ludzi, niewielkich ludzi, dzieci. Chłopiec w marynarskiej czapce na głowie uciekał przed starszą siostrą w niebieskiej sukience z garderoby Liesl, tak podobnej do sukienki jej matki. Dziewczynka dogoniła chłopca i złapała, po czym oboje runęli na trawę i zaśmiewając się, turlali się bez końca.

Podszedł do nich jakiś mężczyzna, podniósł dziewczynkę wysoko, a potem to samo zrobił z chłopcem. Wiedziała, że należą do niej, że może do nich dołączyć i wirować na trawie, ale coś ją przed tym powstrzymało.

Za jej plecami był ktoś jeszcze.

Odwróciła się i zobaczyła dwie osoby, Isaaca i jego brata Eliasa; obaj siedzieli na wypchanych poduchach sofy.

– Chodźcie na dwór – zwróciła się do nich. – Wyjdźcie na zewnątrz, jest ciepło. Patrzcie, świeci słońce. Chodźmy razem na dwór.

Elias i Isaac pokręcili głowami i po chwili zniknęli. Muzyka ucichła.

Anna otworzyła oczy i zobaczyła, że Isaac zanosi się kaszlem, zgięty wpół.

Podeszła do niego, pomogła mu się napić wody, a kiedy nieco odpoczął, jego policzki odzyskały kolor.

– Isaacu, martwię się o ciebie.

Lekceważąco machnął ręką.

– Niby czemu?

– Nie jesz, kaszlesz coraz bardziej i masz lekką gorączkę. – Dotknęła jego czoła.

– Nie czułem zapachu cytryn, więc jeszcze nie umieram.

Spojrzała na niego zmrużonymi oczami – czyżby mówił od rzeczy?

Roześmiał się i od razu wstrząsnął nim kolejny atak kaszlu. Gdy przestał się krztusić, łyknął trochę wody.

– Chyba miałem taką samą minę, kiedy Levi mi to powiedział. Według niego kiedy umierasz, w powietrzu czujesz zapach cytryn. Wtedy wiesz, że oto nadszedł twój kres.

– Chyba bym tak chciała – powiedziała Anna. – Cytryny. Świeże i czyste. Isaac skinął głową.

– Wyjmij te kartki, dobrze? – poprosił. – Przekonajmy się, czy nasz tajemniczy przyjaciel zdoła nas choć trochę pocieszyć.

Wyjęła papiery, ale nie oddała ich, tylko sama je przekartkowała.

– O, tutaj pisze o nadziei i o miłości. Przeczytam to.

I zaczęła czytać na głos:

„Przez te wszystkie lata, kiedy mogłem kochać, zakochałem się akurat tego roku – to chyba żart?”.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

J.A.L.

Wrzesień 1944

Przez te wszystkie lata, kiedy mogłem kochać, zakochałem się akurat tego roku – to chyba żart?

Przez te wszystkie lata, które przeżyłem, a było ich tak niewiele, dopiero w tym roku moje serce jest jednocześnie zajęte i złamane.

Wyobrażałem sobie, że odnajdę w życiu cudowne rzeczy, które będą mi przypominały o Tobie – może zapach kwiatu pielęgnowanego Twoimi rękami, a może ciepło letnich upałów na plecach przywoła wspomnienia lata, które spędziliśmy razem na plaży. Liczyłem, że wszystko to przybliży mi pierwszą miłość, że mi ją przypomni.

Tymczasem rzeczy, które mi o Tobie przypominają, są głupie, nie ma w nich za grosz poezji, brakuje w nich głębi moich uczuć do Ciebie.

Weźmy dzisiejszy ranek. Uderzyłem się palcem u nogi o pryczę, a to mi przypomniało, jak zrobiłem coś podobnego przy Tobie. Wtedy pozwoliłem Ci obejrzeć mój palec, głaskać go, a potem bić drewno, w które się uderzyłem, i mówić: „niedobre drewno, niegrzeczne”. Dzięki temu tak się uśmiełem, że szybko zapomniałem o bólu.

Rzecz jasna, to miłe wspomnienie, ale nie takie chciałbym zachować w pamięci. Pragnąłem, żeby ten rok był pełen wspomnień tego, co robiliśmy razem – podróży, jadań w restauracjach, dobrej zabawy z przyjaciółmi. A tymczasem tkwię tutaj, gdzie wszystko jest szare i mętne. I chociaż wiem, że losy wojny się odmieniają, to moja przyszłość po wyjściu stąd wydaje się bardzo odległa; gdy odnoszę wrażenie, że lada chwila będę mógł jej dotknąć, za każdym razem wymyka się poza zasięg moich rąk.

Ostatnio myślałem też o Katarzynie. Wprawdzie nigdy nie przestałem o niej myśleć, zawsze jest tutaj, jako cząstka mnie, jednakże w ostatnich dniach nasiliła się przemoc, podobno zagazowano grupę dzieci – poszły do gazu same, bez swoich matek – więc nie mogę się uwolnić od myśli o młodszej siostrze i z całego serca pragnę, żeby wciąż żyła.

Wyobrażam sobie matkę i Szymona czekających w piwnicy Maxa – o Boże, mam nadzieję, że nadal tam są, że nikt tam za nimi nie dotarł. Ale nie mam pojęcia, co się z nimi dzieje, choć ani Katarzyna, ani ja nie pisnęliśmy słowa esesmanom, którzy nas złapali.

Tak sobie myślę, że pewnego dnia Ty, Katarzyna i ja pojedziemy do Maxa. Podniesiemy właz do piwnicy, wyprowadzę mamę i Szymona, pokażę im, jak teraz wygląda świat na zewnątrz, i odwiedzimy ojca, leżącego pod sosnami na wzgórzu. Zawsze miałem nadzieję, że urządzimy mu powtórny pochówek gdzieś indziej, taki, na jaki zasłużył, ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej dochodzę do wniosku, że wolałby leżeć w miejscu, które dla niego wybraliśmy, niż na cmentarzu.

Mam w swoim baraku przyjaciela. Ma na imię Levi i wiecznie żartuje. Gdyby strażnicy go usłyszeli, pewnie z miejsca by go zastrzeli, bo większość dowcipów jest o Hitlerze, ale podziwiam hart jego ducha, on nie da się złamać. To jego drugi obóz, mówi, że tu nie jest tak okropnie jak w poprzednim.

Z początku myślałem, że żartuje, więc go wyśmiałem. Ale przestałem, kiedy zobaczyłem, że on się nie śmieje.

„Wierz mi, w Auschwitz jest gorzej – powiedział. – Moja żona i dzieci nadal tam są. Kiedy mnie przeniesiono, najpierw martwiłem się o siebie, sądziłem, że to, co dla mnie szykują, będzie dużo gorsze od tego, przez co już przeszedłem. Ale kiedy tu dotarłem, okazało się, że biją rzadziej, a strażnicy nie są aż takimi sadystami. I wtedy zacząłem się martwić o tych, którzy tam zostali”.

Auschwitz. Znam to miejsce. Przejeżdżaliśmy kiedyś tamtędy w drodze na wakacje do Zakopanego. Całkiem ładne miasteczko, więc nie mieściło mi się w głowie, że można je było przerobić na potrzeby tych szaleńców. Prawdopodobnie to właśnie tam wywieźli Katarzynę.

„Śmierci było coraz więcej – powiedział mi Levi. – Komory gazowe i piece pracowały bez przerwy, zupełnie jakby nie nadążali z likwidowaniem nas. Gnidy, tak nas nazywali. Czyli wszy. I rzeczywiście je mieliśmy, ja mam je do tej pory! – Roześmiał się. – Jak w ogóle może komuś przyjść do głowy, że inny człowiek jest wszą? Albo szcurem. Często się zastanawiam, czy aby nie napili się jakiejś mikstury, od której zwariowali, bo nie rozumiem, jak inaczej człowiek mógłby postrzegać innego człowieka w ten sposób”.

Przyznałem mu rację i czekałem na ciąg dalszy. Ale Levi nic już mi nie powiedział. Stał na środku baraku i wygłupiał się, opowiadał dowcipy i próbował wszystkich rozśmieszyć. Czy on się ukrywa za tym poczuciem humoru? Tego nie wiem. Ale cieszę się, że jest moim przyjacielem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

ISAAC

– On znał Leviego! – zawołał Isaac, przerywając Annie. – Jakże żałuję, że nie zdążyłem mu zadać więcej pytań. Być może J.A.L. był ogrodnikiem przed nim. Ciekawe, czy Levi wiedział o jego pamiętniku?

Usłyszeli zbliżające się kroki. Anna szybko schowała papiery do dziury pod deską i usiadła w oczekiwaniu na przybysza.

Był to Schmidt.

– Przeszedłem odstawić cię do obozu – powiedział.

Isaac wstał równocześnie z Anną.

– Nie. Ty nie – zatrzymał go Schmidt. – Herr Becher chce, żebyś dalej pracował. Za kilka dni samochody mają być gotowe.

Isaac usiadł niepewnie.

– Już prawie skończyłem.

– Prawie, czyli nie całkiem – rzekł Schmidt. – Chodźże, nie będę tu czekał całą noc.

Anna wyszła za nim z komórki. Zamykając za sobą drzwi, nieznacznie pomachała ręką Isaacowi.

Skonsternowany Isaac spojrział na części samochodowe. Silniki będą działały, jutro powinny być w znakomitym stanie. A jednak musiał spędzić noc w komórce, tak jak wcześniej J.A.L.

Nagle ogarnęła go rozpacz. Nie dlatego, że nie mógł wrócić do baraku, tylko na myśl, co się stanie, kiedy samochody będą gotowe. Najwyraźniej rodzina wybierała się w daleką podróż. Isaac nie był głupi, widział, że Becher się boi, i słyszał o nadchodzących Amerykanach. A potem pomyślał o stosach trupów piętrzących się w całym obozie i wyobraził sobie, że i jego ciało wkrótce dołączy do tej płataniny rąk i nóg; nie będzie już Isaakiem, tylko zbiorem wymieszanych części ciała, kolejną ofiarą ich nienawiści.

Nie mógł znieść myśli, że po śmierci trafi do jednego z tych dołów, do którego wrzucali zwłoki, że będzie ze wszystkimi, a zarazem z nikim.

Poczuł chłód na karku, jakby w komórce był ktoś jeszcze. Rozejrzał się, ale nikogo nie dostrzegł, nie było żadnego ducha.

Nagle za oknem przesunął się jakiś cień. Czyżby Anna wróciła?

Skrzypnęły uchylane drzwi, otwierały się powolutku, centymetr po centymetrze; Isaac miał wrażenie, że to Śmierć we własnej osobie zjawiała się, by go zabrać ze sobą. Ale to był Friedrich.

– Jest bardzo późno – powiedział chłopiec. – Zobaczyłem, że lampa się pali, ale Anna wyszła, więc zastanawiałem się, czy jeszcze tu jesteś.

– Jak widzisz, jestem. Ale ciebie nie powinno tu być. Będziesz miał kłopoty, ja zresztą też... twoi rodzice są w domu.

– Są, a jakby ich nie było – odparł chłopiec niemal filozoficznie. – Matka śpi jak kamień, za żadne skarby się nie obudzi. A ojca widziałem w salonie, z pustą butelką whisky na podłodze. On też się nie obudzi, a jeśli nawet, to i tak nie będzie mnie szukał.

Było to niebezpieczne, ale Isaac tak tęsknił za towarzystwem, że nie wygonił chłopca, choć powinien.

Po niebie przetoczył się grzmot, Isaac i Friedrich spojrzeli na sufit komórki.

– Samoloty – oznajmił chłopiec.

Isaac zgasił lampę i zapadła ciemność. Słuchali lecących nisko samolotów, silniki buczały tak, że od tych wibracji dudniło im w uszach.

Wkrótce grzmot przeszedł w daleki szum. Isaac czekał, odliczał sekundy i minuty, ale nie usłyszał huku spadających bomb, więc znów zapalił lampę, tyle że zmniejszył płomień.

– Jak myślisz, oni wrócą? – zapytał chłopiec ledwie słyszalnym szeptem.

– Nie wiem – odparł Isaac.

– Czy oni wiedzą o obozie?

– Tak. Myślę, że wiedzą.

– Czy zabiorą ojca za to, co zrobił?

Isaac nie był pewny, czy w głosie chłopca słyszy troskę o ojca, czy chęć jak najszybszego pozbycia się go.

– Naprawdę nie wiem, Friedrichu. Nie potrafię ci powiedzieć, co się stanie.

– Opowiedz mi, jak jest w obozie.

Isaac pokręcił głową.

– Nic dobrego by ci z tej wiedzy nie przyszło. Jesteś na to za młody.

– Przecież tam są dzieci... sam je widziałem. I one wiedzą, jak tam jest – odparł Friedrich z typowo dziecięcą logiką.

– To prawda. Ale tę wiedzę będą dźwigały ze sobą do końca życia, a to nie będzie łatwe.

Ale chłopiec nie dał się zbyć.

– Isaacu, mógłbym opowiedzieć ludziom. Mógłbym opowiedzieć innym, jak tam było. Założę się, że taki Otto nie wie, że odbierano dzieci rodzicom, a jeśli

nie wie, to kiedy dorośnie, nie będzie w to wierzył. Ale jeśli ja mu to opowiem, jeżeli dowie się o tym ode mnie, to może uwierzy.

Isaac miał już dosyć chłopca. Zrobiło się późno, był głodny i chory, a gorączka nie grzała jego ciała, tylko je wyziębiała.

– Nie dam rady, Friedrichu. Wybacz. Ale może kiedyś ci o tym opowiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

FRIEDRICH

Poprzedniego roku Friedrich buszował po lesie z Ottonem. Na jednym z drzew zauważyli ptasie gniazdo, więc mieli nadzieję, że będzie to doskonałe miejsce na zbudowanie domku.

Jajka były malutkie, jasnoniebieskie w brązowe cętki. Otto chciał ich dotknąć, wyciągnął pulchną rękę, drugą przytrzymując się gałęzi.

– Nie rób tego! – ostrzegł go Friedrich. – Jeżeli je dotkniesz, matka je porzuci, bo zostawisz na nich swój zapach.

– Kto tak twierdzi? – spytał Otto.

– Nie pamiętam, kto mi to powiedział, ale to prawda, nie ruszaj ich.

Otto cofnął rękę, a Friedrich, który się wspinał za przyjacielem, zsunął się po pniu drzewa, kalecząc sobie dłonie i nogi o korę.

Wkrótce Otto zrobił to samo; gdy znalazł się na ziemi, otrzepał rękę.

– Nie dotknąłem ich. Teraz już nie możemy budować domku na tym drzewie, musimy znaleźć jakieś inne.

Friedrich spojrział na długie, grube konary dębu.

– Szkoda, bo jest idealne... absolutnie doskonałe.

– One nie będą tam mieszkać w nieskończoność, prawda? – zastanawiał się Otto. – Jeśli wrócimy za jakiś tydzień, może się okazać, że się wykluły i wyfrunęły?

Friedrich przyznał mu rację – gdy tylko ptaki się wyniosą, będą mogli zbudować tu swoją sekretną kryjówkę.

Kiedy chłopcy wrócili tydzień później, zastali w gnieździe malutkie różowe pisklętka, które rozdziawiały dzioby, głośno domagając się jedzenia.

W pierwszej chwili Friedrich wzdrygnął się na ten widok i odsunął dalej na gałęzi. Inaczej wyobrażał sobie nowo wyklute pisklęta, nie spodziewał się ujrzyć nieopierzonych ciał i czarnych niewidzących oczu.

– Ale dziwadła – stwierdził Otto. – Są naprawdę dziwne, w ogóle nie przypominają ptaków.

Zostawili gniazdo w spokoju, usiedli oparci plecami o pień innego drzewa i rozmawiając, machinalnie podnosili zwiędłe liście i gałązki.

– Jeżeli posiedzimy tu dostatecznie długo, może zobaczymy, jak matka przynosi im jedzenie. – Otto spojrzał na korony drzew nad nimi, a przyjaciel zrobił to samo.

– Czy na wakacje pojedziesz do domu? – zapytał nagle Friedrich.

– Pewnie tak. Tak sędzę. Matka mi napisała, że może pojedziemy do babki na wieś. Ale nie chcę tam jechać. Ona jest wredna, daje mi po łapach, jak sięgam po ciasto albo słodycze.

– Ja chętnie bym pojechał do twojej babki – powiedział Friedrich.

– Czyli nie jedziesz do domu?

– Nawet nie wiem, gdzie w tej chwili jest nasz dom. Przenieśli się, ojciec dostał awans.

– A gdybyś mógł pojechać, gdzie zechcesz, na całym świecie, to dokąd byś pojechał?

Friedrich zastanawiał się przez chwilę. Podarł liść na strzępy i patrzył, jak unoszą się na wietrze.

– Pewnie bym został tu z tobą. – Uśmiechnął się szeroko do Ottona. – Kiedy jesteś ze mną, przynajmniej dobrze się bawimy i mam z kim pogadać.

– Patrz! – Otto uniósł rękę, pokazując, że właśnie przyleciał kos i usiadł na gałęzi z gniazdem z pisklętami. – Dobra ta matka, lata gdzieś po jedzenie dla nich i potem im przynosi. Musi się uwijać. Myślę, że gdybym się urodził pisklakiem, a moja matka musiałaby tyle dla mnie robić, toby się nie fatygowała! – Otto wybuchnął śmiechem.

Friedrich też się roześmiał, acz nieszczerze. Wiedział, że Otto żartuje, ale wiedział też, że jego własna matka na pewno by tak o niego nie dbała, zostawiłaby jego chude, gołe ciało, a on by wrzeszczał, dopóki by nie umarł. Chciał się podzielić tą myślą z Ottonem, ale on próbowałby go pocieszyć, mówiąc, że to nieprawda i że matka go kocha. Nie miał ochoty tego słuchać, chciał tylko posiedzieć w mrocznym lesie i czuć, jak nozdrza wypełnia mu ziemisty zapach grzybów rosnących w skupiskach wokół pni drzew, mieć obok siebie najlepszego przyjaciela i słuchać nawoływania ptaków na drzewach oraz popiskiwanie piskląt karmionych przez matkę.

Friedrich siedział w gościnnej sypialni, wyglądając na ogród i położony dalej obóz. Na kolanach miał lornetkę, ale jeszcze jej nie użył, jego myśli krążyły wokół kiwających się na wietrze drzew, które przywołały wspomnienie przyjaciela oraz piskląt z ubiegłego roku.

Pąki rozwinęły się w kwiaty, znacząc gałęzie białymi, żółtymi i różowymi cętkami. Cebulki, które ogrodnik zasadził w równych rzędach, zanim przestał

przychodzić do ogrodu, stopniowo przebijały się spod ziemi, wystawiając zielone główki.

W domu panowała krzątanina. Matka przestała krążyć po korytarzach jak zapłakany duch i rozpaczać. Wyszła z sypialni z upiętymi włosami, a jej oczy nie były już puste i niewidzące. Krzyknęła na Friedricha, żeby zszedł jej z drogi, po czym godzinami rozmawiała przez telefon. Starał się trzymać od niej z daleka, ale słyszał strzępy jej rozmów z przyjaciółkami, z krewnymi oraz z firmą, której chciała zlecić przewóz mebli w jakieś inne miejsce.

Próbował podsłuchać, dokąd je przewiozą, ale – co u niej niezwykle – mówiła bardzo cicho. Usłyszał tylko, jak podawała datę, kiedy będą potrzebni, a potem: „a tak, oczywiście, adres”, ale wtedy ściszyła głos do szeptu, więc tylko pracownik firmy transportowej po drugiej stronie mógł ją usłyszeć.

Kilka dni wcześniej wpadła w wir pracy i mamrocząc do siebie, chodziła z ołówkiem i kartkami od obrazu do obrazu, od stołu do krzesła, zapisując coś, a potem wpatrując się w okno, jakby stamtąd miała nagle nadejść odpowiedź na jej pisaninę.

Friedrich rozpaczliwie pragnął zapytać, co się dzieje, ale wiedział, że nie może tego zrobić. Ojca prawie nie było w domu – tłumaczył, że ma spotkania, że jest potrzebny gdzie indziej. Był oschły nie tylko dla syna – to akurat było normalne – ale i dla żony, która nie zalewała się już łzami, kiedy do niej mówił, tylko mierzyła go wzrokiem spod przymkniętych powiek i odchodziła, jakby w ogóle się nie odezwał.

O szybę zabębnił lekki deszcz; Friedrich patrzył na spływające krople.

Nagle zauważył, że w oknie komórki rozbłysło pomarańczowe światło lampy, oznaczające, że Isaac wrócił. Mimo że matka krążyła po korytarzach jak tygrysica, bez trudu mógłby się przemknąć za jej plecami i wyjść.

Położył lornetkę na podłodze i cicho wymknął się z gościnnej sypialni. Idąc korytarzem, uważał na każde skrzypnięcie zakurzonych desek podłogi.

Dotarłszy do szczytu schodów, spojrział w dół i zobaczył, jak dwaj mężczyźni w kombinezonach o barwie musztardy zawijają w sukno zegar szafkowy; obok nich na podłodze stała wielka skrzynia. Frontowymi drzwiami wszedł kolejny mężczyzna, niosąc ogromne pudło. Otrząsnął się z deszczu jak pies i zostawiając za sobą ślady stóp, poszedł do salonu.

Friedrich biegł po schodach, zwracając uwagę na to, że wiszące na ścianach zdjęcia i obrazy zniknęły, pozostały po nich tylko czyste prostokąty na brudnej białej tapecie.

Wyjeżdżali. To oczywiste. Ale dokąd?

Nagle ogarnęło go podniecenie – to jasne, wracają do domu! Do jednej z rezydencji, w Monachium albo w Berlinie. Chciał pójść do telefonu, zadzwonić

do Ottona i przekazać mu najnowsze wieści – że wkrótce znów będą razem.

Nie dbając już o to, czy matka go usłyszy, zbiegł po schodach na sam dół i omal nie wpadł na jednego z mężczyzn w musztardowych strojach, który usiłował przesunąć zegar bliżej pudła, by umieścić go w przypominającej grób skrzyni.

– Uważaj! – obrugał go musztardowy człowiek. – Zniszczysz to, a poskarżę się twojej matce.

Friedrich puścił jego słowa mimo uszu, lecz nagle zobaczył stempel pocztowy na wieku skrzyni, która miała być szczelnie zabita gwoździami, żeby zegar się nie przesunął.

Dziwny był ten stempel, dotychczas takiego nie widział, ale odczytał jedno zamazane słowo: „Argentina”.

Znał nazwę tego kraju. Próbował go umiejscowić, usiłował przypomnieć sobie coś z dłużących się lekcji geografii, na których rysowali z Ottonem głupie obrazki z tyłu swoich zeszytów i zaśmiewali się, zamiast słuchać nauczyciela.

W jadalni zobaczył matkę – rozmawiała z mężczyzną, który właśnie przyszedł – więc szybko przemknął dalej, do kuchni, a stamtąd pobiegł przez ogród do komórki.

Gdy wszedł do środka, Isaac nie był sam. Na wiadrze siedziała Anna – tym samym wiadrze, na którym on siadał, gdy przychodził tu z wizytą. Miał ochotę zrobić coś głupiego, zepchnąć ją, powiedzieć, że to jego miejsce, nagle jednak zobaczył, że Anna ma czerwone, zmęczone oczy, a z jej twarzy jakby uszło powietrze – wystające kości policzkowe sprawiały, że jej oczy wydawały się za wielkie na taką twarz.

– Friedrichu! – Anna wstała. – Czy wszystko w porządku?

– Wyjeżdżamy! – zawołał. – To już się dzieje!

Zobaczył, że spojrzała nad jego ramieniem na dom i zmarszczyła czoło.

– Kiedy? – zapytała.

– Na parterze są jacyś ludzie, pakują rzeczy, a na skrzyni zobaczyłem stempel pocztowy z nazwą kraju, do którego ją wysyłają. Tam było napisane „Argentina”.

– Muszę iść, ona będzie mnie szukać. – Nie czekając na odpowiedź, Anna pośpiesznie ruszyła ścieżką do jego matki.

Friedrich zamknął za nią drzwi.

– Argentyna – mruknął Isaac.

Friedrich usiadł na odwróconym do góry dnem wiadrze.

– Gdzie to jest? – zapytał.

– W Ameryce Południowej – odparł Isaac. – Bardzo daleko stąd. I jest tam bardzo gorąco.

Chłopiec przypomniał sobie, co ojciec mówił na temat upałów i jak to zmartwiło jego matkę – ona nie chciała wyjeżdżać.

– A jeśli nie będę chciał jechać? – Friedrich się uśmiechał, z miną tak nieobecną, jakby śnił na jawie. – Isaacu, co będzie, jeśli się nie zgodzę?

– To się dzieje naprawdę – wychrypiał Isaac, po czym zaniósł się kaszlem tak silnym, że aż się złapał za pierś.

Friedrich podszedł, żeby go podtrzymać. Chciał pobiec po pomoc do Anny.

– Już dobrze, nic mi nie będzie – powiedział Isaac, jakby czytał w jego myślach.

– Co się stanie po naszym wyjeździe? Gdzie się podziejesz, wrócisz do obozu? – zapytał chłopiec.

Isaac patrzył na niego bez słowa.

– A gdybyś pojechał z nami, gdybym namówił ojca, żeby cię zabrał, bo potrafisz wszystko naprawić, więc byłbyś nam potrzebny? Anna też może by mogła pojechać, pilnowałaby, żebyśmy byli nakarmieni. Powinniśmy go spytać, prawda, Isaacu? Trzeba spróbować. – Friedrich poczuł, że ściska go w gardle i pieką oczy.

– Ja muszę zostać tutaj – odparł krótko Isaac. Głos miał zmęczony, ruchy powolne.

– Wobec tego ja też muszę zostać, bo jeśli nie zostanę, to jak mnie nauczysz w swoim warsztacie, jak naprawiać różne rzeczy?

– Posłuchaj, kiedy będziesz dorosły, a twoi rodzice będą starzy tak jak ja, to będziesz mógł robić, co zechcesz. Wtedy nadejdzie czas, żebyś odnalazł mnie i mój warsztat.

– Obiecujesz? – Chłopiec pociągnął nosem.

– Słowo.

– Nie lubię być teraz w domu – powiedział Friedrich. – Nie podoba mi się, że pakują nasze rzeczy do skrzyń ani że ojciec i matka rozmawiają ze sobą w ten sposób... Wszystko jest jakieś dziwne.

– Ja się oswoiłem z dziwnością. Od jakiegoś czasu dla mnie wszystko jest dziwne.

– Z powodu obozu?

– Tak, z powodu obozu.

– A ten ogrodnik, on też był w obozie, prawda? Nosił taki sam pasiak jak ty, ale ty i Anna wróciliście, a on nie.

– Levi – powiedział Isaac. – Tak miał na imię. Levi.

– Dlaczego nie wrócił razem z wami?

– Bo nie mógł.

Friedrich znowu pomyślał o pisklętach w lesie, które znalazł z Ottonem. O tym, jak pewnego dnia zajrzeli do gniazda, licząc, że zobaczą puszyste ciała ptaszków, którym wyrosły skrzydła, a tymczasem w gnieździe został tylko jeden pisklak, który wyglądał, jakby spał.

– Czy on nie żyje? – Friedrich znał odpowiedź, ale chciał ją usłyszeć, potrzebował tego. Musiał wiedzieć, co się stało w obozie i co zrobił jego ojciec.

– Umarł, owszem.

– Jak?

Isaac spuścił wzrok na swoje dłonie.

– Nie wiem. Możliwe, że z głodu, a może z pragnienia.

– Był głodny? – Friedrich znowu pomyślał o pisklętach domagających się od matki jedzenia. – Dlaczego nikt go nie nakarmił?

– Nie było jedzenia, które można by mu dać.

– Tak jak z tym pisklakiem – mruknął chłopiec.

– Z czym?

Friedrich nie był w stanie odpowiedzieć, rozpłakał się, nie zważając na to, że łzy zalewają mu twarz, że szlocha, bo ma mętlik w głowie, bo jest zły i samotny. Czara goryczy się przepełniła. Poczuł, że Isaac obejmuje go, przytula i daje mu się wypłakać z powodu tego wszystkiego, czego nie potrafił zrozumieć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ANNA

W domu panował chaos. Ubrania Liesl walały się na podłodze jej sypialni, obrazy i zdjęcia stały pod ścianami, srebrne sztucce leżały rozłożone na stole w jadalni, jakby w oczekiwaniu na gości, którzy się nigdy nie zjawiają.

Zgodnie z poleceniem Anna wkładała sztucce do sakiewek z granatowego aksamitu; każdy widelec, nóż i łyżeczka miały osobną kieszeń. Dziwiło ją, że Becherowie tak się troszczą o przybory do jedzenia, że każdemu sztuccowi zapewniają osobne posłanie, choć sami śpią teraz na wypchanych słomą materacach i codziennie budzą się z nowymi zadrapaniami i śladami twardego wypełnienia odcisniętego na skórze.

Nad głową słyszała kroki Liesl, ciężkie i pełne złości, gdy wpadała jak burza do swojej sypialni, sypialni Herr Bechera oraz ich wspólnej łazienki i zbierała różne rzeczy, próbowała je pakować, aż w końcu wyczerpana tą aktywnością padała na łóżko i wrzeszczała.

– Z nią jest coraz gorzej. – Greta stanęła koło Anny, z rękami pełnymi ścierek i prześcieradeł, którymi miała zabezpieczyć dzieła sztuki. – Najpierw sądziłam, że jej się polepszyło, kiedy przestała się kręcić po domu z tą tępą miną, ale to... to jest znacznie gorsze. – Spojrzała na sufit, skąd dobiegało zawodzenie.

– Kiedy wyjeżdżają? – spytała Anna.

– Kto ich tam wie? Mnie przecież nie powiedzą.

Nagle rozległo się buczenie, a stojące na kredensie talerze zagrzechotały – to samolot zniżył lot. Anna odruchowo przykucnęła, jakby maszyna miała wylądować im na głowach.

– Są coraz bliżej. – Greta przebiegła wzrokiem po ogrodzie, licząc, że uda jej się zobaczyć nadchodzących Amerykanów.

– Bombardowali przez całą noc – powiedziała Anna. – Są blisko.

– Martwisz się? – spytała Greta.

– Słyszałam, że jutro będą ewakuowali obóz. Każą nam maszerować gdzieś indziej, zanim tamci wylądują.

Greta pokręciła głową.

– Nie zdążą was nigdzie przenieść, Amerykanie będą tu szybciej. Przyjdą i was uratują, wspomnisz moje słowa.

Anna skończyła ze sztukami, zabrała się do pakowania talerzy, które wkładała ostrożnie do pudeł. Po cichu miała nadzieję, że w transporcie talerze się potłuką i kiedy Liesl otworzy skrzynię, zamiast eleganckiej porcelany zobaczy tylko bezwartościowe skorupy. Uśmiechnąwszy się na tę myśl, nie zawinęła jednego talerza, a potem drugiego, by tym łatwiej mogły się stłuc.

– Co cię tak rozbawiło? – spytała kucharka.

– Nic.

– Zobacz, jak pięknie jest na dworze, a my tu tkwimy zamknięte pod dachem. – Greta wskazała na ogród. Trawa wyrosła, żółte główki mleczy kiwały się w górę i w dół, a na skraju królowały barwne żonkile i tulipany. – Chodź, chodź ze mną, zasłużyłyśmy na przerwę. – Pociągnęła Annę za rękę, zaprowadziła ją do kuchni i kazała jej usiąść na schodku przed drzwiami.

Wróciła z dwoma kubkami kawy i usiadła obok Anny.

– A co z Liesl? – spytała Anna.

– Z nią? Niech sobie dalej lamentuje i się wydziera. Mam jej powyżej uszu. Potrzyj mi kubek, zamknę kuchenne drzwi na klucz, żeby nas nie znalazła. Dobrze?

Annie podobała się myśl, że zirytują Liesl. Podobał jej się ten przejaw nieposłuszeństwa, czuła się jak dawna Anna, ta, która bezczelnie kładła się spać później, niż powinna, albo puszczała muzykę, kiedy powinna się uczyć.

– Taki ogród mi się bardziej podoba – oświadczyła Greta, znów siadając obok niej. – Porośnięty mleciami i niekoszoną trawą, tak jak chciała natura. Wiesz, że kiedy tu przyjechali, kazali temu biednemu ogrodnikowi kosić trawnik co drugi dzień, w paski. Krążył tam i z powrotem, wte i wewte, a potem zgięty wpół musiał wyrywać wszystkie mlecze i polewać czymś trawę, żeby więcej nie wyrosły.

– Levi na pewno miał ciężką pracę – mruknęła Anna.

– Nie, nie on. Ten poprzedni. To był młody chłopak, bardzo cichy i uprzejmy. W połowie Polak, więc mówiąc po niemiecku, zawsze wtrącał jakieś słowo z dziwnym akcentem. To miało swój urok, jakbyś słyszała coś nowego. Zawsze twierdziłam, że byłby z niego niezły piosenkarz, miał w sobie to coś.

Dopiero po dłuższej chwili Anna uświadomiła sobie, o kim mówi Greta – o J.A.L., tym od pamiętnika i listów.

– Gdzie on jest teraz, co się z nim stało?

Kucharka zajrzała do swojego kubka z kawą.

– Wiesz, podobno jeśli spojrzysz na kawę w kubku i bąbelki zbierają się na środku, to znaczy, że będzie ładny dzień. A jeśli są na brzegach, to znaczy, że idzie na deszcz. Dziwne, prawda?

– Co ty pleciesz? – Anna spojrzała na Gretę, która wciąż wpatrywała się w kubek.

– Tak było tego dnia, kiedy ten biedny chłopak nie wrócił. Zajrzałam z rana do swojej kawy i wyszło na to, że pogoda będzie bezchmurna. I była taka, przynajmniej jak na tę porę roku, kiedy robiło się zimno, a gałęzie traciły liście. Pamiętam, że tego dnia byłam szczęśliwa, w duchu myślałam sobie, że przynajmniej nie będzie deszczu. Bo widzisz, wcześniej padało przez kilka tygodni i biedny chłopak niemal przez cały czas był ubłocony od stóp do głów.

Obierałam akurat warzywa na kolację, tutaj, przy tym zlewie, tak jak to robię prawie codziennie, gdy naraz trzasnęła boczna furtka i wmaszerowało trzech esesmanów. Poszli prosto do komórki i zaraz usłyszałam krzyk chłopca, a potem coś walnęło raz i drugi.

Podbiegłam do drzwi, krzycząc, żeby przestali, ale ani myśleli mnie słuchać... zresztą, niby dlaczego?

Wywlekli go z komórki za nogi i zobaczyłam, że twarz ma zakrwawioną od ich ciosów. Myślę, że traktowali to jak sport. Wyraźnie rozkoszowali się tym, co mogą z nim zrobić. Wszyscy go kopali... w żebra, nogi, nawet w głowę. Jego jęki zagłuszał odgłos butów uderzających o kości. Po chwili się odwróciłam i ukryłam twarz w dłoniach, nie byłam w stanie patrzeć, jak go katują. Minutę później, może dwie, przestali. Wtedy spojrzałam tam i zobaczyłam, że wszyscy sikają na niego. Naprawdę sikali na jego sponiewierane, zakrwawione ciało. I nagle dostrzegłam, że w oknie stoi Frau Becher i przygląda się temu z obojętną miną, a przy bocznej furtce Herr Becher palił papierosa, opierając się plecami o ogrodzenie, jak gdyby zrobił sobie przerwę w pracy.

Dwaj mężczyźni chwycili chłopca pod pachy i za nogi i zataszczyli do czekającej ciężarówki. Do trzeciego strażnika, który miał wielką bliznę nad okiem, krzyknęłam: „Niech cię piekło pochłonie!”. Płakałam, trzęsły mi się ręce i jak głupia wierzyłam, że Frau Becher nie słyszała mojego wybuchu.

Ten strażnik spokojnie przypalił papierosa i wydmuchał mi dym prosto w twarz. „To on jest odrażający – powiedział. – Przez cały ten czas pracował u was homoseksualista, tutaj, gdzie mieszka Herr Becher. Bądź pewna, że jak już z nim skończymy, to się spali w piekle”.

„To znaczy, że żyje?” – spytałam. Miałam ochotę pobiec do ciężarówki i mu pomóc.

„Jeszcze tak. – Strażnik wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ale daj nam godzinę”.

Odszedł, a ja chyba przez dobrą godzinę stałam w ogrodzie, patrząc na plamy krwi na trawie, na płytach chodnikowych i na podłodze komórki. W końcu zaczęłam oddychać i wyrwałam się z otępienia. W domu nalałam do wiadra

gorącej wody z mydłem i wyszorowałam wszystko z krwi, zmywając ślady przemocy.

Greta zamilkła, upiła kawy i znowu zwróciła się do Anny:

– Wolałabym, żeby tamtego dnia padało. Wolałabym, żeby bąbelki w mojej kawie się myliły. Ciągle myślę, że gdyby padało, może Becher i jego strażnicy by poczekałi, dali mu jeszcze kilka godzin, bo żaden z nich nie chciałby moknąć w deszczu. To głupie, wiem. Oni mieliby w nosie pogodę, zrobiliby to, co zrobili, bez względu na wszystko.

Greta skończyła opowieść. Anna usłyszała krakanie wron na drzewach, a potem łopot skrzydeł. Wyobraziła sobie J.A.L. tutaj, w tym ogrodzie, jak leży zdjęty panicznym strachem.

Wzdrygnęła się.

– Jak miał na imię? – spytała cichym, zmęczonym głosem.

– Nigdy się nie przedstawił. Nie był taki jak ty i Isaac. Nie wychylał się, był zamknięty w sobie. Dlatego tak mnie zaskoczyło, że po niego przyszli. On nie złamał żadnego przepisu. No, zanieś Isaacowi kubek kawy, zanim wrócimy do pracy. Gdyby tu przyszła i pytała o ciebie, powiem, że robisz pranie, ale wątpię, żeby jej się chciało cię szukać.

Anna nalała kubek kawy dla Isaaca i wzięła też kawałek chleba, który Greta zostawiła niby przypadkiem.

Idąc do komórki, usłyszała za sobą wołanie kucharki:

– Chyba mu było Adam... tak miał na imię. Jestem pewna, że ktoś tak się do niego zwrócił. Adam.

Adam, pomyślała Anna. Może to jego drugie imię? Inaczej patrzyła już na ziemię, wyobrażała sobie, że wciąż gdzieś tam jest krew, która wypłynęła z jego ciała.

Otworzywszy drzwi, stwierdziła, że Isaac śpi. Głowę miał zwieszoną na piersi, oddychał z trudem. Postawiła kubek na jego biurku, wyciągnęła rękę i dotknęła jego czoła – poczuła, że trawi go gorączka.

– Isaacu – powiedziała.

Otworzył oczy, odchylił głowę i natychmiast pomasaował kark.

– Spałeś.

– Tak? Gdzie ja jestem?

– W komórce.

Rozejrzał się, popatrzył na Annę, potem na podłogę komórki i znów na Annę. W końcu zrozumiał, gdzie się znajduje.

– Tak, oczywiście. Herr Becher ściągnął mnie tutaj, żebym sprawdził samochody. Muszę iść do pracy.

Chciał się podnieść z krzesła, ale Anna położyła ręce na jego ramionach i delikatnie go popchnęła, tak że usiadł z powrotem.

– Herr Bechera tu nie ma. Dlatego nie musisz jeszcze sprawdzać samochodów. Najpierw wypij to i zjedz. – Podała mu chleb.

Jadł powoli, a kiedy uniósł kubek, ręce trzęsły mu się tak, że rozlał trochę kawy i spłynęła mu po brodzie. Anna poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Chciała wytrzeć mu brodę jak dziecku, chciała mu ochłodzić głowę, ale nie była pewna, czy zgodzi się, żeby się nim zajęła.

– Wieczorem po powrocie do obozu musisz się zgłosić do lazaretu – powiedziała.

– Spałem tutaj – odparł. – Herr Becher nie chce mnie puścić. Nie wiem czemu.

Nagle Anna pomyślała o J.A.L., o tym, jak go wywleczono z komórki. Wyobraziła sobie, że ten sam los spotka Isaaca, że będą ciągnąć po płytach chodnikowych jego stare ciało, bijąc je i kopiąc brutalnie.

– Może to i lepiej – powiedziała. – Może tu szybciej wyzdrowiejesz. I może pozwolą ci odejść po ich wyjeździe?

– Może – rzekł beznamiętnie.

Anna nie dawała za wygraną.

– Zresztą w lazarecie w obozie skończyły się lekarstwa. Nikomu nie dają tam już jedzenia. Może więc lepiej, że jesteś tutaj. Oby nie zobaczyli, jak bardzo jesteś chory.

– Jaki mamy dzień, Anno? – zapytał.

– Piątek.

Skinął głową.

– Piątek – powtórzył. – Straciłem rachubę czasu. Dni znikają mi bezpowrotnie.

Nie mogła znieść, że jest w takim stanie. Isaac, którego znała, powoli stawał się schorowanym starcem, a głowa zaczynała mu szwankować.

– Chyba już wiem, co się stało z naszym wspólnym przyjacielem – powiedziała.

Tym razem szerzej otworzył oczy.

– Z kim? Z J.A.L.?

– Tak. – Uczepiła się tego, że chociaż trochę się rozpromienił. – Greta twierdzi, że miał na imię Adam.

– Adam... Może to jego drugie imię? – mruknął. – I co się z nim stało?

– Nie żyje – odparła zwięźle. Nie było potrzeby wtajemniczać go w szczegóły przemocy, opowiadać o krwi, która splamiła podłogę tej komórki. – Poza tym był homoseksualistą.

– Aha! – Isaac usiadł względnie prosto. – Czyli te listy, te jego miłosne listy, były pisane do kogoś w obozie! Tak podejrzewałem, ale potem uznałem, że może poznał tam jakąś kobietę i się zakochał. Teraz to wszystko nabiera sensu. Anno, wyciągnij te papiery. Zostało już niewiele... przeczytajmy to razem.

Anna macała po omacku zakurzoną podłogę, aż w końcu znalazła obluzowaną deskę; wyobrażała sobie, jak Adam robił to samo, próbując ukryć swoje listy do ukochanego. Wyobraziła sobie jego przerażenie, kiedy go stąd wywlekali, i ból, gdy konał na ziemi. Znalazła papiery, wyjęła je i usiadła na odwróconym do góry dnem wiadrze.

– Mam czytać?

– Bardzo proszę. – Isaac się ożywił, tajemnica została rozwiązana. Splótł ręce na piersi, oparł się na krześle i zamknął oczy, a Anna zaczęła czytać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

J.A.L.

Wrzesień 1944

Oni wiedzą.

Poznają to po tym, że coś się zmieniło.

Dziś rano obudził mnie strażnik z blizną nad okiem. Uśmiechnął się do mnie, kiedy leżałem, czekając na nieuchronny cios, ale mnie nie uderzył.

„Wstawaj – rozkazał. – Potrzebują cię w domu”.

O tak wczesnej porze nigdy tu nie przychodziłem – niebo wciąż jeszcze było zaspane – a mimo to przyprowadził mnie tu i kazał mi czekać w komórcie.

„Jaką mam pracę na dzisiaj?” – spytałem go.

I znowu ten jego uśmiech.

„Dzisiaj nie pracujesz”.

Gdy tylko wyszedł, odczułem potrzebę pisania. Myślę, że to ostatni raz, kiedy uda mi się coś zanotować. Widzisz, on nas zobaczył, ten strażnik z blizną, zobaczył, jak Cię pocałowałem za barakiem. Przelotny pocałunek – nasz pierwszy i pewnie ostatni.

Czy on jest teraz z Tobą, ten strażnik z blizną? Jeśli mnie zapytają, powiem im, że Cię do tego namówiłem, zmusiłem, więc może dadzą Ci spokój.

Och, dlaczego tak ryzykowaliśmy? Przez tyle miesięcy rozmawialiśmy, opowiadaliśmy sobie o naszym życiu i marzeniach, ale nigdy nie podjęliśmy ryzyka, nawet nie trzymaliśmy się za ręce.

Wczoraj to było przez te gwiazdy, jestem tego pewny.

Opowiadałem Ci, że uwielbiam na nie patrzeć, bo za każdym razem, choć to może głupie, dawały mi odrobinę nadziei – skoro niczym trwałe piętno są na niebie zawsze, to może i ja przetrwam, i jeśli nawet będzie to zaledwie cząstka ich życia, mnie to wystarczy.

Twój uśmiech, dotyk Twojej ręki na moim policzku, to, jak spojrzeliśmy sobie w oczy... To było takie proste, a zarazem tak skomplikowane.

Myślisz, że ogarnia mnie paranoja? Boże, mam taką nadzieję! I liczę na to, że sprowadzili mnie tutaj tak wcześnie, bo praca, jaką mi wyznaczyli, musi się rozpocząć z nastaniem świtu.

Będę pisał jak najszybciej, na wypadek gdyby jutro mnie tu nie było. Przewidziałem niebezpieczeństwa czyhające na tych, którzy się wyłamiają z rygoru, widziałem to na własne oczy. Głupotą byłoby sądzić, że choć nas zauważyli, obejdzie się bez represji – odwet jest nieuchronny i tylko modłę się, żeby zrobili to szybko.

Od pewnego czasu przestałem się modlić. Zupełnie jakbym zapomniał, jak się to robi.

Opowiadałem Ci o tym dniu, kiedy byłem mały i ojciec zabrał mnie na ryby. Powiedział mi, że Bóg jest wszędzie. Łatwiej było w to uwierzyć, siedząc na brzegu rzeki i podziwiając Jego dzieło. Tutaj to jest trudniejsze.

Poszedłem z ojcem i znów rozmawialiśmy o Bogu. Miałem wtedy jakieś piętnaście lat, na pewno nie więcej. Było lato, nasza ulubiona pora roku. Dni stały się długie i ciepłe, ogród był pełen barw, a trzmielce buczały wesoło, wypełniając stojące powietrze muzyką natury.

Ojciec musiał jechać do Krakowa na spotkanie z zaprzyjaźnionym naukowcem, który koniecznie chciał mu dać do przeczytania jakiś artykuły. Poprosił, żebym mu towarzyszył, mieliśmy pojechać nocnym pociągiem i spędzić trzy dni w mieście, gdzie moglibyśmy odwiedzić uniwersytet i zajrzeć do licznych księgarni.

Ma się rozumieć, pojechałem. Woląłem spędzać czas z ojcem w otoczeniu wiedzy, książek i pięknej architektury, niż przesiadywać prawie stale w domu z rodzeństwem, bo przyjaciół miałem niewielu.

Postanowiłem, że kiedy dorosnę, osiedlę się w Krakowie. Pociągał mnie Wawel, jakbym kiedykolwiek mógł zamieszkać na tym zamku! Ależ marzyłem, by móc chodzić wieczorami po tamtejszych uliczkach, przesiadywać w kafejkach i barach, rozmawiać ze znajomymi, którzy myślą podobnie jak ja.

Przyjaciół ojca, Mordechaj, miał mieszkanie na Kazimierzu, nad kawiarnią. Był starszy od ojca, nosił długą białą brodę, włosy opadały mu spod jarmułki grubymi lokami, a okulary w drucianej oprawce, które wydawały się zbyt małe przy jego dużej, szczerzej twarzy, ciągle zsuwały mu się na koniec nosa, więc bez przerwy poprawiał je palcem wskazującym.

„Witajcie! – Gdy stanęliśmy w progu, objął ojca, a potem tak samo uściskał mnie. – To jest ten twój syn, co?” – zapytał, na co ojciec przytaknął.

Mieszkanie Mordechaja było pełne książek. Ich stosy piętrzyły się na podłodze i zajmowały niemal każdą możliwą przestrzeń, tak że przejście za nim do maleńkiej kuchni okazało się nie lada sztuką. Mordechaj zaparzył nam kawę i podał ciasteczka.

„Z Turcji, ze Stambułu – powiedział mi, gdy wyjmowałem słodkie jak ulepek ciasteczko z pudełka. – Nie przywiozłem ich stamtąd sam, mam przyjaciela, Ismaila, który je robi i podaje razem z bardzo mocną kawą. Zabiorę was tam, żebyście mogli się poznać, bardzo go polubicie”.

W odpowiedzi mogłem tylko pokiwać głową, bo usta miałem pełne miodowego ciasta francuskiego i byłem bezgranicznie szczęśliwy, że wybrałem się z ojcem w tę podróż.

Mordechaj zaprowadził nas na swój balkon z widokiem na ulicę pełną kafejek i księgarni. Brukowana droga wiodła do synagogi, a dalej zobaczyłem niewielki plac.

„Jest spokojniej” – zwrócił się ojciec do Mordechaja.

Ten skinął głową.

„Nadchodzą zmiany. To pewne”.

Wówczas po raz pierwszy zrozumiałem istotę plotek. Był rok tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy, dwa lata przed tym, nim Mordechaj musiał opuścić swój dom, ale nawet wtedy, siedząc na balkonie z czerwonymi begoniami w doniczkach, czułem panujące napięcie, widziałem, jak ludzie ze zwieszonymi głowami szybko przemykają po ulicach.

„W Poznaniu jest tak samo” – powiedział ojciec.

„Na uniwersytecie nic jeszcze nie mówili, prawda?”.

Ojciec pokręcił głową.

„Co mieliby powiedzieć na uniwersytecie?” – zapytałem.

„Nic. Nie martw się”. – Ojciec uśmiechnął się do mnie, a Mordechaj zmienił temat.

„Wiecie, że pojechałem do Stambułu, kiedy jeszcze nazywał się Konstantynopol. Ale dużo bardziej podoba mi się stara nazwa. Mam zamiar złożyć wniosek o przywrócenie jej, już choćby z tego powodu, że o wiele łatwiej jest ją wymówić”. – Roześmiał się.

Połknąłem przynętę.

„Jak tam jest?” – zapytałem.

„O masz! Jak tam jest?”. – Potarł brodę; zobaczyłem, jak spadają z niej okruszki ciastka. – No cóż, tam jest gorąco, bardziej upalnie niż tutaj w lecie. Wszędzie wokół pachnie przyprawami, młodzi chłopcy na rowerach wożą z tyłu bochenki chleba, krzyczą i machają rękami do kolegów, kiedy się mijają. Na bazarach sprzedają najróżniejsze cuda: cukierki, ciastka, złoto, mosiądz, obrazy, wspaniałe jedwabne dywany. O, weź choćby ten dywan... – Mordechaj odwrócił się w stronę salonu. – Przez te wszystkie książki prawie go nie widać, ale on też jest z bazaru. Wieczorami siadałem z moim przyjacielem Ismailem, tym, którego kiedyś razem odwiedzimy, sączyliśmy pałacy trunek zaprawiony anyżkiem

i popijaliśmy go zimną wodą, żeby splukać gryzący smak z języka. Słuchaliśmy śpiewnego wezwania do modlitwy roznoszącego się w chłodnym wieczornym powietrzu, minarety wyglądały, jakby sięgały gwiazd. Wówczas czułem się jak postać ze snu albo chociaż z opowieści, takich jak *Księga tysiąca i jednej nocy*. Kiedy wyznałem to Ismailowi, pewnego wieczoru obdarował mnie pozłocaną lampą z rubinami. Powiedział, że to magiczna lampa, i jeśli potrę ją z boku, wyskoczy z niej džinn, który spełni wszystkie moje życzenia. Znasz opowieść o Aladynie?” – zapytał mnie Mordechaj.

Pokręciłem głową.

„No cóż. Chodź ze mną”.

Zaprowadził mnie do pomieszczenia na tyłach kuchni, które zapewne było kiedyś sypialnią, ale przerobił je na coś w rodzaju gabinetu. Królowały w nim skarby z jego podróży – na ścianach wisiały kobierce, w szklanej gablocie stały ozdoby ze złota, srebra i brązu, a ciężkie wypolerowane biurko miało nogi w kształcie drzew, których gałęzie podtrzymywały blat.

Rzecz jasna, były tam też książki. Oprawione w czerwoną, niebieską i zieloną skórę tomy, tanie wydania w miękkiej oprawie, broszury – jak gdyby Mordechaj zbierał wszystko, co kiedykolwiek napisano, i chłonał zawarte tam informacje. To właśnie wtedy postanowiłem, że będę taki jak on.

Podał mi wygrzebaną z wielkiego stosu książkę. Była oprawiona w czerwoną skórę, a kartki miały złocone brzegi.

Przysunąłem ją do twarzy, tak jak to robię z każdą książką, i wachałem skórę i papier.

W trakcie tego rytuału zauważyłem, że Mordechaj mnie obserwuje, i się zaczerwieniłem.

„Nie wstydz się – powiedział. – Ja robię tak samo”.

Pokazał mi lampę, którą dał mu jego przyjaciel Ismail, i zdradził, że latami co wieczór pocierał jej brzegi, czekając, aż pojawi się džinn, ale jak dotąd żadne jego życzenie się nie spełniło.

„Czuję, że przeniósł się do nowego domu – powiedział, odstawiając lampę na biurko. – Być może przeskakuje z lampy do lampy, a ta, którą mi dał Ismail, jest opuszczona”.

„Czy Ismail to pański najlepszy przyjaciel?” – spytałem. Już tyle razy usłyszałem to imię, a byłem w jego domu zaledwie od niecałej godziny.

„Przyjaźnimy się od wielu lat. Nie wiem, czy jeśli osiągniesz mój wiek, będziesz miał najlepszego przyjaciela, ale on z pewnością jest mi najbliższy. A ty masz najlepszego przyjaciela?” – zapytał mnie.

Zaczerwieniłem się na te słowa. Kiedyś miałem najlepszego przyjaciela. Ale to już się skończyło. I nie miałem ochoty o tym mówić.

Ojciec czekał na nas na balkonie. Nalał do trzech kieliszków czerwonego wina i podał mi najmniejszy, w którym była ledwie kropelka, ale cieszyłem się, że potraktował mnie jak dorosłego.

„Umówiłem cię z naszym przyjacielem na jutro – zwrócił się Mordechaj do ojca. – Będzie lepiej, jeśli pójdziesz sam”.

„Na pewno nie masz nic przeciwko temu?” – upewnił się ojciec.

„Ależ skąd! My pójdziemy wtedy odwiedzić Ismaila. Zgoda?” – Kiwnął do mnie głową, a ja odpowiedziałem tym samym gestem.

Nie wiem, czy to z powodu wina, czy porozumiewali się jakimś szyfrem – a może jedno i drugie – w każdym razie przez cały wieczór nie miałem pojęcia, o czym mówią. Nieustannie gadali o dokumentach, podróżach, sprawdzaniu tożsamości i o tym, że może będziemy musieli „począkać i zobaczyć, co się stanie”.

Teraz oczywiście wiem, co robił ojciec. Próbował uzyskać dla nas kredyt, żebyśmy mogli jak najszybciej wyjechać, bo przewidział, do czego dojdzie w ciągu kilku lat. Nie wiem, czy nie dostał tej pożyczki, wiem tylko, że wrócił do Krakowa jeszcze w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym i znowu się o nią ubiegał. Ale i tym razem bezskutecznie.

Nazajutrz obudziłem się w mieszkaniu Mordechaja.

Ojciec już wyszedł, a Mordechaj powiedział, że bym się ubrał, bo idziemy na śniadanie z Ismailem.

Doszliśmy brukowaną ulicą do synagogi, a potem skręciliśmy w lewo, w węższą uliczkę. Tutaj sklepy stały obok siebie, budynki po obu stronach niemal się stykały, tak że nad głową było widać zaledwie skrawek nieba.

Choć panował tu niemal mrok, to dla mnie ta uliczka była jaśniejsza. W jednym sklepie sprzedawali czekoladki, olbrzymi czarny mężczyzna stał w wejściu i palił papierosa, biały fartuch miał poplamiony roztopioną czekoladą, którą mieszał rękami. Uśmiechnął się i przywitał z Mordechajem, a ten zwrócił się do niego po imieniu, obiecując, że jeszcze wróci. Nieco dalej dwaj mężczyźni siedzieli przed niewielką kawiarnią – spod czarnych kapeluszy wymykały im się pejsy i wymachiwali rękami, jakby się kłócili.

„To uczeni w Piśmie – wyjaśnił mi Mordechaj. – Stale się sprzeczą o jakiś przekład albo znaczenie słowa. Nie zwracaj na nich uwagi”.

Wzrok Mordechaja przyciągnęła księgarnia. Wystawione przed nią stoliki ugięły się od książek, on jednak zauważył coś w głębi, rękę uniesioną na powitanie, i na szczęście dał sobie spokój z książkami.

Minęliśmy sklep z biżuterią – wszystkie te bransoletki ze szmaragdami, brylantowe kolczyki i grube złote naszyjniki mrugały do nas – a potem francuską

cukiernię; wystawione w witrynie ciasteczka, takie maleńkie, z figurkami z lukru i owocami w cukrze, były tak piękne, że chciałem się przy nich zatrzymać. Mordechaj zauważył moje spojrzenie.

„Do tego sklepu też zajrzemy – obiecał. – Prowadzi go mój przyjaciel, Francuz. Przywiózł swoje wyroby do nas”.

Wyglądało na to, że tu każdy jest przyjacielem Mordechaja, wszyscy uśmiechali się i machali do nas rękami, a zapachy ciastek, gotującego się gulaszu, wina, tytoniu i czekolady mieszały się w jeden wspaniały aromat, tak że na chwilę zapomniałem, że wciąż jestem w Polsce.

W końcu dotarliśmy do Ismaila. Miał skórę o barwie kawy z mlekiem, jaką robiła moja matka, wielkie wesołe oczy, a jego uśmiech rozlał się na całą twarz, kiedy skłonił się, żeby mnie powitać.

Posadził nas przy stoliku wystawionym na ulicę. Dwaj mężczyźni palili tam fajkę połączoną długim węzłem z żółtym szklanym dzbanem, stojącym na ziemi, ozdobionym misternym wizerunkiem smoka; jego łuski były z zielonego szkła, oczy miał czerwone, a z pyska buchały mu złote płomienie.

„To się nazywa szisza – wyjaśnił mi Mordechaj. – Pali się ją zamiast papierosów, używając innych gatunków tytoniu”.

Widziałem, jak w lokalu Ismail rozmawiał z młodym chłopakiem; potem spojrzął na nas, uśmiechnął się i wyszedł na zewnątrz.

„Wszystko załatwione, przekazałem twoje zamówienie” – powiedział Mordechajowi.

„Usiądź z nami, Ismailu, i poznaj mojego przyjaciela”.

Ismail uściśnął mi rękę i usiadł obok Mordechaja; obaj uśmiechali się do mnie, jakbym był jakimś cennym nabytkiem.

„Mordechaj wiele mi o tobie opowiadał” – rzekł Ismail.

Zdziwiłem się. Zanim odwiedziliśmy Mordechaja, słyszałem o nim raptem kilka razy i byłem ciekaw, co ojciec o mnie mówił.

„Jesteś bardzo mądry, tak jak twój ojciec”.

Głos miał głęboki, ze śladami akcentu swojego ojczystego języka. Spodobał mi się.

„O, jest śniadanie!”.

Chłopiec postawił przed nami trzy maleńkie filiżanki kawy, płyn w środku był ciemnobrązowy, niemal czarny.

– Jest bardzo mocna – uprzedził mnie Ismail. – Bardzo. Dlatego popijaj ją powoli w trakcie jedzenia.

Z tacy, którą trzymał chłopiec, wziął kromkę chleba, jeszcze ciepłego po wyjęciu z pieca, a do tego trochę sera, oliwki, świeżo pokrojonego pomidora, jakąś zieleninę i kawałki cytryny.

„Jedz, jedz” – ponaglił mnie, budując sobie coś w rodzaju kanapki: najpierw na ser położył plasterki pomidora i wycisnął cytrynę, a potem dodał kilka gałązek zieleniny.

„Pietruszka” – powiedział Mordechaj, widząc, że waham się, czy też po to sięgnąć.

Zrobiłem sobie podobną kanapkę i naśladując Ismaila i Mordechaja, wrzuciłem do ust czarną oliwkę. Następnie tak jak oni upiłem łyk kawy. I chociaż były to całkiem zwyczajne smaki, to dla mnie miały urok egzotyki. Bo w domu na śniadanie jadałem owsiankę.

„Twój ojciec opowiedział mi o kłopotach, jakie masz w szkole – rzekł Mordechaj. Poczuję, że twarz mi płonie, jak poprzedniego wieczoru, kiedy mnie spytał o przyjaciół. – Wiem, że prawdopodobnie nie chcesz o tym mówić, ale moim zdaniem przekonasz się, że dobrze cię rozumiemy”.

Ismail z poważną miną pokiwał głową, Mordechaj zrobił tak samo. Jak dużo ojciec mu powiedział i ile z tego przekazał temu obcemu człowiekowi?

„Co ty na to, żebym najpierw opowiedział ci swoją historię? – spytał Mordechaj. – Wtedy łatwiej ci będzie mówić o sobie”.

Upiłem łyk gorzkiej kawy i skinąłem głową. Ismail podał mi kostkę cukru, którą wrzuciłem do płynu, zastanawiając się, czy czyta w moich myślach.

„Kiedy miałem chyba dwadzieścia dwa lata, zakochałem się – rozpoczął Mordechaj. – Byłem w podróży, jechałem do pracy z profesorem uniwersytetu, bo zostałem jego asystentem. Jego specjalnością była historia Imperium Osmańskiego, więc oczywiście udawaliśmy się do Konstantynopola, przejrzeć starożytne manuskrypty przechowywane w tamtejszej bibliotece. Pracowałem tak ciężko, że prawie nie wychodziłem z czytelni, tylko żeby coś zjeść, wypić i przespać się w maleńkim hoteliku tuż obok. A mimo to zdążyłem w tym czasie znaleźć miłość, w tych krótkich chwilach, kiedy siedziałem w kawiarni, słuchałem wezwań do modlitwy i patrzyłem na przechodniów. Wieczorem siadywaliśmy z moją miłością, popijaliśmy alkohol przyprawiony anyżkiem i chłodziliśmy wodą palące podniebienia”.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że już słyszałem tę historię, nie dalej jak ubiegłego wieczoru.

„Ale mówiłeś, że do kawiarni chodziłeś z Ismailem?” – powiedziałem.

„To prawda” – odparł zwięźle Mordechaj.

Wypiłem jeszcze łyk kawy i dopiero kiedy doszedłem do fusów na dnie, uświadomiłem sobie, co delikatnie próbował dać mi do zrozumienia – że miłością jego życia jest Ismail.

Przyjrzałem się im obu i zobaczyłem to natychmiast – identyczność ich zachowań, swoboda, z jaką Ismail podawał Mordechajowi serwetkę czy sól, to,

że rozumieli się bez słów – wszystko to było wyuczone przez lata bycia razem. Jak mogłem nie zauważyć tego wcześniej?

„Teraz twoja kolej” – zwrócił się do mnie Mordechaj.

Okręciłem palce serwetką i patrzyłem, jak ich czubki bieleją na skutek odcięcia dopływu krwi. Potem puściłem ją i poczułem własne tętno, gdy krew znowu zaczęła krążyć.

„Był moim najlepszym przyjacielem – powiedziałem, nie patrząc na żadnego z nich. – W dzieciństwie bawiliśmy się ze sobą, a dorastając, uczyliśmy się i śmialiśmy razem. Inni chłopcy stale mówili o dziewczynach, więc było miło, że z nim nie musiałem tego robić... Były mu obojętne, tak samo jak mnie.

Pewnego dnia uczyliśmy się wieczorem w moim pokoju. Sam nie wiem, jak to się stało, ale nagle pocałowałem go w policzek. Nie odsunął się od razu, więc spróbowałem pocałować go w usta. Ale wtedy pchnął mnie mocno w pierś i wstał, czerwony na twarzy i z zaciśniętymi pięściami.

Nie odezwał się, ja też nie. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Patrzyłem, jak zbiera swoje rzeczy i wychodzi, a potem się rozpłakałem”.

„Ale opowiedziałeś o tym ojcu?” – zapytał Ismail.

Skinąłem głową.

„Nazajutrz w szkole wszyscy dziwnie na mnie patrzyli, a mój przyjaciel, mój najlepszy przyjaciel, stał się moim wrogiem. Kiedy wracaliśmy ze szkoły, uderzył mnie pięścią w twarz, a inni krzyczeli i mu kibicowali. Ojciec zastał mnie, jak skulony na łóżku wypłakiwałem się w poduszkę.

Przyznałem mu się, że zostałem pobity. Spytał za co. Nie chciałem o tym mówić, nie chciałem powiedzieć tego na głos, a on nie naciskał. Przytulił mnie tylko, powiedział, że mnie kocha i że jest ze mnie dumny, i nigdy więcej do tego nie wracaliśmy”.

„Aż do dzisiaj” – wtrącił Mordechaj.

„Aż do dzisiaj”.

„Jakiś czas temu twój ojciec napisał do mnie z prośbą o radę. Odpisałem, żeby cię wziął ze sobą, kiedy znów tu przyjedzie, a być może zdołam jakoś pomóc. Chyba widzisz, że ojciec się ciebie nie wstydzi, prawda? On tylko nie wiedział, w jaki sposób o tym z tobą rozmawiać. Jego dobroć i miłość do ciebie sprawiły, że cię tu przywiózł, do człowieka, z którym przyjaźni się całe życie, żebyśmy cię mogli zapewnić, że będzie dobrze i że w tym, jaki jesteś, nie ma nic złego”.

Przygryzłem dolną wargę, by się powstrzymać od płaczu. W tym momencie zdałem sobie sprawę, jak bardzo ojciec i matka mnie kochają. Prawdopodobnie rozmawiali ze sobą na ten temat i postanowili mi pokazać, że rozumieją,

wiedząc, że mój gniew i zakłopotanie nastolatka uniemożliwiają poważną rozmowę, bo nie byłbym z nimi całkowicie szczery.

Wieczorem, gdy ojciec wrócił udręczony upałem, uściskałem go, a on mnie poklepał po plecach i szepnął: „Kocham cię”.

„A Bóg?” – spytałem, odsuwając się.

„On też cię kocha – odparł. – Bóg jest miłością. Nie zapominaj o Nim, bo On o tobie nie zapomina”.

Tak wyglądała nasza rozmowa o Bogu – kilka prostych zdań, a jednak chciałem je zapisać i pamiętać o nich tutaj, kiedy dopada mnie strach. Bóg kocha mnie tak samo jak mój ojciec, a ja z kolei kocham Ciebie – to właśnie chciałem Ci powiedzieć, chciałem zakończyć moją opowieść miłością.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

ISAAC

Wieczorem tego dnia Isaaca odesłano do obozu. Atmosfera w baraku była naelektryzowana, panowały strach i nadzieja.

– Słyszałem, że jutro nas ewakuują – powiedział Jan, gdy razem z Elijahem pomagał Isaacowi wdrapać się na pryczę.

– Wszystkich? – spytał Elijah.

– Kto wie? Tak słyszałem. Kilku postanowiło ukryć się w lazarecie.

– Ty też? – dociekał Elijah.

– Spróbuję – odparł Jan. – Wy dwaj też powinniście iść ze mną.

Isaac położył się na pryczy na wznak, gniotło go w piersi, jakby ktoś zwałił mu na nią wielki głaz. Gdy Jan mówił, doleciał go jakiś zapach i zapiekło go w nosie... zapach cytryn.

Przekręcił się na bok, zamknął oczy i czekając, aż woń się nasili, zapadł w niespokojny sen, w którym śniło mu się, że jest na opisanej przez Adama ulicy, siedzi z Mordechajem i Ismailem, piją kawę, a dookoła wszyscy krzyczą.

Zdawało mu się, że ledwie zamknął oczy, a już strażnik z blizną nad okiem obudził go i ściągnął z pryczy.

Isaac zaniósł się kaszlem, ale strażnik nie zwracał na to uwagi i popychał go przed sobą w stronę drzwi.

– Herr Becher cię potrzebuje – oznajmił.

Gdy Isaac dotarł do domu, słońce właśnie wschodziło, ptaki budziły się i śpiewem żądały śniadania, drzewa szeleściły i szumiały, jak gdyby wyjawiały sobie jakieś tajemnice. Przez chwilę patrzył na niebo, podziwiając otaczającą go przyrodę. Już nie czuł zapachu cytryn.

Herr Becher dodawał właśnie gazu w czarnym samochodzie. Poprosił Isaaca, żeby jeszcze raz sprawdził silnik.

Isaac pomajstrował przy pompie paliwowej, jakby mogło to coś dać, i oznajmił Becherowi, że wszystko jest w najlepszym porządku.

– Dziękuję, Isaacu. – Becher poklepał go po plecach. – Świetnie się spisałeś, naprawdę znakomicie.

Dopiero wtedy Isaac zauważył, że Becher zgolił wąsy, a skórę nad górną wargą pokrywają mu krople potu. Poza tym zmienił ubranie. Teraz miał na sobie

brązowe spodnie i białą koszulę, jakby był zupełnie innym człowiekiem.

– Dostaniesz nagrodę – obiecał Becher. – Zasłużyłeś sobie na to.

– Mam go zabrać z powrotem? – spytał strażnik z blizną nad okiem.

– Nie. Nie. Isaac zostanie tutaj. W komórce. No, uciekaj tam. Jeszcze z nim nie skończyłem – wyjaśnił Becher strażnikowi, który nie spuszczał z oczu kuśtykającego do komórki więźnia.

Isaac wiedział, że to jego jedyna szansa. Na czworakach, obolały, dotarł do kryjówki, wyjął papiery J.A.L., włożył do środka zegarek dla Anny, po czym wziął kilka czystych kartek, by zanotować własną historię, dla Anny oraz dla Friedricha – nowo powstałej rodziny.

Gdy zaczął pisać, znowu to poczuł – zapach cytryn. Musiał się śpieszyć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

ISAAC

Najdroższa Anno,

piszę do Ciebie w pośpiechu, żeby podzielić się moimi przemyśleniami z okresu, kiedy się przyjaźniliśmy.

Przede wszystkim chcę Ci podziękować – umiłaś mi dni, będąc sobą, rozmawiając ze mną, troszcząc się o mnie. Często myślę o naszych rozmowach, o tym, że potrafiłem opowiedzieć Ci o sobie, o tym, kogo straciłem, a dzięki temu zrzuciłem z ramion ciężar, który dźwigałem przez te wszystkie lata, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nasz taniec wrył mi się w pamięć na zawsze – znowu poczułem się młody, pełen nadziei i wolny. Za to także należą Ci się podziękowania.

Teraz czuję się lżejszy, swobodny. Pomogło mi to wyobrazić sobie przyszłość – taką, której być może nie doczekam, ale która mi dała nadzieję. Widzę Cię wtedy u mojego boku, na miejscu, które kiedyś zajmowała Hannah. Jesteś do niej taka podobna – nie tylko w tym, jak na mnie patrzysz, ale i jak traktujesz innych, jak martwisz się o nich i chcesz im pomóc. Przywróciłaś mi Hannah i za to też jestem Ci dozgonnie wdzięczny, bo znowu serce mam pełne miłości, a nie chcę umierać zżerany nienawiścią i smutkiem.

Wiem, że Ty też jesteś rozbita – odebrano Ci narzeczonego, rodziców i brata – ale wiem też, że Ciebie uda się naprawić. Masz teraz w życiu nowe części, nowe wspomnienia, którymi zastąpisz stare, a to Cię będzie napędzało, dla Ciebie zegar wciąż będzie tykał.

Pamiętaj, kochana Anno, że jesteś silna i przezwyciężysz wszystko.

Do Friedricha –

Nigdy nie opowiadałem Ci o moim synu, ale chcę, żebyś wiedział, że jesteś do niego bardzo podobny – miły, troskliwy i inteligentny. Liczę, że nasza przyjaźń dała Ci nadzieję i pokazała, że zawsze ktoś może zostać częścią Twojego życia, czasami dużo bliższą niż własna rodzina.

Friedrichu, mój drogi, Twoja dociekliwość dała mi dużo radości. Dzięki Tobie miałem szansę zobaczyć, jak mógłby wyglądać mój syn, gdyby dane mu było

pożyć dłużej.

Do Was obojga – w ciągu ostatnich miesięcy dzięki Wam odzyskałem rodzinę i pomogliście mi wrócić do życia, nawet w tym miejscu śmierci.

Kocham Was, zawsze oddany
Isaac

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

FRIEDRICH

Jego torby podróżne znów stały u stóp łóżka, spakowane. Chciał wziąć ze sobą kolejkę, ale matka powiedziała, że nie ma miejsca i że musi ją zostawić.

Z łóżka zdjęto pościel, pozostał tylko goły biały materac. Friedrich trzymał w rękach czerwoną lokomotywę, obracał ją na wszystkie strony, chciał zachować ją w pamięci – zabawkę, którą naprawił jego przyjaciel Isaac i której nie pozwolono mu zabrać.

Miał nadzieję, że do domu wprowadzi się nowa rodzina, być może z małym chłopcem, który lubi kolejki i który zawsze chciał taką mieć. Uznał, że jeśli będzie o tym myślał dostatecznie często, jeśli to sobie wyobrazi, to tak się stanie.

Z zewnątrz dobiegł go warkot silnika samochodu, a potem głos ojca. Podeszedł do okna, wyjrzał na dwór i zobaczył Isaaca – stał przy podniesionej masce samochodu, tak zgarbiony, jakby lada chwila miał się przewrócić.

Patrzył, jak stary człowiek gapi się na silnik, a potem się prostuje, zamienia kilka słów z ojcem i rusza wzdłuż bocznej ściany domu – siedł do komórki.

Friedrich wybiegł z pokoju i popędził schodami; miał wrażenie, że jego stopy fruują nad stopniami.

Jego matka prosiła Annę, by pomogła jej znieść walizkę do samochodu, ale minął je pędem i pognął prosto do komórki. Zajrzał przez okno i zobaczył, że Isaac siedzi na podłodze i pisze coś na kartce. Jakże pragnął tam wejść, ale nie chciał mu przeszkadzać.

Postanowił zaczekać. Usiadł pod drzewami za domem, gdzie nikt go nie zobaczy, odczeka chwilę i dopiero potem wejdzie do komórki.

Ziemia była usłana sosnowymi igłami, które opadły z drzew, więc kiedy usiadł, kilka z nich wbiło mu się w uda – musiał pójść dalej, przenieść się w jakieś wygodniejsze miejsce.

Słyszając, jak na podjeździe matka krzyczy na ojca, pomyślał, że byłoby najlepiej, gdyby w ogóle zapomnieli, że mają syna, i wyjechali bez niego.

Nisko nad jego głową przeleciał samolot, po czym od strony obozu dobiegły nieliczne strzały. Friedrich wiedział, że czasu ma niewiele, matka wkrótce zacznie go szukać. Musiał przeszkodzić Isaacowi.

W komórcie Isaac nadal siedział na zakurzonej podłodze, ale już bez kartki w ręku.

– Friedrichu – odezwał się cicho; już samo wymówienie imienia wymagało od niego wielkiego wysiłku.

– Chciałem się pożegnać – powiedział chłopiec.

Isaac poklepał podłogę obok siebie. Friedrich usiadł i nie opierał się, gdy Isaac objął go chudym ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Czy czujesz zapach cytryn, Friedrichu? – zapytał.

– Nie. A powinienem?

– W żadnym wypadku.

– A ty je czujesz?

– Tak.

– I gdzie się teraz podziejesz, Isaacu? Będziesz musiał wrócić do obozu?

– Pojadę do domu – odparł stary zegarmistrz. – Pojadę do domu, na spotkanie z moją żoną Hannah.

– Nigdy mi nie mówiłeś, że masz żonę! – zawołał Friedrich. Myślał, że wie o nim wszystko.

– To wspaniała kobieta, Friedrichu. Lubi gotować i uprawiać ogród, dzięki niej z ziemi wyrastają piękne rośliny. Kiedy wrócę do domu, będziemy siedzieli razem w ogrodzie, rozmawiali, śmiali się, a ja opowiem jej wszystko o tobie.

– Czy będę mógł przyjechać i ją zobaczyć?

– Jeszcze nie teraz. Ale pewnego dnia tak.

– Ja nie chcę wyjeżdżać. – Friedrich pociągnął nosem i poczuł, jak łza spływa mu po policzku. – Nie chcę jechać z nimi. Czy mogę zostać z tobą? Proszę. Pojechałbym do ciebie, zobaczył twoją żonę. Mógłbym pomagać jej w ogrodzie, a z tobą w warsztacie naprawiałbym zegarki.

– A właśnie! Warsztat. Weź to. – Isaac podał mu kartkę z zapisanym adresem. – Zatrzymaj ją. Chciałbym, żebyś odwiedził mój warsztat, jak już będziesz starszy.

– Zastanę cię tam? – spytał chłopiec.

– Raczej nie. Wtedy prawdopodobnie nie będzie tam już warsztatu. Ale jeśli odliczysz od progu osiemnaście desek podłogi i pójdziesz dokładnie na północ, zobaczysz deskę przybitą gwoździem ze złotym łebkiem. Zerwij ją, Friedrichu, bo pod nią znajduje się skarb przeznaczony tylko i wyłącznie dla ciebie.

– Co to jest?

– Niespodzianka. Ale obiecaj mi, obiecaj, że nie zapomnisz o tym i że tam pojedziesz.

– Obiecuję. Zapamiętam ten adres tak, jak mnie tego uczył nauczyciel łaciny. Zapamiętam go i kiedy będę dostatecznie dorosły, pojadę prosto do twojego

warsztatu i znajdę tę niespodziankę.

– Dziękuję – mruknął Isaac i przytulił go jeszcze mocniej. – Dziękuję, ci, Friedrichu.

Chłopiec usłyszał, że ktoś go woła – jego matka. Nie chciał, żeby weszła do komórki.

– Muszę już iść.

Poczuł, że Isaac wypuszcza go z objęć, a potem lekko całuje w czubek głowy.

– Uważaj na siebie, Friedrichu. Zawsze bądź sobą. Pomagaj ludziom. Bądź życzliwy. Zawsze bądź życzliwy.

Chłopiec wstał, głos matki był coraz bliżej.

– Zmykaj.... Musisz już iść – ponaglił go Isaac.

Nagle Friedrich skoczył do niego, objął go i za nic nie chciał puścić. Isaac przez chwilę opierał głowę na jego ramieniu.

– Idź, idź już – powiedział stłumionym głosem, a z oczu poleciały mu łzy. – Zmykaj.

Friedrich stał, ocierając twarz grzbietem dłoni. Kiedy był przy drzwiach, odwrócił się.

– Kocham cię, Isaacu. Byłeś moim najlepszym przyjacielem. Lepszym nawet niż Otto.

Isaac uśmiechnął się do niego przez łzy i pomachał mu ręką.

– Ja ciebie też, Friedrichu. Ja też cię kocham.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

ANNA

Anna całą noc spędziła na pakowaniu. Razem z Gretą popijały mocną kawę, składając ubrania Liesl, pakując do pudeł kapelusze i sortując buty. Liesl i Herr Becher kłócili się prawie do rana, ich wrzaski odbijały się od ścian.

– Jeśli się nie pozabijają przed dotarciem na miejsce, to zjem własny kapelusz! – zawołała Greta, chowając do pudła kremowy, przeznaczony do noszenia na co dzień kapelusz i przy okazji wgniatając jego główkę.

Anna uśmiechnęła się szeroko – po przyjeździe Liesl najpierw zobaczy potłuczoną zastawę, a teraz jeszcze zdeformowany, nienadający się do włożenia kapelusz.

Martwiła się o Friedricha. Chłopiec był bledszy niż zwykle, jego twarz zdradzała wszystkie targające nim uczucia – strach, złość, smutek. Chciałaby go przytulić, zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale nie mogła, zresztą miała świadomość, że by jej nie uwierzył.

Gdy pomagała Liesl zataścić walizkę do jednego z samochodów, zobaczyła plecy Isaaca, który szedł w głąb ogrodu.

Po powrocie do kuchni zauważyła, że tylne drzwi są otwarte, a Friedrich wchodzi do komórki. Postanowiła dać mu chwilę na pożegnanie, a potem pójść po niego, żeby matka go tam nie przyłapała.

Pomimo zmęczenia czuła łaskotanie w brzuchu, tak samo jak w dniu swoich urodzin, kiedy z przejęcia nie mogła zasnąć. Wiedziała, że to głupie. Powiedziano jej, że zaraz po powrocie do obozu zostanie ewakuowana razem z innymi, wyprowadzą ich uzbrojeni w karabiny esesmani.

Nie wiedziała, skąd jej przyszło do głowy, że zobaczy Amerykanów, ale może, kto wie, istniał jakiś cień szansy?

Zatopiona we własnych myślach, nie usłyszała, że Liesl woła Friedricha, ani jej kroków na kafelkach podłogi. Dopiero gdy Liesl stanęła obok i od jej słodkich perfum Annie zabrakło powietrza, zorientowała się, że jest za późno.

Liesl zobaczyła, jak Friedrich wychodzi z komórki, i zmrużyła oczy. Anna wstrzymała oddech, czekając na burę, jaka spadnie na chłopca, gdy tylko wejdzie do kuchni, ale Liesl milczała. Chwyliła syna za sweter i wywlokła z kuchni do korytarza, gdzie kazała mu usiąść na dolnym schodku i czekać na ojca.

– Kiedy się nie odzywa, jest jeszcze gorzej – zauważyła Greta. – Od razu przechodzą mnie ciarki.

– Co mu robi? – spytała Anna.

– Pewnie go zbije, a co innego może mu zrobić? Biedny mały.

Anna usłyszała głos Herr Bechera, któremu Liesl opowiadała, gdzie się podziewał ich syn.

– I co zamierzasz z tym zrobić? – darła się na niego. – No co? Jesteś do niczego, że też w ogóle za ciebie wyszłam! Wiedziałam, że nie masz za grosz odwagi, i patrz, jak nas urządziłeś!

Herr Becher spokojnym tonem, jakiego nie używał już od dłuższego czasu, zwrócił się do kogoś innego – do stojącego w drzwiach strażnika.

– Odstaw go – polecił.

– Ale pan mówił, że ma tu zostać – zdziwił się strażnik.

– To kara za to, że zdeprawował mojego syna – wyjaśnił Becher i zatrzasnął drzwi frontowe. A skoro cała rodzina została w korytarzu, Anna zrozumiała, że kara nie dotyczyła Friedricha.

Spojrzała na Gretę, która słuchała tego z szeroko otwartymi oczami.

– Idź... idź do niego!

Anna wybiegła z kuchni i dotarła do komórki przed strażnikiem. Isaac siedział na podłodze, oddychając chrapliwie; miał zamknięte powieki, a na jego kolanach leżały zawinięte w szmatkę pamiętniki J.A.L.

– Isaacu! – krzyknęła.

Otworzył oczy i uśmiechnął się do niej.

– Weź je. – Próbował podnieść zawiniątko.

– Idą tu po ciebie... Musisz spróbować ucieczki!

– Nic nie szkodzi, kochana Anno. – Uśmiech nie schodził z jego twarzy. – Weź to.

– Nie... ja ci mogę pomóc. Proszę...

– Cicho, kochanie. – Jego powieki zadrgały, jakby miał zasnąć, lecz nagle otworzył oczy i dotknął jej policzka. – Kocham cię, Anno. Jestem starym głupcem, wiem o tym. Ale dzięki tobie znowu poczułem, co to miłość.

Anna ledwo widziała przez łzy. Przytuliła go.

– Kiedy tańczyliśmy, Isaacu, widziałam cię. Widziałam cię takiego, jaki byłeś, jako silnego młodego człowieka – powiedziała. – I znów możesz być silny. Dasz radę. Pomogę ci.

Już miał coś powiedzieć, gdy nagle strażnik chwycił Annę za ramię, poderwał ją na nogi i odciągnął. Kopnęła go w łydkę, zrobiła kilka kroków do Isaaca i objęła go obiema rękami; jej łzy kapały mu na głowę.

– Idź do lazaretu – szepnął jej. – Udawaj trupa albo gdzieś się tam ukryj. Wierz mi, tam musisz się schronić. Skoro Jan tak radził, to znaczy, że tak jest.

Kiedy to mówił, namacała zawiniątko, wzięła je i przycisnęła do piersi.

Czyjeś ręce znów ją chwyciły i ciągnęły do tyłu. Próbowwała kopać, krzyczała, a Isaac przez cały ten czas uśmiechał się i powtarzał jej, że wszystko będzie dobrze, że będzie dobrze.

Runęła jak długa na ziemię, a strażnik na dokładkę kopnął ją w brzuch. Leżąc tam i obejmując się ramionami, zobaczyła obok drugą parę czarnych błyszczących butów, zmierzających do komórki. Opadła z sił, nie była w stanie się ruszyć, ale z każdym oddechem próbowała wołać Isaaca.

I znów czyjeś ręce objęły ją i dźwignęły na nogi. Greta. Trzymając ją mocno, żeby nie pobiegła z powrotem do komórki, pomogła jej dojść do drzwi kuchni.

Anna czekała. Wszystko widziała jak przez mgłę, zieleń drzew zlewała się z błękitem nieba, tak że nie wiedziała, gdzie zaczyna się niebo.

Strażnicy wyprowadzili Isaaca, który ledwo szedł; powłóczył nogami i zwiesił głowę – widocznie nie mógł albo nie chciał podnieść wzroku.

– To bez sensu – odezwał się jeden ze strażników.

– Dasz radę – odparł drugi. – Ale się nie śpiesz – dorzucił. Mijając Annę, uśmiechnął się do niej; nad okiem miał bliznę.

Padła na podłogę, szarpiąc sukienkę, tak jak to robiła po śmierci Piotra. Fale straszliwego bólu osłabiły ją tak, że ledwo mogła oddychać.

– Cicho, no już, cicho, oddychaj... Wdech, wydech – odezwała się Greta stanowczym tonem.

– Nie mogę... – wykrztusiła Anna.

– Możesz, oddychaj. Ale już! Wdech, wydech...

– Nachodzą, o Boże! Nadchodzą! – wrzasnęła Liesl w głębi domu, mocując się z klamką frontowych drzwi.

Anna spojrzała na Gretę, która podnosiła ją z siłą, o jaką by jej nie podejrzewała.

– Podnieś to i ukryj. – Kucharka wskazała na zwitek kartek.

Szlochając, Anna kiwnęła głową, podniosła pamiątniki J.A.L., wsunęła je pod sukienkę i przytrzymała jedną ręką.

Na podjeździe zawarczały silniki samochodów, Schmidt krzyknął na Friedricha, żeby wsiadał do auta, i nagle rozległy się strzały, jakby wśród drzew z tyłu ogrodu ukryli się snajperzy.

– Chodź ze mną. – Greta chwyciła Annę pod ramię i wyszły przed dom, na szutrowy podjazd. Minął ich czarny samochód; za kierownicą siedział Herr Becher, a obok niego Liesl. Drugi samochód prowadził Schmidt; na widok Anny

siedzący na tylnym siedzeniu Friedrich odwrócił się i wyglądając przez tylną szybę, przyłożył do niej dłoń w geście pożegnania.

– Isaac? – wymamrotała Anna do Grety.

– Isaac odszedł, Anno. On nie żyje. – Ujęła Annę pod brodę i zmusiła, żeby na nią spojrzała. – Dla ciebie to wstrząs, ale musisz próbować, musisz się postarać.

Anna pokręciła głową, czując, jak paraliżuje ją strach – Isaac, samoloty, Friedrich... za dużo tego naraz.

– Nie dam rady! – krzyknęła. – Nie potrafię!

Greta znów ujęła oburącz jej twarz.

– Spójrz na mnie, Anno – poleciła. – Patrz na mnie.

Anna próbowała uspokoić oddech, spoglądając w oczy starej kobiety.

– A teraz słuchaj. Musisz zrobić, co ci każę. Stawiać nogi jedną przed drugą i krok po kroku iść dalej. Gdyby był tu teraz Isaac, w tej samej co ty sytuacji, co byś mu kazała zrobić?

– Kazałabym mu biec... uciekać – wyjąkała, szlochając.

– Świetnie. A teraz spokojnie oddychaj. Dobrze, właśnie tak.

Anna skupiła się na oczach Grety, na jej głosie i stwierdziła, że oddycha wolniej, a szloch przeszedł w czkawkę.

– Dobrze. A teraz chodź. – Greta znowu ruszyła z Anną w drogę.

Niecałą minutę później podjechał do nich samochód prowadzony przez strażnika z blizną.

– A wy dokąd? – zapytał.

– Odprowadzam ją do obozu – odparła kucharka.

– Czyżby? To chyba pomyliły ci się kierunki.

– A, rzeczywiście. – Greta odwróciła się w drugą stronę. – O ja głupia. Na starość nie odróżniam lewej od prawej.

– Ja ją zabiorę – powiedział strażnik.

– Nie, nie... niech pan się nie fatyguje. – Greta wciąż trzymała Annę za ramię.

– Powiedziałem, że sam ją zabiorę – powtórzył.

Anna odwróciła się do kucharki.

– Dziękuję, dam sobie radę.

– Uważaj na siebie. – Greta pogłaskała ją po policzku. – Rób wszystko, żeby przeżyć.

– Wsiadaj! – Strażnik się niecierpliwił, padły kolejne strzały, a nad ich głowami zawarczał samolot.

Nie mając wyboru, Anna wsiadła do samochodu, tracąc jedyną szansę na ucieczkę.

– Myślisz, że jesteś taka sprytna, co? – zapytał.

Nie słysząc odpowiedzi, wyciągnął rękę, dotknął jej uda i zadarł sukienkę, tak jak kiedyś zrobił to Becher.

– Wszystkie macie się za mądrale, nie? Już ja ci pokażę, kto tu rządzi. Herr Becher wyjechał, więc teraz może będziesz obsługiwała mnie, hę?

Zjechał na pobocze i nachylił się, żeby ją objąć. Bez namysłu zrobiła coś, czego nigdy już by nie powtórzyła – ugryzła strażnika w policzek tak mocno, że poczuła w ustach smak jego krwi. Odsunął się z krzykiem, ale nie przerwała ataku, wzbierająca w niej wściekłość oraz myśli o Isaacu, Ninie i bracie przelały czarę goryczy. Wyrznęła go mocno w krocze, a potem zręcznie wyjęła mu zza paska drewnianą pałkę i zdzieliła go nią w tył głowy, tak że osunął się na kierownicę.

Policzyła do dwudziestu, ale strażnik się nie poruszył. Wydostała się z samochodu i słysząc jedynie swój chrapliwy oddech, pobiegła do obozu, do Niny, żeby się ukryć.

W obozie panował chaos. Na podłodze leżały nowe ciała, wciąż jeszcze krwawiące od kul, które je zabiły. Kobiety prowadzono gęsiego do wyjścia z obozu, niektóre z nich padały, ścięte kulami z wież strażniczych.

Anna pobiegła do swojego baraku, wołając Ninę. Czy ona też trafiła do kolejki?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, znowu puściła się biegiem. Wśród kobiet na końcu zauważyła Joannę i... tak, i Ninę! Złapała ją za ramię.

Przyjaciółka spojrzała na nią z zaskoczeniem i ulgą zarazem.

– Chodź ze mną! – Wyciągnęła ją z kolejki i zobaczyła, jak Joanna pada na ziemię z dziurą od kuli w plecach, od kuli przeznaczonej dla Anny albo dla Niny.

Biegnąc zygzakami, dotarły na tył baraku i przykucnęły w wysokiej trawie.

– I dokąd teraz pójdziemy? – spytała Nina załamującym się głosem.

W tym momencie Anna przypomniała sobie słowa Isaaca.

– Do lazaretu – odparła. – Chodź, chodź szybko.

Pobiegły, potykając się o leżące zwłoki i co jakiś czas robiąc uniki, gdy padały kolejne strzały.

Dotarły do lazaretu.

– Rozbieraj się, szybko – poleciała Anna. Obie zrzuciły ubrania, położyły się na dwóch wolnych łózkach i nakryły prześcieradłami. Anna wsunęła dziennik pod materac. – Masz wyglądać, jakbyś umierała – przykazała jej. – Jakby nie warto było nas zabierać.

– Bo nie warto. – Nina leżała na wznak, z oczami utkwionymi w sufit. – My już jesteśmy martwe.

EPILOG

KORNWALIA

1980

Zanim zegar wybił dwunastą, śnieg się rozpadał na dobre. Zastanawiała się, czy wszyscy na pewno się zjawią. Usiadła w fotelu na wprost wykuszowego okna z widokiem na rozległy trawnik, za którym rozciągał się Ocean Atlantycki i widać było wysokie spienione grzywacze. Nawet stąd czuła zapach soli. Uwielbiała letnie dni, kiedy siadała w ogrodzie, a spokojniejsze morze przynosiło zapach świeżości. Jej nos był na tyle obeznany z niemiłymi zapachami czy wręcz smrodem, że potrafiła wyczuć zepsute warzywa, zanim jeszcze było widać, że gniją.

Jej dzieci się do tego przyzwyczyły, podobnie jak Frank, jej mąż, który właśnie urzędował w kuchni, pilnując, żeby nic się nie przypaliło ani nie zepsuło.

Bębniła palcami w poręcz fotela, odliczając sekundy. U kogo podpatrzyła ten gest? Odruchowo sięgnęła do nadgarstka, na którym miała zegarek... a tak, już sobie przypomniała, kto to był.

Katarzyna się spóźni. Spóźniała się zawsze i wszędzie, więc to nie jej samochodu wypatrywała na podjeździe. Isaac zjawi się punktualnie – zresztą nie miał wyboru – a Jakub przybędzie razem z nim; będzie mu towarzyszył w drodze, rozśmieszając go i irytując durnymi piosenkami, które wymyślał na poczekaniu.

– Ktoś już jest! – zawołał Frank. Zobaczyła, jak podchodzi do frontowych drzwi, przed które podjeżdża taksówka.

Taksówka... Czyżby samochód Katarzyny znowu się zepsuł?

Usłyszała słowa powitania, męski głos, i w progu stanął człowiek, którego nie widziała z dziesięć lat albo i dłużej.

– Wybacz, że nie mogłem przyjechać wcześniej – powitał ją. Wyglądał inaczej, włosy mu posiwiwały, a opaloną skórę wokół ust i oczu pokrywała siatka zmarszczek.

– Friedrich! – Wstała i uściskała go, nie mogąc się nadziwić, jak bardzo się zmienił.

– Postarałem się – mruknął.

– Jesteś już prawie taki stary jak ja! – Roześmiała się.

– Nie całkiem, wciąż jeszcze masz nade mną kilka lat przewagi.

– Nie sądziłam, że ci się uda dojechać – powiedziała, prowadząc go do sofy w fioletowe kwiaty. – Nie odpisałeś mi, więc założyłam, że znowu jesteś w jednej z tych twoich podróży.

– Rzeczywiście podróżowałem, ale kiedy twój list do mnie dotarł, nie było już czasu na odpisywanie. Wobec tego złapałem samolot i oto jestem. – Uśmiechnął się.

– Napijesz się? – zapytał go Frank. – Mamy wszystko, czego dusza zapagnie... wino, whisky, nawet szampana!

– Niech będzie whisky – zdecydował Friedrich.

Gdy tylko Frank wyszedł, przeszli na język, którym posługiwali się biegle, i opowiadali sobie, co porabiali od czasu ostatniego spotkania.

– A więc nadal ci się tu podoba? – zapytał Friedrich.

– W Anglii? O to pytasz?

– Zawsze sądziłem, że prędzej czy później wrócisz do domu.

– Nie jestem pewna, gdzie jest mój dom. Na pewno mam go tutaj, z Frankiem i dziećmi. Taki dom najzupełniej mi wystarcza.

– A wiesz, że pojechałem do tamtego domu i obozu?

– Kiedy? – Wyprostowała się i nie spuszczała z niego wzroku.

– Nie mogłem się oprzeć. Byłem w Monachium na dworcu kolejowym, kiedy zapowiedzieli, że za pięć minut odjeżdża następny pociąg do Dachau. I sam nie wiem, kiedy pobiegłem, żeby złapać ten pociąg, choć wcale nie byłem przekonany, czy chcę do niego wsiąść.

– I jak tam jest? – Teraz mówiła cichym głosem.

– Dom, dom moich rodziców, został przerobiony na muzeum. W jednej z gablot stoi moja czerwona lokomotywa... Wyobrażasz to sobie?

– A obóz?

– Ludzie chodzą tam i się rozglądają. Wtedy nigdy go nie widziałem, więc nie wiem, na ile się zmienił, ale znam zrobione przez Amerykanów zdjęcia i obejrzałem sporo filmów. Na ile potrafiłem, starałem się patrzeć twoimi oczami.

– Wiedziałałam, że zrobili z tego turystyczną atrakcję, ale nie spotkałam nikogo, kto tam był.

– Chodzi o coś więcej. – Nachylił się i ujął jej dłonie. – Tam nie ma nic do zabawy, to służy edukacji. Żeby nigdy nie zapomniano.

– A ja właśnie przez prawie całe życie próbuję zapomnieć.

Pokiwał głową i usiadł, zapadając się w wielkie poduszki.

– Wychodzi z ciebie zmęczenie – zauważyła.
– Ja zawsze jestem zmęczony.
– Nadal kiepsko sypiasz?
– Whisky pomaga. – Z szerokim uśmiechem uniósł szklanekę, którą podał mu Frank.

– Twoi rodzice nadal cię nawiedzają w snach? – odważyła się zapytać.
Friedrich potarł kilkudniowy zarost na brodzie, który również posiwiał.
– Wiem, że nie żyją, ale owszem, nawiedzają mnie. Jak duchy. Niemal słyszę, jak mówią, że jestem do niczego, albo jak ojciec mnie sztorcuje, że za wolno jem. Kiedy umarła matka, ile miałem lat... siedemnaście? Pomyślałem wtedy, że moje życie będzie łatwiejsze... Czy to nie straszne, cieszyć się ze śmierci rodziców, zamiast ich opłakiwać? Nieważne. Ale ojca nie potrafiłem zostawić. Kiedy dotarliśmy do Argentyny, ledwo żył. Zapijał się, żeby uciec od tego, co zrobił, ale to nie wystarczyło; stał się zgorzkniałym, bezużytecznym starcem, który robił pod siebie i potrzebował syna, żeby mu podcierał tyłek.

– A mimo to o nich myślisz.
– Mimo to. – Wychylił whisky duszkiem i poszedł do Franka po drugą szklaneczkę.

Gdy wrócił, zobaczyła, że bawi się czymś trzymanym w dłoni.
– Czy to jest to, o czym myślę? – spytała, wyciągając rękę, by wziąć od niego ten przedmiot.

Podał go jej, a ona przeczytała grawerunek:

Isaac Schüller
Nie zapomnijcie o mnie
Styczeń 1945

– Kiedy tam pojechałeś? – Przesunęła palcami po grawerunku, myśląc o tym, jak Isaac go wyrył przed laty.

– Po wizycie w obozie – odparł. – Miał rację. Nie było już warsztatu, teraz jest tam kawiarnia. Wyobraź sobie, że wchodzę i każę zerwać jedną z desek w podłodze!

– Ale to zrobiłeś.

– Zrobiłem. Powinienem był pojechać tam wcześniej, ale tak samo jak ty próbowałem chyba zapomnieć o tym, co mnie spotkało, o tej części mojego życia. Dopiero stojąc na peronie kolejowym, uświadomiłem sobie, że muszę się z tym zmierzyć. Czy to nie dziwne? Moja przyjaźń z Isaakiem zaczęła się od pociągu, a tym, co mnie skłoniło do powrotu w to miejsce, był kolejny pociąg.

– Zupełnie jakby do ciebie mówił, prosił, żebyś nie zapomniał o swojej obietnicy.

– Jeśli wierzysz w takie rzeczy, to owszem, pewnie tak było. Tego dnia, kiedy się z nim żegnałem, powiedział mi, żebym odszukał jego warsztat, ale też i to, że czuje zapach cytryn. I zapytał, czy ja też go czuję – rzekł Friedrich.

– Na swój sposób dał ci wtedy do zrozumienia, że umiera. Wiedział o tym, był bardzo chory. Zdawał sobie sprawę, że jego koniec jest bliski.

Nagle Friedrich się rozpląkał, po jego policzkach spłynęły wielkie jak grochy łzy, przez co znowu wyglądał jak mały zagubiony chłopiec.

Usiadła obok niego na kanapie, żeby mógł się wypłakać na jej ramieniu.

– Powiedział mi coś jeszcze. – Friedrich wyprostował się, wycierając nos rękawem. – Powiedział, że jedzie do domu, zobaczyć się z Hannah.

– Ależ ona umarła kilka lat wcześniej.

– Teraz wiem. Ale wtedy nie wiedziałem. Pamiętam, że zapytałem, czy mogę pojechać z nim, a on odparł, że jeszcze nie teraz.

Chciała rozpaczać razem z nim, też zalać się łzami, ale nie mogła, coś ją przed tym powstrzymywało; obawiała się, że wspomnienia nie pozwolą jej wrócić do życia, które sobie zbudowała.

Chrzęst opon na świeżym śniegu na podjeździe dał im chwilę na dojście do siebie.

Tak jak się spodziewała, byli to jej synowie, Isaac i Jakub, a krótko po nich zjawiała się Katarzyna; wyglądała, jakby dopiero co wstała z łóżka – włosy miała rozczochrane, ubranie pogniecione.

– Nie mogłaś przynajmniej uprasować tej sukienki? – spytała córkę, która ruszyła od razu do ojca po kieliszek wina.

– Nie miałam czasu. Uczyłam się do egzaminów, a rano musiałam ćwiczyć przed tym występem tanecznym w przyszłym miesiącu. Wskoczyłam pod prysznic i oto jestem, więc to i tak sukces! – Cmoknęła matkę w policzek.

Isaac zachwycał się zegarkiem kieszonkowym swojego imiennika, a Jakub opowiadał anegdoty z pierwszego roku na uniwersytecie – wychodziło na to, że wszystkie dziewczyny się w nim kochają.

Usiadła z powrotem w fotelu i obserwowała, co dzieje się wokół niej, ukradkiem chłonąc wszystko. To, jak Katarzyna odrzucała włosy do tyłu i jak odwracając się, zawsze sprawiała wrażenie, że wykonuje piruet. Jak Isaac dopytywał o zegarek – ile ma lat, skąd się wziął, jak działa? Jego badawcze zielone oczy za szklami okularów nie przegapiały najdrobniejszego szczegółu.

No i Jakub. Jej najmłodszy.

Troje dzieci w ciągu czterech lat. Nie była zachwycona, kiedy okazało się, że krótko po urodzeniu Katarzyny jest w ciąży z Jakubem, ale kiedy go ujrzała, jego

delikatne rysy i twarz, która już wtedy wydawała się za stara, za mądra jak na niego, a potem ten jego uśmiech, tak dobrze jej znany... od razu się w nim zakochała.

Miał wrodzone poczucie humoru, czym bardzo przypominał swojego wuja – lubił się droczyć i dokuczać, ale robił to delikatnie i z miłością.

Teraz już kolejni goście zjawiali się szybko, wypełniali pokój, przynosili kwiaty, przekąski i butelki wina. Krążyła między nimi, rozmawiała i śmiała się, aż w końcu zastukała nożem w kieliszek z szampanem – nadszedł czas.

Wszyscy umilkli, stojąc albo siedząc, zajęła więc miejsce obok kominka, na którym znajdowało się zdjęcie Anny.

– Jestem wam bardzo wdzięczna, że zjawiliście się dzisiaj, by pożegnać naszą kochaną przyjaciółkę Annę – zagała.

Nina zaczekała, aż umilknie pomruk podziękowań, a potem drżącymi rękami wzięła z podręcznego stolika plik papierów, które im chciała pokazać.

– Jak wam wiadomo, przez wiele lat Anna i ja byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Miałyśmy to szczęście, że zakochałyśmy się w dwóch braciach, Franku i Paulu, a jeszcze większe, że nasze rodziny znalazły domy obok siebie. Anna była dla moich dzieci jak druga matka, dla Katarzyny, której dałam swoje imię, a zarazem imię mojej matki, dla Isaaca, noszącego imię człowieka, który nas uratował, i dla Jakuba, który ma imię po swoim wuju.

Niektórzy z was latami pytali mnie o wojnę, o obóz, ale ja nigdy nie odpowiadałam. Tak bardzo pragnęłam zapomnieć o tamtych czasach, a jednak po śmierci Anny przeczytałam to raz jeszcze. – Uniosła plik papierów. – I chcę wam teraz coś przeczytać. „Te nieszczęścia wyszły mi więc na dobre, a potem jeszcze trzykrotnie obdarzyła mnie dobrem, które tak wypełniło moje życie, że żadne niemiłe doświadczenie tego nie przekreśli”.

Są to słowa mojego ojca, który w ten sposób opowiadał mojemu bratu Jakubowi o matce. Ten pamiętnik napisał mój brat, chcąc nadać sens swojej miłości do innego więźnia w Dachau, i to dzięki niemu uświadomiłam sobie, że przebywanie w Dachau na zawsze zostanie częścią mojego życia. To było to nieszczęście, które spowodowało tyle dobrych rzeczy, i nie mogę dłużej przed tym uciekać.

Poczuła, że zaraz się rozpłacze; Frank podał jej chusteczkę.

– Mamo, wystarczy, nie musisz mówić nic więcej. – Jakub wstał i objął ją ramieniem.

– Muszę. Muszę to dokończyć – powiedziała.

Jakub pokiwał głową, ale nie odstał od jej boku.

– Anna ocaliła mi życie. Tak po prostu... zawdzięczam jej życie, więc kiedy leżała na łożu śmierci, powiedziałam jej, że jestem na nią zła, bo to ja pierwsza

powinnam odejść z tego świata. A ona mnie wyśmiała.

Tam w obozie uratowała mi życie, zaciągnęła mnie do lazaretu i kazała udawać umierającą, żeby nie wyprowadzili nas razem z pozostałymi więźniarkami, z których tak wiele zginęło po drodze.

Ja się poddałam. Od dawna widziałam wokół siebie tyle śmierci, a tego dnia też byłam świadkiem nieopisanej przemocy ze strony ludzi, którzy chcieli skorzystać z ostatniej okazji, żeby się nas pozbyć, tylko dlatego, że byliśmy Żydami, Polakami, Cyganami albo homoseksualistami. Dlatego tam, leżąc na szpitalnym łóżku, chciałam umrzeć. Ale Anna na to nie pozwoliła.

Do końca dnia i przez całą noc opowiadała mi wymyślone historyjki, bzdurne, zabawne i wcale się tym nie zmęczyła. Z początku w ogóle jej nie słyszałam, ale stopniowo wyrwała mnie z marazmu. Opowiedziała mi o Friedrichu, o tym, jak umożliwił jej zatańczenie z Isaakiem i jak w tej właśnie chwili, podczas tańca, na nowo poczuła miłość, uczucie, którego nie zaznała, odkąd jej rodzina i narzeczony zginęli, miłość, której już nigdy miała nie doświadczyć.

Rano uświadomiłyśmy sobie, że ani jeden strażnik nie zajrzał do nas w nocy z inspekcją. Poza tym strzelanina ucichła, a wiatr porwał krzyki innych więźniów.

Oprócz nas w lazarecie schowało się jeszcze kilka kobiet i jedna z nich zaproponowała, że wymknie się na zewnątrz i sprawdzi, co się dzieje.

Kiedy wróciła, jej mina mówiła wszystko – wyglądało na to, że to już koniec.

Amerykańskie dżipy i ciężarówki wjechały do obozu, a my wybiegłyśmy im na spotkanie, biegłyśmy, tłumacząc, że jesteśmy więźniarkami, i błagając o pomoc.

Owinęli nas kocami i wsadzili na paki ciężarówek. Pamiętam, jak młody żołnierz, nie miał więcej niż dwadzieścia lat, wymiotował na ziemię na widok zwalonych na sterty zwłok wokół siebie.

Z biur wyprowadzano tych esesmanów, którzy zostali na miejscu. Wśród nich była strażniczka nadzorująca mnie i Annę, Aufseherin Margarete Lange. Zobaczyłam, jak uśmiecha się do amerykańskiego żołnierza, a potem mówi coś z chichotem do stojącej obok kobiety. Ogarnęła mnie wtedy wściekłość, dzika furia, jakiej dotychczas nie zaznałam. Flirtowała sobie z tym mężczyzną, jakby nie przyłożyła ręki do naszej katorgi. Uświadomiłam sobie, że jeśli mam przeżyć i jeśli chcę żyć dalej, to muszę zapomnieć.

Jednak niełatwo jest puścić własną przeszłość w niepamięć. Gdy tylko trafiłyśmy do szpitala, Anna dała mi te papiery, pamiętniki mojego brata, Jakuba Adama Lietza, w skrócie zwanego Kubą. Opowiedziała mi, jak umarł. Najpierw go pobito, a potem zabrano, zapewne na tortury, do komory gazowej albo na

rozstrzelanie, nie wiem dokładnie i jestem wdzięczna za tę niewiedzę. Razem przeczytałyśmy te listy i pamiętniki i w środku znalazłyśmy jeszcze jeden list, od Isaaca, tego zegarmistrza. Był tam też zegarek zrobiony przez niego dla Anny, ten, który mam teraz na ręce, a który przez lata Anna nosiła i uwielbiała.

Napisał o swoich ostatnich chwilach, wyznał Annie i Friedrichowi, jak wiele dla niego znaczą i jaką miłość dali mu u kresu jego życia. To Isaac znalazł listy mojego brata, to on zaskarbił sobie uczucie Anny i Friedricha i wreszcie to on nas ocalił, mówiąc Annie, gdzie mamy się ukryć. Gdyby nie on, nie byłoby Anny, nie byłoby mnie, nie poznałabym swojego brata, tak jak na to zasługiwał, i nigdy nie zaznałabym w życiu takiej miłości.

W pokoju zapadła cisza, gdy wszyscy schylili głowy i zadumali się nad Anną i Isaakiem.

W końcu Friedrich wstał, podszedł do Niny, objął ją i zaprowadził do fotela.

– Czy możemy wyjść na dwór? – zapytała go.

– Pada śnieg.

– Nie szkodzi. Muszę odetchnąć świeżym powietrzem, żeby dojść do siebie.

Spełnił jej prośbę, otworzył tylne drzwi i stanęli w nich obok siebie. Przed nimi rozciągał się dywan śniegu, a dalej, nad niskim murem ogrodu, widać było morskie fale.

– Tak się cieszę, że odnalazłeś Annę – powiedziała Nina. – Tak często o tobie mówiła, że kiedy się u niej zjawiłeś, ile miałeś lat, dwadzieścia kilka?, nie posiadała się z radości.

– Ja też się cieszę, że ją odnalazłem. I ciebie. – Friedrich podmuchał w złożone dłonie.

– Jakie masz teraz plany? – spytała, nie patrząc na niego, tylko na fale przewalające się jedna nad drugą.

– Może kolejna podróż? Sam jeszcze nie wiem.

– Bylebyś założył rodzinę. Obiecuj mi to... obiecuj, że założysz rodzinę. – Odwróciła się i spojrzała na niego, próbując go sobie wyobrazić jako małego chłopca, który zaprzyjaźnił się z Anną.

– Myślałem, że już ją mam – odparł, pytając unosząc brwi.

Oburącz ujęła jego twarz i pocałowała go w czubek nosa.

– Rzeczywiście, masz. Wybacz mi. Jesteśmy twoją rodziną.

Tej nocy śnieg przestał padać, a lekki wiatr rozwiał chmury, pozostawiając na niebie idealny aksamit nakrapiany świetlnymi punkcikami. Nina stała przy oknie sypialni i patrząc w niebo, przypomniła sobie, że to samo robiła ostatniej nocy, kiedy widziała Kubę – kiedy pochowali ojca.

Zadrzała z zimna, po raz pierwszy od lat zamknęła okno i położyła się do łóżka. Wchodząc pod kołdrę, coś poczuła – jakiś dziwny zapach, który zupełnie tu nie pasował.

Był to ostry, świeży zapach cytryn.

LIST OD CARLY

Witajcie,

przede wszystkim wielkie dzięki za to, że przeczytaliście *Zegarmistrza z Dachau*. Mam nadzieję, że lektura tej książki była dla was tak zajmująca, jak dla mnie jej pisanie.

Jeśli chcecie być na bieżąco z moimi najnowszymi publikacjami, podaję link, pod którym możecie się zapisać. Obiecuję, że wasze adresy mejlowe nie trafią w niepowołane ręce i że w każdej chwili możecie zrezygnować.

www.bookouture.com/carly-schabowski

Pisanie *Zegarmistrza z Dachau* nie było dla mnie łatwe, bo nie dość, że powieść jest oparta na faktach, to w dodatku traktuje o koszmarze, który był udziałem tak wielu ofiar Zagłady. Dlatego chciałam podejść do tego zadania odpowiedzialnie, nie przywłaszczać sobie niczyjej historii, ale jednocześnie opisać i przywołać rzeczywistość tamtych czasów. Starłam się więc skupiać na moich bohaterach – na ich miłościach, nadziejach i życiu sprzed obozu – i pokazać, jakie relacje można nawiązać nawet w najtrudniejszych czasach. Aby to zrealizować, potrzebowałam łącznika, którym został Friedrich; mieszkał w domu poza obozem, mógł widzieć i słyszeć to, czego pozostali nie wiedzieli – ja zaś, rzecz jasna, mogłam zgłębiać relację między ofiarą a oprawcą.

Odzew od moich czytelników zawsze jest mile widziany – piszcie do mnie śmiało na Facebooku, Twitterze, Goodreads albo na mojej stronie internetowej.

Jeszcze raz dziękuję,
Carly Schabowski



@carlyschab11

PODZIĘKOWANIA

Za wspieranie mnie w trakcie pisania tej książki wyrazy wdzięczności jak zwykle należą się moim przyjaciołom i rodzinie – tworzenie powieści to proces, kiedy często jestem samotna i sfrustrowana, a wtedy cierpliwość i dobroć bliskich dodaje mi skrzydeł.

Chciałabym też podziękować mojej wspaniałej redaktorce Kathryn Taussig za podsuwanie sugestii i prostowanie moich błędów. Na wielkie podziękowania zasłużyła też moja agentka Jo Bell – uprzejma, wyrozumiała i cierpliwa; lepszej agentki nie mogłabym sobie wymarzyć.

PRZYPISY

1. *Romeo i Julia*, akt III scena 1, w przekładzie Stanisława Barańczaka (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [\[wróć\]](#)
2. William Shakespeare, Sonet 166 w przekładzie Stanisława Barańczaka. [\[wróć\]](#)